

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/74

1953



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

ŁUKASZ WINIARSKI :

LIST Z JUGOSŁAWII

MICHAŁ SOKOLNICKI :

W SŁUŻBIE KOMENDANTA

KRAJ W NEUTRALNYM ZWIERCIADLE

SPIS RZECZY :

Juliusz Mieroszewski :	<i>Czerwone drzewa i polski las</i>	3
Lukasz Winiarski :	<i>List z Jugosławii</i>	9
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmenty z dziennika</i>	15
Jan Ulatowski :	<i>Artysta wobec epoki</i>	25

KRAJ

Laertes :	<i>Kraj w neutralnym zwierciadle</i>	29
Wojciech Zaleski :	<i>Skróty w dzisiejszej Polsce</i>	43

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	50
Bohdan Konaszewicz :	<i>Niemcy obserwują Europę Wschodnią</i>	54

SPRAWY I TROSKI

Krzysztof T. Górski :	<i>Krytyka i postulaty</i>	57
Zbigniew Różycki :	<i>Kolegium Wolnej Europy</i>	65

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Michał Sokolnicki :	<i>W służbie Komendanta</i>	75
---------------------	-----------------------------------	----

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski :	<i>O lekkości</i>	107
Jan Torosiewicz :	<i>Wystawy paryskie</i>	111
Aleksander Janta :	<i>„Odmrożenie” skarbów wa- welskich</i>	113
Franciszek Olipra :	<i>Prof. Władysław Konopczyński</i>	126
(n) :	<i>O działalności Kongresu Kul- tury</i>	129

KSIĄŻKI

Zdzisław Broncel :	<i>Więzienne „Noce i dzień”</i>	131
S. Gruszka :	<i>Pamiętniki Hoovera</i>	140
Janusz Rakowski :	<i>Zapomniane prace historyczne</i>	143
(j) :	<i>Notatki wydawnicze</i>	148
(j) :	<i>Przegląd miesięczników</i>	152
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	153



K. A. Jeleński, F. Śmieja, J. Teslar, W. Sandelewski, A. Burmeister, J. Zarem- ba :	<i>Listy do Redakcji</i>	154
	<i>Résumé en langue française</i> ..	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień — Décembre 1953

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Krzysztof Tadeusz Górski, M. A., ur. 20. 7. 1920 w Górkach Wielkich, woj. warszawskie. Gimnazjum ukończył w Warszawie. I. rok Uniwersytetu (wydział humanistyczny) w Poznaniu. Studia kontynuował na tajnym Uniwersytecie w okupowanej Warszawie. Żołnierz, później oficer warszawskiego Kedywu, odznaczony V. M. i K. W. Ciężko ranny w Powstaniu, dostaje się do niewoli niemieckiej. Po wojnie kontynuuje studia i kończy je w zakresie psychologii i socjologii w Londynie i w Oxfordzie. Przygotowuje pracę doktorską o percepcji widowiska filmowego.

Do czytelników „KULTURY” we Francji

Z dniem 1-go stycznia 1954 r. cena pojedynczego zeszytu „KULTURY” we Francji zostaje podniesiona ze 150 frs. na 180 frs. (zeszyt podwójny 300 franków.).

Wysokość prenumeraty nie ulega zmianie.

Adres londyńskiego biura „KULTURY” jest następujący :
Juliusz Mieroszewski,
11, Gainsborough Road,
London, W.A., Tel. : CHIswick 3231

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIII^e)

Czerwone drzewa i polski las

Sprawa naszej „zachodniości” nie została nigdy wyczerpująco naświetlona. To był zresztą problem szlachecko-inteligencki, gdyż polscy chłopci, stanowiący trzon narodu, nie wiele mieli wspólnego z Zachodem. Byli i są katolikami ale to wszystko. Jest rzeczą oczywistą, że tylko warstwa chłopska może się stać w przyszłości zrębem polskiej demokracji i kultury demokratycznej. Jeżeli przez cywilizację zachodnią rozumieć pewien stopień dojrzałości społecznej i politycznej to trzeba powiedzieć, że w okresie dwudziestolecia niepodległości byliśmy mniej „zachodni” niż przed rozbiorami. Stanisław August był znacznie bardziej „zachodni” niż Piłsudski, a książę Adam był niepomnie bardziej „zachodni” niż Józef Beck. Suma różnic między Polską a krajami Zachodu w owej epoce była mniejsza niż w okresie dwudziestolecia. Zmieniły się bowiem sprawdziany „zachodniości”. W naszych dworach przed wrześniem 1939 „parlowało” się gęsto po francusku ale już nie francuszczyzna była w tej epoce miernikiem „zachodniości” tylko ustrój demokratyczny i uprzemysłowienie zrodzone z dwóch rewolucji, które nas ominęły. I wskutek tego na pewnych odcinkach naszego życia byliśmy nie tylko kresami zachodniej cywilizacji ale i rezerwatem jej pre-historii. Jeszcze tylko u nas można było znaleźć taki kontrast cywilizacyjny : — przekulturzony, łaciński, horacjuszowski i heleński Ludwik Morstin w pławowickim dworze otoczony morzem analfabetyzmu i ciemnoty kieleckiej wsi. Cóż za bajeczna rozpiętość kulturalna w porównaniu z standaryzowaną, powszechną cywilizacją zachodnią. W Pławowicach zakładano wprawdzie „Rzeczpospolitą Poetów” ale nie założono ani kanalizacji ani wodociągów ani żadnej rzeczy, która mogłaby przywozić na pamięć rewolucję przemysłową i Adama Smitha.

Literatura polska była „zachodnia” choć na Zachodzie nieznana. Popularny argument, że od wielkiego świata odcinała nas bariera językowa nie wytrzymuje krytyki. Język szwedzki nie jest językiem o wielkim zasięgu a przecież szwedzcy pisarze znani są na całym świecie. Pewni krytycy i poloniści wysuwają pogląd,

że przyczyną nieatrakcyjności naszej literatury (dla obcych) jest jej organiczne związanie z tragedią narodową. Ten punkt wydaje mi się słuszny ale z pewnym zastrzeżeniem. Książka Pietrkiewicza stanowi dobry przykład, że polski egzotyzm może być bardzo atrakcyjny dla obcych pod warunkiem, że powieść jest powieścią a nie polityczną propagandą. To co dla nas jeszcze ciągle jest „Sprawą” dla innych jest już propagandą. Międzynarodowe problemy polonizujemy zamiast polskie zagadnienia umiędzynarodawiać. Czytając wspaniałe „Przedwiośnie” trudno by było się domyślić, że ów niepokój socjalny nie był tylko polsko-wschodnim zagadnieniem ale, że pobłysk rewolucji pełgał po całym kontynencie europejskim. Żeromski spolonizował problem. Czarus Baryka pod Belwederem stanowi wspaniałą scenę, ale ten „chwyt” kompozycyjny zwięża całą rozpiętość problemu do czterech strun lutni narodowej.

Jest rzeczą zdumiewającą, że odzyskanie niepodległości nie uwolniło nas od owej tendencji wtłaczania każdego problemu w ciasne ramy narodowego podwórka. W rezultacie ideologiczny, polityczny, kulturalny sens polszczyzny zwiężał się i karłał. Horyzont polszczyzny zwiężał się od federacji do pacyfikacji — od koncepcji państwa wielonarodowego do koncepcji państwa narodowego — od „Polski Jagiellońskiej” Piłsudskiego po OZON Adama Koca. PPS, bunty chłopskie, Witos, postęp, reforma — to wszystko znalazło się poza nawiasem polskości. Patriotyzm kwitł ale polskość a patriotyzm to nie to samo. Patriotami byli zarówno Witos jak i Kostek-Biernacki.

Dziś nie Zachód, nie Paryż czy Londyn lecz daleka, nieznana Europa środkowo-wschodnia jest sceną historycznego dramatu stulecia. To na naszych ziemiach nastąpiło zderzenie komunizmu z cywilizacją zachodnią.

Komunizm jest złem, jest motorem imperializmu sowieckiego — ale mimo to, w całości swego aspektu jest kardynalnym zagadnieniem epoki. Jest fałszywą odpowiedzią na prawdziwe i arcyistotne zagadnienia, które muszą być rozwiązane. W Polsce, zarówno ci co są za komunizmem jak i większość, która jest przeciwko niemu — biorą udział w socjalnym eksperymencie, który dokonywany się pod olbrzymim ciśnieniem. Pod tym wszechobecnym naporem odbywa się w mózgach ludzkich konfrontacja „wczoraj” i „dziś”, analiza przemian, krystalizuje się krytyka systemu i dojrzewają poglądy, które objawiają się w chwili gdy Sowiety wycofają się z Europy środkowo-wschodniej. Polskość w Kraju obejmuje swą treścią owo dramatyczne zderzenie dwóch cywilizacji — materializmu z Chrześcijaństwem — wolności z dyktaturą partii i doktryny. Dziś jesteśmy nie owym „przedmurzem” ale probronią cywilizacji zachodniej. Jeżeli „zachodniość” jest gdzieś istotnie „Civilization on Trial” to jest nią w Polsce. Jeżeli gdziekolwiek anemiczne Chrześcijaństwo zachodnie wznosi się ku heroizmowi — to u nas w Polsce. I dlatego nasza sytuacja w stosunku do komunizmu jest zupełnie inna niż Anglików czy

Amerykanów. Oni obserwują cyklon z daleka. My znajdujemy się w samym jego centrum.

Jest coś fałszywego w emigracyjnym podejściu do tych spraw. Ponieważ przemiany dokonywane się w Polsce są narzucone — skłonni jesteśmy uważać je za nieistotne, „okupacyjne” i czasowe. Wskutek tego tym przemianom nie poświęcamy żadnej uwagi traktując je jako „de jure” nieistniejące.

Gdy huragan zrówna z ziemią 60 % domów, realnie myślący człowiek musi uznać za fakt dokonany, że miasto X po huraganie wygląda inaczej niż przed huraganem. Jeżeli odbudowa następuje według nowych planów uznać należy za pewne, że miasto X uległo trwałym, nieodwracalnym przemianom. Uznanie tego faktu w niczym nie zmienia naszego stosunku do huraganu, który uważamy za katastrofę.

Anty-komunizm nie może przysłaniać nam tych faktów. My nie możemy sobie pozwolić na anty-komunistyczny daltonizm typu senatora McCarthy'ego. Tymczasem Polacy na emigracji w swej anty-komunistycznej postawie chcą być tak doskonali i ślepi, że wylewają dziecko wraz z kąpielą.

Jest fałszywym pogląd, że obecny okres dziejów Polski wyczerpuje się całkowicie w terminie : okupacja. To jest okupacja, ale nie tylko okupacja. Naród polski walczy choć formy, zakres i poziomy tej walki nie przypominają w niczym zorganizowanego oporu przeciw hitleryzmowi. Lecz intensywność i dogłębność walki w obecnym okresie z całą pewnością przewyższa rozpiętością horyzontów bitwę przeciw prymitywnemu hitleryzmowi. Każda walka jest ewolucją i przemianą. Owe przemiany stanowią istotę i sens walki i one będą treścią zwycięstwa gdy nadejdzie dzień uwolnienia. Dlatego nie wolno nam ignorować tych przemian. Nie zmieniamy się tylko my — bo nie walczymy.

Wypaczają nasz stosunek do Kraju trzy następujące „kompleksy” emigracyjne :

1. SAMOZATRUCIE PROPAGANDOWE, które polega na tym, że ulegamy otumanieniu propagandą, którą sami produkujemy. Nicując komunizm na wszystkie strony spreparowaliśmy własną, emigracyjną wersję marksizmu i uwierzyliśmy, że jest to program przeznaczony dla idiotów i kanalii. — To nie jest prawda. Komunizm jest potężną ideą wyznawaną przez wielu wybitnych ludzi po tej i po tamtej stronie „żelaznej kurtyny”. Jest problemem niezmiernie serio i niedocenianie jego atrakcyjności było i jest nadal niewysychającym źródłem katastrofalnych błędów polityki Zachodu. Wiecznym ośmieszaniem i wykpiwaniem komunizmu pomniejszamy wymiar i skalę toczonych walki w Kraju. Tym bardziej, że większość owych prób „zoperetkowania” komunizmu wywodzi się z nieznamośności przedmiotu.

2. KOMPLEKS DWÓJKARSKI, który powoduje, że o komunizmie wolno pisać w prasie emigracyjnej tylko tak jak o kapitalizmie wolno pisać w prasie komunistycznej. Lęk przed posą-

dzeniem o sympatie pro-komunistyczne uniemożliwia w praktyce badanie przemian jakie zachodzą w Kraju. Żadna bowiem ze zmian nie może być określona jako korzystna. Gdyby ktoś zaryzykował taki pogląd zostałby natychmiast napiętnowany i „zakartotekowany” jako krypto-komunista, „wtyczka” a co najmniej narzędzie wrogiej inspiracji. Jeżeli ktoś nie chce być ofiarą donosów do Anglików a w szczególności do Amerykanów — musi się stosować do przyjętej konwencji. Pewne ośrodki na emigracji wykorzystują demagogicznie anty-komunizm w celu podmurowania własnego autorytetu politycznego. Jeżeli ktoś odważy się zarzucić tym ośrodkom — na przykład : reakcyjność — natychmiast pada odpowiedź, że ponieważ i prasa komunistyczna zarzuca tym ośrodkom reakcyjność emigrant, który pisze o panu X czy o piśmie Y, że jest reakcyjne „współdziała z propagandą komunistyczną”. W myśl tej logiki, jeżeli ktoś na emigracji twierdzi, że dwa plus dwa równa się cztery „współpracuje z propagandą komunistyczną”, gdyż w szkołach w Polsce do dziś dnia uczą niezreformowanej tabliczki mnożenia.

3. NARÓD-KLISZA. Ponieważ większość z nas kojarzy słowo „Polska” z Polską z 1939 roku ulegamy terrorowi wspomnień i myślimy o Kraju jak o fotografii niepodlegającej przemianom czasu. Na tej statycznej perspektywie opiera się nasza teoria reprezentatywności. Kraj „trwa”, naród się nie zmienił, więc skoro mieliśmy tytuł do reprezentacji w roku 1939 to mamy ów tytuł i dziś. I wydaje mi się, że tu jesteśmy u dna problemu.

Emigracje myślą zawsze o odzyskaniu *przeszłości*. Natomiast narody nigdy nie walczą o przeszłość tylko zawsze o *przyszłość*.

Po zwycięstwie Churchill u szczytu swej chwały odszedł i w Anglii przyszedł rząd socjalistyczny z szerokim programem reform. Wojna w czasie której przewodził konserwatysta Churchill dała Anglii nie tylko zwycięstwo ale i socjalistyczny „Welfare State”. I u nas w Polsce „państwo podziemne” z Radą Jedności Narodowej nie przypominało w niczym reżimu z okresu dwudziestolecia.

Dla Polaków w Kraju Polska przed-wrześniowa nie jest „utraconym rajem” do którego wiecznie powraca się w wspomnieniach. Jest to dziś zamknięty okres równie historyczny jak epoka powstania listopadowego. W Kraju nikt nie myśli o legalizmie czy o Konstytucji z 1935 r., lecz o przyszłej niepodległej Polsce, która nie wynurzy się w formie przedwrześniowej Atlantydy lecz będzie sumą przemian i doświadczeń zdobytych w tym najcięższym okresie naszych dziejów.

To nie naród „trwa”. To my trwamy w bezruchu historycznym. Jest rzeczą bardzo trudną, gdy się przeżywa dzieje Kraju nie bezpośrednio lecz „second hand”, z gazet i z książek, utrzymać ową intymną więź zrozumienia z własnym narodem. Ale sprawa jest tak wielkiej i zasadniczej wagi, że należy zdobyć się w tym kierunku na maksymalny wysiłek. Albowiem proces wynarodowienia jest procesem dwustronnym. Wynarodowiają się nie

tylko ci, których wchłania obca kultura, język i społeczność lecz również i ci, którzy tracą poczucie więzi z własnym narodem. W chwili obecnej proces asymilacji jeszcze nas nie wyszczerbił ale proces wyobcowania z polszczyzny czyni wielkie postępy.

Coraz częściej słyszy się wypowiedzi : „W uwolnionej Polsce my się już nie rozeznamy”, „zmiany jakie tam zastaniemy będą nie do zniesienia”, „po powrocie będziemy emigrantami we własnym Kraju”.

Co oznaczają te wypowiedzi?

Są one dowodem, że rośnie wśród nas poczucie obczyzny w stosunku do Kraju, rośnie świadomość, że owa przepaść między wizją „utraconego raju” a rzeczywistością krajową może okazać się nie do przebrnięcia. Te wypowiedzi oznaczają również, że wielu z nas wróci ale nie do każdej uwolnionej Polski. Jeżeli oblicze uwolnionej Polski będzie się zbyt różnić od emigracyjnej kliszy — znaczny procent emigrantów pozostanie na obczyźnie.

To są procesy naturalne i niezmiennie trudno jest przeciwnikom walczyć. Ale nie ma najmniejszego powodu by procesy te przyspieszać i przepaści pogłębiać. Na emigracji wyczuwalna jest tendencja do przemianowania „emigracji politycznej” w „naród emigracyjny”. Państwo na emigracji, „naród emigracyjny” to są przejawy ruchu autonomicznego, który jest wyrazem oderwania i oddalenia.



Jakie należałoby wyciągnąć wnioski z tych rozważań?

Powinniśmy zerwać z pojęciem narodu-kliszy, z pojęciem narodu-akademii i narodu-rocznic. Powinniśmy rzeczywistość krajową badać i obserwować w ten sposób, by komunistyczne drzewa nie przysłaniały nam polskiego lasu.

Musimy zdobyć się na odwagę i przyjąć za fakt, że choć komunizm z treści nie jest polski, wyrwe duży formatywny wpływ na Polaków w Kraju. Komunizm drogą reakcji wydobędzie szereg nowych wartości, które w treści swej będą całkowicie polskie. Ucisk niemieckiej w b. zaborze pruskim wydobyl z Polaków wiele cennych cech, które choć powstały pod ciśnieniem obcego ducha i obcej kultury są dziś rdzennie polskie. A jakże można porównywać ciśnienie komunizmu z uciskiem hakaty.

Powinniśmy ustawicznie pamiętać, że naród w Kraju walczy o przyszłość i pozycją wyjściową tej walki jest sytuacja i rzeczywistość obecna a nie r. 1939. Uwolnienia nie powinniśmy identyfikować z restauracją. Nie będzie żadnej restauracji i wrócimy do zmienionych warunków i zmienionego układu.

I wreszcie punkt ostatni i najważniejszy. Jest już najwyższy czas byśmy na emigracji przystąpili do obiektywnych studiów nad rzeczywistością krajową. W chwili obecnej nikt bowiem nie wie jak ta rzeczywistość naprawdę wygląda. Oblicze Kraju odbite w zwierciadle prasy komunistycznej jest całkowicie fałszywe — odbite w zwierciadle propagandy emigracyjnej jest nierealne. To

jest zagadnienie niezmiernie trudne ale i zasadnicze. Nie wypełnimy naszego zadania wobec Kraju jeżeli nie rozwiążemy tego problemu.

By móc wypełnić to zadanie zespół, który podejmie się tej pracy będzie musiał zrezygnować z partyjnej interpretacji rzeczywistości krajowej. Dziś na emigracji jest tyle „Polsk” ile partii i ośrodków politycznych. Każdy komentuje sytuację w Kraju zgodnie z własnymi pobożnymi życzeniami.

Dotychczasowe badania przeobrażeń w Kraju mają charakter opisowy. Opisujemy mechanikę przewrotu tak — jakby ów przewrót odbywał się w próżni. Obraz przewrotu odmalowany szczegółowo przez emigracyjne ośrodki badawcze jest obiektywny ale pytanie : co ów przewrót *oznacza* jest pozostawione bez odpowiedzi.

Nie ulega wątpliwości, że trzeba być bardzo ostrożnym w interpretowaniu sytuacji krajowej i poglądy w tej sprawie do dnia uwolnienia Polski będą miały charakter hipotetyczny. Ale niemniej dziś dysponujemy już materiałem informacyjnym, który umożliwia rozpoczęcie prac w tym kierunku. Pewne przemiany strukturalne można już dziś sklasyfikować jako nieodwracalne.

Choć nasze usiłowania interpretacji przeobrażeń w Kraju będą zawsze niedoskonałe to przecież jeżeli podejmiemy je z dobrą wolą i w oparciu o cierpliwie gromadzony materiał informacyjny, poglądy te bliższe będą prawdy niż propagandowe „kliše” Kraju produkowane przez polityczne ośrodki emigracyjne. Musimy znać prawdę o Kraju, możliwie całą prawdę — jeżeli chcemy mu służyć i reprezentować go wobec obcych.

Juliusz MIEROSZEWSKI



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

PACZKI DO POLSKI

DOBRE, SZYBKIE I TANIE

Pełne Ubezpieczenie

LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Piszcie Po Cenniki 100 Popularnych
Paczek Największego Polskiego Domu
Wysyłkowego w Europie.

HASKOBA LTD.

List z Jugosławii

■

W ciągu dwumiesięcznego pobytu w Jugosławii miałem możliwość obserwować z bliska karkołomny eksperyment titoizmu, przeprowadzany z ogromnym zasobem wysiłku i zapału. Przez cały ten czas męczyło mnie pytanie, moim zdaniem najważniejsze : jaki jest cel, jaka perspektywa i wizja przyszłości, która tym ludziom przyświeca ?

Pytałem o to ludzi przypadkowo spotkanych w pociągu i kawiarni, pytałem ministrów, robotników i profesorów, a przede wszystkim poetów. Nikt nie potrafił odpowiedzieć mi na to — trudne, przyznaję — pytanie, gdyż nie było odpowiedzią twierdzenie, iż celem głównym jest zbudowanie przemysłu, podniesienie produkcji i co za tym idzie standardu życiowego. Do tego nie potrzeba ani rewolucji, ani komunizmu, ani nawet socjalizmu.

Gdy odpowiedź taką przed 50 laty dawali ówczesni socjaliści — mieli na swe usprawiedliwienie wiarę w marksistowską tezę, że kapitalizm nieuchronnie prowadzi do pauperyzacji społeczeństw, a więc w jego ramach poprawa bytu mas jest nieosiągalna. Dziś wiemy, że to nieprawda. Doskonale można podnieść standard życiowy proletariatu w ramach kapitalizmu, trzeba tylko poddać liberalizm gospodarczy lekkiej korekcie : kontroli państwowej obejmującej plus minus 40 % dochodu narodowego. Takie właśnie odsetek wpływów państwa wykazują statystyki w USA, a w Niemczech Zachodnich, gdzie o socjalizmie nie ma na razie mowy — 38 % dochodu narodowego przechodzi przez budżet państwowy. „Przechodzi przez budżet państwowy” — prawda, jak niewinnie to brzmi ? a przecież nieomal zastępuje gospodarkę planową wraz z całą jej niepopularną scenarią.

Jeśli więc Jugosławii chodziło tylko o industrializację, o podniesienie produkcji — to cała gra nie wydaje się warta olbrzymiej dekoracji ideologicznej, powoływania się na rewolucję, wprowadzania dyktatury itp. Wystarczyłoby po zerwaniu z Kominformem zastosować konsekwentnie wzory amerykańskie, czy bliższe — niemieckie i sprawa byłaby załatwiona.

Twórca jugosłowiańskiego New Dealu, zmarły niedawno Boris Kidrić doszedł, jak się wydaje, do podobnych wniosków, lecz skorygował je nieco. Słusznie uważając, że główną siłą napędową ustroju kapitalistycznego jest inicjatywa indywidualna w ramach liberalnej gospodarki rynkowej, postanowił on otworzyć drzwi dla tej inicjatywy, konkurencji i liberalizmu ekonomicznego. Liczył przy tym, że da się to osiągnąć bez zmiany ustroju politycznego, tj. bez wprowadzenia demokracji.

W tej chwili jesteśmy świadkami realizacji tego karkołomnego, jak go nazwałem, eksperymentu.

Fabryki i warsztaty, pozostając formalną własnością państwa, zostały oddane w eksploatację zespołom pracowników z jednym warunkiem: płacenia pewnych wysokich podatków z osiągniętego dochodu. Resztą zysku może sobie zespół dysponować do woli.

Zespoły, gdy tylko zrozumiały, że chodzi tu o ich własny zysk postąpiły w sposób jedynie logiczny i postarały się o prawdziwych fachowców do prowadzenia przedsiębiorstw. I przedsiębiorstwa dają zyski, rozwijają się, konkurują ze sobą, kupują nowe maszyny, wysyłają praktykantów zagranicę i nawet nieśmiało zaczynają eksportować na mniej wymagające rynki Bliskiego Wschodu.

Eksperyment ten zakładał liberalizację ustroju gospodarczego, ale liberalizacja taka nie dała się ograniczyć ściśle do „sektora” ekonomiki. Państwo musiało wycofać swą „opiekuńczą” dłoń z wielu innych dziedzin życia i powstał w ten sposób pewien spory margines swobody indywidualnej, który dla ludzi nawykłych już do policyjnego reżimu może wydawać się wolnością.

Różnica między systemem sowieckim i neotitoizmem jest bardzo doniosła: tam państwo przepisuje obywatelowi bardzo dokładnie co i w jaki sposób robić mu wolno; tutaj przepisy dotyczą tylko tego, czego robić nie wolno, a jest tych spraw zakazanych stosunkowo dużo, więcej znacznie, niż mogłoby to znieść „zepsuty” demokracją Francuz, czy Anglik.

Ale w każdym razie margines swobody istnieje i odzwierciedla się to nie tylko w dynamice produkcji przemysłowej, ale i w twórczości kulturalnej, w literaturze, malarstwie, teatrze itd.

W literaturze obowiązuje opisana wyżej reguła: wolno pisać wszystko... prócz rzeczy zakazanych, ale samym autorem trudno się zorientować czego właściwie pisać nie wolno i często zdarzają się nieporozumienia.

Przed kilku miesiącami paru dziennikarzy belgradzkich zwróciło się do odpowiedniego urzędu o zezwolenie na wydawanie pisma literacko-kulturalnego pn. „Świat” (Swet) i licencję otrzymało. Po dwóch czy trzech numerach ukazała się jednak w „Borbie” wzmianka piętnująca pismo jako reakcyjne. Skutek był taki, że żadna drukarnia w całej Jugosławii nie zgodziła się przyjąć do druku następnego numeru. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak dodać, że redaktorzy chodzą sobie dotąd na wolności z bezużyteczną licencją w kieszeni. Jest to w każdym razie „postęp”

i literaci mają dzisiaj przekonanie, że mogą pisać spokojnie bez obawy znalezienia się w obozie poprawczym. Jedyne co im grozi to fakt, że pracy ich nikt nie wydrukuje.

Jak olbrzymie znaczenie posiada dla twórczości nawet ten margines wolności, który otworzył się w Jugosławii można zaobserwować na przykładzie skoku, jaki uczyniła tamtejsza literatura w ciągu kilku ostatnich lat. Widziałem książki i wiersze z lat 1947/48: trudno sobie wyobrazić dalej idący upadek. Nawet literatura sowiecka, która zdawałoby się bije wszelkie rekordy soc-grafomanii wydaje się w porównaniu z tym lepsza. W Rosji piszą w każdym razie fachowcy, którzy opanowali samo rzemiosło. Jugosławia ma słabe tradycje literackie i w tej dziedzinie, jak we wszystkich innych, brak jej specjalistów.

A jednak w latach następnych, 1949-53 nastąpił niespodziewany rozkwit, pojawiły się bujne, nowe talenty, zaczęli na nowo pisać ludzie, którzy w ogóle już „złamali pióro”.

Rozmawiałem na ten temat z Aleksandrem Vučo, jednym z klasyków już dzisiaj literatury serbskiej, autorem 3-tomowej powieści „Gluho Doba” (Głuche czasy) opisującej życie Belgradu na przełomie stulecia. Dodać trzeba, że Vučo jest sekretarzem generalnym Związku Pisarzy i ma codzienny kontakt z całym światem literackim Jugosławii.

Jak większość czołowych pisarzy w Jugosławii Vučo wyszedł ze szkoły surrealistycznej i niewiele miał do roboty w okresie socrealizmu. Przestał po prostu pisać i przerzucił się do branży filmowej. Teraz Vučo pisze znowu i z entuzjazmem opowiada o rozmachu i bogactwie twórczości literackiej, zwłaszcza w młodym i najmłodszym pokoleniu.

Nakłady książek są małe. W Serbii i Chorwacji do 5 tysięcy, w Bośni i Macedonii — 3 tysiące. Pisarze otrzymują honorarium w wysokości 10 tys. dinarów od arkusza druku i od nakładu, (ok. 35 dolarów) — więc wydanie powieści pozwala przeżyć mniej więcej pół roku. Resztę dorabia się. Za poezję rząd-wydawca płaci średnio 60 dinarów od wiersza (20 cent.).

Literaci nie są więc „kupowani” na sowiecki sposób, ale mimo to pisze się i wydaje dużo.

Jeśli chodzi o rynek wydawniczy, to przytłaczającą większość pozycji stanowią przekłady. Tłumaczy się wszystko, a przede wszystkim klasyczną literaturę zachodnią, tak jakby Jugosławia usiłowała w wyścigowym tempie nadrobić wszystkie zaniedbania czasów niewoli. Gdy stanąć przed oknem księgarni w Belgradzie odnosi się wrażenie, że zebrano na wystawie całą „lekturę” obowiązkową” dla maturzysty, nawet z naddatkiem. Balzac i Stendhal, Flaubert, Zola, (wychodzi nawet w zeszytach ilustrowanych) Dumas, Mann, Rabelais, Morus i Eliot, Steinbeck, Galsworthy, Hemmingway, Sinclair Lewis, London, Szekspir, Dostojewski, Tolstoj, Conrad, Cervantes. Nie brak w tym towarzystwie i literatury polskiej: jest Żeromski i Reymont, Sienkiewicz i Prus. W ostatnich dniach wyszedł „Faraon” w doskonałym tłumaczeniu, a z powojennych „Mickiewicz” Jastruna.

Wkrótce ma być wydany „Inny Świat” Herling-Grudzińskiego. Podobnie wygląda repertuar teatralny. Oto program tygodniowy Teatru Dramatycznego w Belgradzie: Ajschylos, Gorkij, Szekspir, Ibsen, Racine i jedna czy dwie sztuki rodzime.

Teatr w Jugosławii jest dobry, reżyseria i aktorzy na poziomie europejskim, publiczność wdzięczna i liczna. W Belgradzie grają trzy teatry, a bilety trzeba zamawiać na tydzień z góry. W każdym większym mieście jest stały teatr, a w stolicach republik jak Skopje, Lublana, czy Zagrzeb teatry konkurują poziomem z Belgradem. Natomiast sama sztuka dramatyczna wygląda raczej słabo i nie udało mi się zobaczyć na scenach jugosłowiańskich wybitniejszego współczesnego dzieła dramatycznego. Do interesujących dramaturgów, choć nie widziałem jego utworów na scenie, należy zaliczyć macedońskiego pisarza Risto Krle, talent samorodny i wulkaniczny. Do 1939 roku autor był szewcem, a potem nagle zaczął pisać i w ciągu roku wystawił 3 dramaty. Twórczość jego przypomina nieco nastrojem chłopskie dramaty Rostworowskiego.

Główny nurt twórczości literackiej Jugosławii koncentruje się więc na powieści, choć stojący na szczycie Olimpu Mirosław Krleža, jugosłowiański Sienkiewicz i Żeromski w jednej osobie, rozpoczął swą twórczość od dramatu. Pierwsze jego dramaty, wydane w dziewięćdziesiątych latach, „Legenda”, „Michał Anioł”, „Krzysztof Kolumb”, operujące monumentalną symboliką, niesceniczne w formie, zawierały w sobie te wszystkie elementy, które stały się charakterystyczne i dla późniejszej twórczości wielkiego pisarza. Forma dramatyczna przechodząca nagle w nurt lirycznego wyznania, długie partie epickie wtrącone w akcję tragedii, przypominają często naszych wielkich romantyków, wraz z ich niepowtarzalnością. Toteż Krleža pozostał samotny, szkoły nie stworzył i literatura jugosłowiańska pozostała bez swego „klasycznego” dramatu. Z późniejszych dzieł Krleży najwybitniejsze: „Rapsodia Chorwacka” i powieść satyryczna „Bankiet w Blitwie” przedstawiająca proces odczłowieczenia jednostki w ustroju totalitarnym (1933) odznaczają się tą samą potęgą wyrazu i tą samą poszarpaną, pełną sprzeczności wewnętrzną formą.

Najnowsza powieść jugosłowiańska, z okresu ostatnich lat pięciu strząsnęła z siebie bez trudu socrealistyczny szablon i znalazła się niemal całkowicie w orbicie wpływów amerykańskich. Faulkner, Steinbeck, a zwłaszcza Hemmingway — stali się nauczycielami młodych pisarzy. Krąg tematów jak na razie jest bardzo ograniczony: twórcy nie zdołali wydobyć się z zaczarowanego koła przeżyć ostatniej wojny, walki partyzanckiej i walk domowych, czy rewolucyjnych.

Za najwybitniejsze dzieło z tego zakresu uchodzi w oczach krytyki powieść Oskara Davićo pt. „Poemat” (Pesma).

Już samo nadanie powieści tytułu „Poemat” świadczy o wielkiej ambicji autora. Tytuł ma zresztą sens niejako kilkownikowy, gdyż bohaterem powieści jest poeta-partyzant tworzący

w czasie walk swój poemat. Poza tym walka o wolność narodu — główne tło powieści — jest sama przez się najwspanialszym eposem, czy poematem.

Wady, perspektywy, brak dystansu, nieuniknione we wszystkich tego rodzaju dziełach mających za przedmiot własne niedawne przeżycia i udział w wydarzeniach ogólnonarodowych, sprawiają, że ten 700-stronicowy tom, przy wszystkich zaletach doskonałego rzemiosła literackiego, daje się czytać tylko z trudem. Młodzież literacka, którą pytałem o zdanie, nazywa go po prostu nudnym. Pełnię przeżycia dać on może tylko tym, którzy sami brali udział w opisywanych wydarzeniach. Dla szerszej publiczności książka jest jednak rewelacją przede wszystkim dlatego, że zawiera około stu stron niezawołowanej, lawrence'owskiej erotyki, mocno przeintelektualizowanej, ale pełnej niesfalszowanego temperamentu. Są to niewątpliwie najlepsze stronic Davićo.

W każdym razie książka ta, jako pierwszy nowoczesny romans psychologiczny wydany w państwie komunistycznym, jest swego rodzaju rewolucją, i próbą wyrwania się z kabotyńskiego, fałszywego purytanizmu obowiązującego dotychczas w tych ustrojach.

Do czołowej grupy prozaików zaliczyć trzeba w pierwszym rzędzie Andrića, który swą powieścią „Most na Drinie” osiągnął prawdziwy sukces wydawniczy; z młodszych wybijają się Mirko Bozić (Kurlany), Władan Desnica doskonały nowelista (Olupine na solncu) i macedończyk Stavko Janeski (Selo i za sedam jasenowa). Ten ostatni jest również cenionym poetą lirycznym tworzącym pod silnymi wpływami nowej poezji francuskiej. Dużą sensacją literacką było niedawno wydanie powieści pt. „Inne czasy”, Milićevića, wyraźnego antykomunisty.

W poezji panuje największy ruch twórczy i wrzenie. Gdy siedziałem w klubie literatów w Skopje w towarzystwie grupy młodych poetów, roznamietnionych dyskusją, przyszło mi na myśl mimowolne skojarzenie: — tak zapewne musiały wyglądać wieczorne zebrania krakowskiej Młodej Polski. Skojarzenie tym bardziej usprawiedliwione, że w toku zażartej debaty stale powoływano się na nazwiska polskie z tamtego właśnie okresu no i najnowsze.

Z Micińskim, Wyspiańskim, Staffem, Ważykiem, Peiperem i Miłoszem młodzież ta wydała mi się za pan brat. Kilku z nich było zresztą w Warszawie w okresie przed 1948, a 30-letni profesor filozofii miejscowego uniwersytetu, Blažo Koneski, autor kilku tomików poezji (Ziemia i miłość), mówi dobrze po polsku i jest tłumaczem nowel Andrzejewskiego.

Przyczyny tego „Sturm und Drangu” są na ogół dość zrozumiałe. Młodzi poeci, ludzie dziś dwudziestoletni, którzy byli przez całe lata, jak tylko długo pamięć ich sięga ograniczeni do sowigrafomanii — teraz nagle otrzymali pozwolenie na czytanie wszystkiego niemal co im się podoba. Cała poezja Europy i Ame-

ryki spadła im znienacka na głowy i nic w tym dziwnego iż nastąpił zamęt.

Cztery lata względnej wolności, z jakiej korzysta literatura jugosłowiańska, to okres zbyt jeszcze krótki, by móc wydawać jakiejkolwiek sądy ogólne. Od czasów Njegoša i „Górskiego Wierca” czarnogórskiego eposu narodowego, a więc przez pełne stulecie, literatura jugosłowiańska nie wydała dzieła wielkiego, w skali europejskiej czy światowej. Jej zrozumiały, narodowy partykularyzm nie potrafił dotychczas przezwyciężyć samego siebie i nie osiągnął tej powszechności wyrazu, bez której nie istnieje wielka Sztuka.

Już z wyżej powiedzianego wynika, że literatura ta nie mogła odpowiedzieć mi na to najogólniejsze, ale i najbardziej zasadnicze pytanie, o którym pisałem na początku: Jaki jest cel ostateczny, jaka jest wizja przyszłości, ożywiająca młodych Jugosłowian?

Pytanie to nie jest nawet stawiane przez nikogo w sposób poważny, gdyż zagadnienie podniesienia standardu życiowego przesłania dziś wszystko. Dla człowieka bosego (a pół Jugosławii chodzi boso) — zdobycie butów musi wydawać się rzeczą ogromnie ważną i godną wysiłku. Dopiero gdy już te buty zdobędzie, zaczyna podejrzewać, że istnieją rzeczy godniejsze pożądania. Ponieważ jednak z reguły nie wie jakie to są rzeczy, stoi oszołomiony, pozbawiony życiowego celu i ideału. Tak wygląda sytuacja mniej więcej we wszystkich krajach „wysoko uprzemysłowionych i rozwiniętych”. Jugosłowianie mają na razie swój cel życia — buty dla wszystkich — i na jedno pokolenie tego wystarczy.

Gdy pytałem gdzie w tym wszystkim jest socjalistyczny ideał, — odpowiedziano z wzruszeniem ramion: — „My robimy swoje. Jeśli następne pokolenie będzie niezadowolone — zrobi za 15 lat swoją rewolucję”. Pewien młody literat odpowiedział mi nieco inaczej: — „Czyż nie staramy się zbudować ustroju, w którym nie będzie wyzysku?” Mimo całej banalności tego sloganu, tkwi w tym powiedzeniu owa szczypta idealizmu, bez którego widocznie nawet najzaciętszy materialista nie potrafi się obejść.

Przemilczałem nasuwającą się uwagę, że kolektyw potrafi być znacznie okrutniejszym wyzyskiwaczem, niż prywatny właściciel, zwłaszcza kolektyw pracujący dla zysku, jak to jest w Jugosławii.

Łukasz WINIARSKI

Fragmenty z dziennika

Piszę ten dziennik z niechęcią. Jego nieszczerza szczerość męczy mnie. Dla kogo piszę? Jeśli dla siebie, dlaczego to idzie do druku? A jeśli dla czytelnika, dlaczego udaję że rozmawiam ze sobą? Mówisz do siebie tak, żeby cię inni słyszeli?

Jakże daleko jestem od pewności i rozmachu, które grają we mnie gdy — wybaczone — „tworzę”. Tu, na tych kartach, czuję się jakbym z nocy błogosławionej wydostawał się na twarde światło poranka, które wypełnia mnie pożywaniem i wywleka na jaw moje usterki. Fałsz, tkwiący w samym założeniu mego dziennika, czyni mnie nieśmiałym i przepraszam, ach, przepraszam... (ale może ostatnie słowa są zbędne, może już są pretensjonalne?).

A jednak zdaję sobie sprawę, że trzeba być sobą i być kimś na wszystkich piętach — to znaczy, że powinienem móc wyrazić się nie tylko w poemacie lub dramacie, ale i w zwykłej prozie — w artykule, czy w dzienniku — i lot sztuki musi znaleźć odpowiednik w sferze życia zwyczajnego, jak cień kondora kładzie się na ziemi. Co więcej, to przejście w świat codzienny z dziedziny cofniętej w najdalszą głąb, nieomal w podziemie, jest dla mnie sprawą niezmiernie wagi. Chcę być balonem, ale na uwięzi, anteną, ale uziemioną, chcę być zdolny do przełożenia siebie na język zwyczajny. Ale — traduttore, traditore. Tu zdradzam siebie, jestem poniżej siebie.

Trudność na tym polega, że piszę o sobie, ale nie w nocy, nie w samotności, tylko właśnie w gazecie i wśród ludzi. Nie mogę w tych warunkach potraktować siebie z należytą powagą, muszę być „skromny” — i znów mnie męczy to samo, co przez całe życie mnie męczyło, co tak zaważyło na moim sposobie bycia z ludźmi, ta konieczność lekceważenia siebie, aby się dostroić do tych, którzy mnie lekceważyli, lub którzy w ogóle nie mają o mnie zielonego pojęcia. A tej „skromności” ja za nic nie chcę się poddać i odczuwam ją jako mego śmiertelnego wroga. Szczęśliwi Francuzi, którzy piszą swoje dzienniki z taktem — ale nie wierzę w wartość ich taktu, wiem że to jest jedynie taktowne wymijanie problemu, który z natury swojej jest nietowarzystki.

Ale ja powinienem chwycić byka za rogi. Jestem od dzieciństwa bardzo wtajemniczony w tę sprawę, ona rosła wraz ze mną, dziś naprawdę powinienem czuć się z nią zupełnie swobodnie. Wiem i powiedziałem niejednokrotnie, że każdy artysta musi być pretensjonalny (gdyż pretenduje na cokolwiek pomnika) ale że, zarazem, ukrywanie tych pretensji jest błędem stylu, jest dowodem złego „rozwiązania wewnętrznego”. Jawność. Trzeba grać w otwarte karty. Pisanie nie jest niczym innym, tylko walką, jaką toczy artysta z ludźmi o własną wybitność.

Lecz jeśli nie jestem zdolny urzeczywistnić tej myśli tu, w dzienniku — cóż ona warta? A jednak nie mogę, i coś mi przeszkadza; gdy pomiędzy mną a ludźmi nie ma formy artystycznej zbyt żenująca staje się styczność. Powinienem potraktować ten dziennik jako narzędzie mego stawania się wobec was — dążyć do tego abyście w pewien sposób mnie ujęli — w sposób, który by umożliwił mi (niech się pojawi słowo niebezpieczne) talent. Ten dziennik niech będzie bardziej nowoczesny i bardziej świadomy i niechaj będzie przepojony ideą, że talent mój może powstać tylko w związku z wami, to jest iż wy jedynie możecie podnieść mnie do talentu — więcej — stworzyć go we mnie.

Chciałbym, aby dojrzano w mojej osobie to, co podsuwam. Narzucić się ludziom, jako osobowość, aby potem już na całe życie być jej poddany. Inne dzienniki powinny mieć się do niniejszego, jak słowa „jestem taki” do słów „chcę być taki”. Przyzwyczajaliśmy się do słów martwych, które tylko stwierdzają, ale lepsze jest słowo, które powołuje do życia. *Spirytus movens*. Gdyby udało mi się przywołać tego ducha poruszającego na stronice dziennika, mógłbym niejednego dokonać. Mógłbym przede wszystkim (i to jest mi o tyle bardziej potrzebne, iż jestem autorem polskim) rozbić tę ciasną klatkę pojęć, w której chcielibyście mnie uwięzić. Zbyt wielu ludzi, godnych lepszego losu, dało się spętać. Nikt inny, ja sam powinienem wyznaczyć sobie rolę.

A dalej — wysuwając, niejako tytułem propozycji, zagadnienia, mniej lub więcej związane ze mną, ja wciągam się w nie — i one doprowadzą mnie do innych, jeszcze mi nieznanych wtajemniczeń. Zapisać się jak najdalej na tereny dziewiczej kultury, na jej miejsca półdzikie jeszcze, więc nieprzyzwoite, i, podniecając was do drastyczności, podniecić i siebie... Chcę bowiem spotkać się z wami w tym właśnie gąszczu, związać się z wami w sposób możliwie trudny i niewygodny — dla was i dla mnie. A dalej — czyż nie muszę wyodrębnić się z obecnej europejskiej myśli, czyż mymi wrogami nie są kierunki, doktryny do których jestem podobny; i trzeba mi zaatakować je, aby zmusić siebie do odrębności — i was zmusić do jej potwierdzenia. Dalej — odkryć moją teraźniejszość, związać się z wami w dzisiejszości.

Chciałbym w tym dzienniczku jawnie przystąpić do konstruowania sobie talentu — tak jawnie, jak Henryk w trzecim akcie fabrykuje sobie ślub... Dlaczego — jawnie? Gdyż pragnę, ujawniając siebie, przestać być dla was zbyt łatwą zagadką.

Wprowadzając was w kulisy mojej istoty, zmuszam siebie do wycofania się w jeszcze dalszą głęb.

To wszystko — gdyby udało mi się przywołać ducha. Ale nie czuję się na siłach... Od trzech lat, niestety, wzięłem rozbrat ze sztuką czystą, gdyż mój gatunek nie jest z tych, które mogą być uprawiane na kolanie, albo w niedzielę i święta. Przystąpiłem do pisania tych fragmentów dziennika po prostu aby się ratować, ze strachu przed degradacją i ostatecznym pograżeniem się w falach życia trywialnego, które już mi sięga do ust. Lecz okazuje się, że i tutaj nie jestem już zdolny do pełnego wysiłku. Nie można przez cały tydzień być nicością, aby w niedzielę zaistnieć. Gazeciarze i wy, godni rajcy i kibice, nie macie powodu do obaw. Nie grozi wam już z mojej strony żadna zarozumiałość, żadna niezrozumiałość. Jak wy, i wraz z całym światem, staczam się w publicystykę.



Mój stosunek do Polski wynika z mego stosunku do formy — pragnę uchylić się Polsce, jak uchylam się formie — pragnę wzbić się ponad Polskę, jak ponad styl — i tu i tam, to samo zadanie.

Poniekąd czuję się Mojżeszem. Zabawna, doprawdy, w naturze mojej ta skłonność do przesady na własnych punkcie. W marzeniach nadymam się, jak mogę. Ha, ha, dlaczego — zapytacie — czuję się Mojżeszem? Sto lat temu litewski poeta wykuł kształt polskiego ducha, dziś ja, jak Mojżesz, wyprowadzam Polaków z niewoli tego kształtu, Polaka z niego samego wyprowadzam...

Uśmiełem się do łez z mojej megalomanii! Ale, teoretycznie biorąc, taka antynomia nie byłaby całkowicie nieuzasadniona i ciekawy byłbym ilu ludzi z dzisiejszej naszej tzw. ale poza tym P. T. inteligencji byłoby zdolnych wyczuć sens tego procesu. Że pewien Polak, właśnie dlatego iż już zanadto, zbyt usilnie, był Polakiem i tylko Polakiem, zapragnął kategorycznie wyzwolić się z Polaka — i że właśnie wśród nas, wskutek tak silnego zapamiętania się w narodzie, musiało powstać uczucie wręcz przeciwne, idea całkowicie sprzeczna. Zapytuję też, ilu z tych P.T. inteligentów zdołałoby pojąć, jak bezmierne perspektywy stwarza przed nami taka rewolucja, pod warunkiem, że znajdzie ludzi dość stanowczych i niedrobnych, aby doprowadzić ją do ostatecznego urzeczywistnienia. Cóż za odświeżenie! Jaki przypływ energii twórczej i jaka prężność tej swobody opartej o odnowiony stosunek Polaka do siebie! Ach, marzę czasem, że znajdę popleczników, którzy by mnie rozdmuchali do rozmiarów zdarzenia naszej historii i twierdzą, że nie byłoby to niemożliwe — gdyż w moim pojęciu znaczenie dzieła zależy tyleż od tego, kto czyta, co od tego, kto pisze. Tyle jest książek, które mogłyby zagrać jak trąby jeryhońskie, gdyby ludzie wzniesli je do góry i przyłożyli do ust... Śpij, trąbo moja, porzucona na śmietniku niewyzyskanych polskich możliwości.

Śmietnik. W tym sęk, że ja wywodzę się z waszego śmietnika. We mnie odzywa się to, co wy w ciągu wieków wyrzucaliście jako odpadki. Jeśli moja forma jest parodią formy, to mój duch jest parodią ducha, a moja osoba parodią osoby. Czy nie jest tak, że formy nie można osłabić przeciwstawiając jej inną formę, a tylko — rozluźnieniem samego stosunku do formy? Nie, to nie przypadek, że w chwili kiedy na gwałt potrzeba bohatera, rodzi się ni stąd ni zowąd błazen... świadomy i wskutek tego poważny. Za długo byliście zbyt dosłowni — zbyt naiwni — w waszej rozgrywce z losem. Zapomnieliście, że człowiek nie tylko jest sobą, ale i udaje siebie. Wyrzuciliście na śmietnik to wszystko, co w was było teatrem i aktorstwem i usiłowaliście o tym zapomnieć — dziś przez okno widzicie, że na śmietniku wyrosło drzewo, będące parodią drzewa.

Przyjawszy, że się urodziłem (co nie jest pewne), urodziłem się, aby zdemaskować waszą grę. Książki moje nie mają wam powiedzieć: bądź, kim jesteś, ale — udajesz, że jesteś, kim jesteś. Chciałbym, aby stało się w was płodne to właśnie, co uważaliście za całkowicie jałowe i nawet zawstydzające. Jeśli tak nienawidzicie aktorstwa, to dlatego, że ono w was tkwi — ale dla mnie aktorstwo staje się kluczem do życia i rzeczywistości. Jeżeli brzydzicie się niedojrzałością, to ponieważ macie ją w sobie — ale we mnie niedojrzałość polska wyznacza cały mój stosunek do kultury. Moimi ustami odzywa się młodość wasza, wasze pragnienie zabawy, wasza uchylająca się giętkość i nieokreślenie — tego właśnie nienawidzicie, to z siebie wypieracie — we mnie wyzwała się Polak ukryty, wasze alter ego, odwrotna strona waszego medalu, część księżycy waszego dotąd niewidzialna. Ach, chciałbym abyście stali się aktorami świadomymi gry!

Lecz myślę w tej chwili o masie narodu, o tysiącach i tysiącach prostych ludzi? Na co im to? Trudno — w ciemnościach, w jakich się znajduję, nie mogę działać inaczej niż na oślep. Piszę to wszystko tytułem propozycji, aby zobaczyć jaki wywoła efekt... i jeśli efekt będzie dodatni, posunę się dalej.

Zarozumiałość moja trąci poważną chorobą. Zaczynam obawiać się, że felietoniści udzieli mi zasłużonej chłosty. Ale co począć z pychą, która mnie ponosi. Czy iść do lekarza? (To napisano, aby się zabezpieczyć i, zabezpieczając się, uzyskać większą swobodę działania).

Poza tym — czy ja siebie rozumiem? Określając siebie, grzeszę nie tylko przeciw własnej filozofii, ale przede wszystkim przeciw memu żywiołowi lirycznemu. I pewna osoba, nader przenikliwa, ostrzega mnie w liście: — Niech pan nie komentuje siebie! Niech pan tylko pisze. Jaka szkoda, że pan daje się sprowokować i pisze wstępy do swoich dzieł, wstępy a nawet komentarze!

A jednak muszę siebie tłumaczyć o tyle, o ile mogę i jak dalece mogę. Pokutuje we mnie przeświadczenie, że pisarz, który nie potrafi pisać o sobie, jest niekompletny.

Z. K. od kilku lat przebywałem siedem godzin dziennie w jednym pokoju — mój towarzysz pracy, urzędnik, jak ja — i polubiłem go... W ubiegły piątek pożegnałem się z nim, jak zawsze — ale w poniedziałek już nie zasiadł przy biurku. Zniknął, czyli umarł. Umarł nagle i zniknął tak zupełnie, jakby jakaś ręka wyjęła go spośród nas. Widziałem go jeszcze raz w trumnie, gdzie wyglądał jak rzecz natrętna, narzucająca się oczom. Przykre wrażenie.

Co pewien czas ktoś z kolegów ulatnia się w ten sposób, a wtedy wtulając głowy w ramiona, mówimy: Hm, hm... (cóż innego możemy powiedzieć?) i lekka konsternacja zawisa w powietrzu. A jednak w znakomitej większości my wszyscy, urzędnicy, jesteśmy już w trakcie umierania. Ludzie po czterdziestce, którzy wykańczają się powoli, co rok starsi o rok. Na pogrzebie myślałem: że to nie żywi żegnają nieboszczyka, ale umierający umarłego. Na cmentarzu, w jasnej południowej godzinie, te twarze napiętnowane pewną zasadniczą beznadziejnością wyglądały trupio, jak ów trup w trumnie, i każdy dźwigał siebie jak torbę, wypełnioną zgonem.

Przez cały czas pogrzebu brzydota powolnej śmierci, którą nazywamy starzeniem się, ciążyła mi jak głaz i to głaz absolutny, nieunikniony, głaz sans phrases. Rozmyślałem też nad mistyfikacją, która temu towarzyszy. Gdyż wśród ludzi nie ma, nie może być większego przeciwieństwa jak biografia wstępująca i zstępująca, jak rozwój i dekadencja, jak człowiek po trzydziestce, który już zaczyna się kończyć i człowiek przed trzydziestką, który się rozwija. To ogień i woda, tu coś się zmienia w samej istocie człowieka. Cóż ma wspólnego młodziencze ze starzejącym się, gdy obaj napisani są w innej tonacji? Wydawałoby się zatem, że powinny być dwa osobne języki: jeden dla tych, którym przybywa życia, drugi dla tych, którym ubywa. Ale ten kontrast został właściwie przemilczany, starzejący się udają, że żyją w dalszym ciągu, nikt nie był w stanie stworzyć osobnego słowa dla ludzi wkraczających w umieranie. Przyjrzyjcie się sztuce — ona robi co może, aby zatrzeć fatalną granicę. Posłuchajcie jak rozmawiają ze sobą ci „dorośli” — ta sama mowa młodości, te same nawet żarty, to samo wdzięczenie się, zaprawione jedynie smakiem próżni i karykatury. Otóż fakt, że nasz język nie zmienia się od podstaw po przekroczeniu fatalnej granicy, że pomiędzy pierwszymi a ostatnimi sonatami Beethovena nie ma przepaści, nie dającej się wypełnić, jest biącym w oczy dowodem, że człowiek w swoim indywidualnym istnieniu nie może się wypowiedzieć — że jest milczeniem — że jest pozbawiony wyrazu.

Teraźniejsza myśl francuska o śmierci jest dla mnie wyjątkowo sztuczna, jak zresztą wszystkie inne mementa mori. Stanowią one jeden przykład więcej, jak dalece myśli nasze są nam obce. To walkowanie śmierci wykazuje jedynie, że nie jesteśmy w stanie jej zasymilować; albowiem ona — gdybyśmy naprawdę wyczuli jej obecność — musiałaby odebrać nam sen i apetyt; ale nie przeszkadza nam nawet w chodzeniu do kina. A cóż dopiero mówić o śmierci katolickiej z jej czyszcem i piekłem, wypełnionej przecuciem bólu. Tak więc, nie przejmujemy się własnymi myślami i wydaje się jak gdyby myśl ta myślała się sama — po heglowsku — na własną rękę.

Więc nie wierzę, aby śmierć była właściwym problemem człowieka i uważam, że dzieło sztuki nią przejęte całkowicie, nie jest dziełem w pełni autentycznym. Właściwa sprawa nasza, to właśnie starzenie się, owa postać śmierci, której co dzień doświadczamy. Lecz nawet nie samo starzenie się, a ta jego właściwość, że jest tak zupełnie, tak straszliwie odcięta od piękności. Nie męczy nas nasze powolne umieranie, lecz raczej to, że wdzięk życia staje się nam niedostępny. Ujrzałem na cmentarzu młodego chłopca, który przeszedł między grobami jak istota z innego świata, tajemnicza i hojnie kwitnąca, podczas gdy my byliśmy jak żebracy. Uderzyło mnie jednak, że nie odczułem naszej bezsilności jako czegoś bezwzględnie nieuniknionego.

I to odczucie natychmiast spodobało mi się we mnie. Czepiam się tylko myśli i uczuć, które mi się podobają, nie jestem zdolny pomyśleć ani odczuć niczego, co by mnie zupełnie unicestwiało. Więc i teraz poszedłem po linii tego myślenia, które przez to właśnie, że powstało we mnie, stwarzało nadzieję. Czy naprawdę nie można już związać wieku dojrzałego z życiem i młodością? Ta sztuczność, do której coraz bardziej przyzwyczajam się w człowieku, ta idée fixe, która tak powoli i opornie we mnie wrasta, że przerażająca konkretność naszego kształtu nie jest jedyną możliwą, czyni mi świat elastycznym; i, gdy dawniej sądziłem, że wszystko już zostało powiedziane, dziś otaczają mnie bezmiary kombinacji idei i form, i wszystko naokoło staje się żywe (Tutaj chcę zaznaczyć, że z pół godziny szukałem zdań, które zjawiają się poniżej. Czyż, jak zawsze, stawiam problem, nie znając rozwiązania, opierając się tylko na intuicji, że rozwiązanie jest, dla mnie, możliwe — a na cmentarzu nie przemyślałem sprawy do końca). Według mnie, młodość w głębi ducha nie lubi własnej piękności i przed nią się broni — otóż ta niechęć do piękności jest w niej piękniejsza niż piękność sama — i w tym zawiera się jedyna możliwość przewyciężenia dystansu, który zabija.

Ktoś obdarzył mnie z Paryża paczką ważnych książek francuskich, domyślając się słusznie, że ich nie znam i że trzeba, abym je przeczytał. Jestem skazany na czytanie tych tylko książek, które mi wpadną w rękę, ponieważ nie stać mnie na kupowanie

— zgrzytam zębami widząc osoby z przemysłu i handlu fundujące sobie biblioteki dla ozdoby gabinetu, podczas gdy ja nie mam dostępu do utworów, które w nieco inny sposób są mi potrzebne. Ale wymagacie, abym był czytany i zorientowany, nieprawdaż? Mówił mi kiedyś Iwaszkiewicz, że artysta nie powinien wiedzieć za dużo. To słuszne i bardzo, ale nie może on pozwolić, aby głos mu się spóźniał i bezkresny idiotyzm ustroju, który zatrząskuje przed nim drzwiami teatrów, sal koncertowych, księgarń, drzwi otwarte na oścież przed snobistycznym pieniądzem, zemści się kiedyś na was. Ten system, spychający intelektualistę na szary koniec, który gnębi ludzi żywych a każe finansować miernoty, który odbiera inteligencji możliwość rozwoju, będzie w przyszłości należycie oceniony i wnuki wasze będą was miały za głupców (ale cóż was to obchodzi!)

Dopiero teraz, dzięki przyjaznej hojności paryskiej, mogłem zapoznać się ze znakomitą dziełem Camusa „L'Homme révolté” — w rok po ukazaniu się książki. Czytam ją „pod ławką”, jak niegdyś w szkole, więc Camus mógłby słusznie zgłosić zastrzeżenia pod adresem takiej lektury — ale mimo to jego tekst stał się natychmiast osią moich rozmyślań. „Przerażenie”? Tak, „przerażenie” (prawdę mówiąc, nie doświadczam uczuć inaczej, jak w cudzysłowie). Ale, jeśli mógłbym mówić o przerażeniu, to powiedziałbym, że mniej mnie przeraża dramat, który książka opisuje, niż wola stwarzania dramatu, dająca się wyczuć w samym autorze. Hegel, Schopenhauer, Nietzsche, o których co chwila musimy myśleć, czytając to, byli niemniej dramatyczni — ale tragiczna myśl ludzkości w owym czasie miała w sobie jeszcze rozkosz odkrycia, tak jawną u Schopenhauera, a i w Nietzsche namacalną i dziecinną — a Camus jest zimny.

Piekło tej książki jest bardziej niepokojące dlatego, że jest zimne; a jeszcze bardziej dlatego, że jest zamierzone. Wydawałoby się, że nic niesłuszniejszego od tych słów — gdyż trudno o utwór bardziej ludzki i szlachetniejszy w intencji, o gorętsze przejęcie się człowiekiem i o język dalszy od efekciarstwa, trudno o większą powagę. Ale śmiertelny chłód spowodowany jest tym właśnie, że Camus wzbrania sobie nawet tej przyjemności, jaką daje zrozumienie świata, on chce dać sam tylko ból, odrzuca rozkosze lekarza, który cieszy się swoją diagnozą — chce być ascetyczny. A jego pragnienie tragedii ma swoje korzenie w tym, że dla nas, dzisiaj, tragedia i wielkość, tragedia i głębia, tragedia i prawda stały się synonimami. Co oznacza, że nie umiemy być wielcy, głębocy, prawdziwi inaczej, jak tragicznie.

To jest może jedna z naczelných cech naszego myślenia na przestrzeni ostatniego stulecia. Z jednej strony — dojrzeliliśmy o tyle, że już nie możemy cieszyć się naszą prawdą. Z drugiej — jesteśmy nastawieni na tragiczność i szukamy jej zawzięcie, jak skarbu. Więc chyba nie stary, monotony w swoim nieszczęściu świat stał się bardziej tragiczny, tylko człowiek. I tu rzeczywiście można się niepokoić — gdyż jeśli nie przestaniemy, pochyleni nad naszą przepaścią, wywoływać z nicości demona, wypełni on

wszystkie zakątki naszego bytu! Świat będzie taki, jakim my go zechcemy. Jeśli więc istnieje Bóg na wysokościach i w dodatku miłośni, niech sprawi, abyśmy „złych snów nie miewali”, gdyż „nie jest to dobre, ani wyjść może na dobre”.

Co miałbym do powiedzenia o morale „Człowieka zbuntowanego”?

Jest to utwór, na który z całego serca chciałbym się zgodzić i niewiele jest dzieł współczesnych, które by budziły we mnie tak silną żądzę stowarzyszenia się z autorem, uznania tych słów za moje. Ale w tym sęk, że dla mnie sumienie, sumienie indywidualne, nie posiada tej mocy, co dla niego, gdy idzie o zbawienie świata. Czyż na każdym kroku nie widzimy, że sumienie nic prawie nie ma do powiedzenia? Czy dlatego człowiek zabija, lub dręczy, że doszedł do wniosku, iż ma prawo? Zabija dlatego, że zabijają inni. Męczy ponieważ inni męczą. Najokropniejszy czyn staje się łatwy, gdy droga przezeń została utorowana i, na przykład, w obozach koncentracyjnych ścieżka do śmierci była już tak wydeptana, że mieszczuch niezdolny zabić muchy w domu, uśmiercał z łatwością ludzi. Więc to co dzisiaj nas zabija, to nie taka czy inna problematyka, to, aby tak się wyrazić, rozpущenie się problematyki w masie ludzkiej, jej unicestwienie pod działaniem ludzi.

Ja zabijam ponieważ ty zabijasz. Ty i on i wy wszyscy dręczycie, więc i ja dręcę. Zabiłem go, gdyż wybyście mnie zabili, gdybym go nie zabił. Taka jest koniugacja i deklinacja naszych czasów. A z tego wynika, że nie w sumieniu jednostki tkwi sprężyna działania, lecz w tym stosunku, który wytwarza się między nią a innymi ludźmi. Nie dlatego popełniamy zło, że zniweczyliśmy w sobie Boga, lecz ponieważ Bóg a nawet szatan są nieważni, gdy sankcją czynu staje się drugi człowiek. Na całej przestrzeni książki Camusa nie odnajduje tej prostej prawdy: że grzech jest odwrotnie proporcjonalny do ilości ludzi, którzy mu się oddają — i ta deprecjacja grzechu i sumienia nie odzwierciadla się w dziele, które dąży do ich wyolbrzymienia. Camus także, śladami innych, wydobywa człowieka z masy ludzkiej, a nawet z obcowania z drugim człowiekiem, konfrontując duszę pojedynczą z egzystencją — co tak wygląda jakby rybę wydobył z wody.

Myśl jego jest zbyt indywidualistyczna, zbyt abstrakcyjna. Od dawna już ta rasa moralistów wydaje mi się zawieszona w próżni. Jeśli chcę, abym nie zabijał, i nie prześladował, nie usiłujcie mi tłumaczyć, że bunt jest „afirmacją wartości” — spróbujcie raczej rozładować sieć napięć, które wytworzyły się między mną a innymi, ukażcie, jak jej nie ulegać. Sumienie? Wprawdzie mam sumienie, ale jak wszystko we mnie, jest ono raczej pół-sumieniem i niedosumieniem. Jestem pół-ślepy. Jestem lekkomyślny. Jestem byle jaki. Camus, drapieżny zławca świata niższego, jeden z tych, którzy najlepiej potrafili oddać „luke” królującą w naszym nieuczułowieczeniu — a jednak i on szuka zbawienia w wysublimowanych formułach.

Dlaczego, czytając moralistów, zawsze mam wrażenie, że im wymyka się człowiek? Bezsilny, abstrakcyjny i teoretyczny wydaje mi się moral — jak gdyby prawdziwa nasza egzystencja urzeczywistniała się gdzieś poza nim. Zapytuję: czy to sam Camus przemawia do mnie w tej książce, czy pewna szkoła myślenia moralnego, która wytworzyła się na ziemi francuskiej zbiorowym wysiłkiem rozmaitych Paskalów — i oni ten instrument, wydoskonalony i wyostrzony usilną pracą tylu myślicieli, aplikują tak oto bezpośrednio mnie i innym ludziom? Nie jestże to moral wyspecjalizowany? Rozbudowany? Rzekłbym, przesadnie głęboki? Nadmierny? Przerastający? Moral, będący nie tylko dziełem ludzi o specjalnie wysubtelnionym poczuciu głębi, lecz w dodatku wzajemnie siebie w nim doskonalących. Ich myśl tylko z pozoru jest indywidualistyczna — zajmuje się jednostką, ale nie jest tworem jednostki.

Co chwila namiętność Camusa rozbija ten szkielet i wówczas oddycham. Niemniej męczy mnie owo sumienie wyśrubowane, które mi podsuwa, sumienie ostateczne i kosmiczne. Jak ożywić moralność, odebrać jej ten aspekt teorii, jak sprawić, aby trafiała do mnie, do człowieka? Na próżno Camus chce mi pogłębić sumienie. Mój problem, to nie doskonalenie mojego sumienia, a to przede wszystkim, jak dalece moje sumienie jest moim. Albowiem sumienie, jakim dzisiaj dysponuję jest tworem kultury, a kultura jest czymś co wprawdzie z ludzi powstało ale z człowiekiem bynajmniej nie jest identyczne. I tu chcę powiedzieć: stosując do mnie ten wytwór zbiorowy, nie traktujcie mnie jak gdybym był samoistną duszą w kosmosie — droga do mnie wiedzie poprzez innych ludzi. Jeśli chcecie przemówić mi do sumienia, nigdy nie mówcie do mnie wprost.

Samotność, bijąca z Camusa, męczy niemniej od marksistowskiego, suchego, kolektywizmu. Im znakomitsze są wartości tej książki, tym bardziej męczy. Podziwiam, zgadzam się, podpisuję się pod tym, popieram — a jednocześnie odnoszę się do własnej mojej afirmacji z niedowierzaniem.

W tym kierunku idę — i nie dlatego żebym chciał, ale że muszę.

Jaspers: „Prawdziwy bohater nie daje się złudzić nierealnym nadziejom ani kłamliwym echom, które budzi jego działalność, i które podsuwają mu fałszywy obraz własnego ja. Rezygnuje z łatwej drogi, którą idą wszyscy, i nie nadwątlił go opór, ani krytyka. Charakteryzuje go wierność wobec własnego powołania. A jednak ta wierność może wydać go odosobnieniem: rzeczywiście, ludzie zły woli skłonni będą uznać to tylko za chępliwy upór, który należałoby ukarać niedostrzeganiem — w ten sposób usiłują zmusić bohatera do poddania się woli ogółu. Utrzymać w tych warunkach swoją linię bez zaciętrzewienia, ale i bez słabości, nie dać się zmącić, zachować nawet w momentach wyczer-

pania duchowego wierność decyzji z którą utożsamiamy własną egzystencję, oto zadanie, które niejednego położy na obie łopatki”.

„...A zatem cechę bohatera stanowi, że on umie oprzeć się siłom — których natura zmienia się wraz z epoką — usiłującym narzucić mu swoją ślepią wolę; tak więc, dzisiaj, bohater opiera się nieuchwytnej sile masy. Żaden człowiek, pragnący żyć na świecie nie może obecnie zadrzeć z masą; musi ją przyjąć bez protestu i wziąć w niej udział, lub, w przeciwnym razie, zostanie umęczony przez tego tyrana, który zabija w milczeniu i niedostrzegalnie... Bohater współczesny jest męczennikiem, który nie widzi swojego wroga, a sam również jest niewidzialny w tym, czym jest naprawdę”.

Pisane w roku 1930. Mogłoby być napisane sto lat temu — nie w tym nie ma nowego. A jednak dzisiaj to staje się prawdziwsze niż było, coraz ostrzejszą treść wkłada w to czas.

Witold GOMBROWICZ

POLSKIE SŁOWO NA OBCZYŻNIE

Największa na emigracji

KSIĘGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIĄŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

wiele nowych własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

Artysta wobec epoki

Stanisławowi Wojcieszyskiemu, który otworzył 15 października u Colette Allendy w Paryżu swoją pierwszą wystawę.

1.

Nie chcę być letni, chcę być zimny albo gorący, chcę kochać i nienawidzić, chcę przyświadczać albo potępiać, bo chcę brać udział, co znaczy, że chcę być. Jeżeli jednak o tym, co mam kochać a co nienawidzić, muszę się dowiadywać, jeżeli na to, co mnie ma rozgrzewać a co mrozić, mają mi wskazywać, jeżeli przyświadczać mam temu, w co mnie wciągają lub wypychają, a potępiać to, od czego mnie odrywają — moja egzystencja staje się już nawet nie cudzym dziełem, ale wypadkową bezosobowych sił. Bo ci, którzy mnie informują, pouczają, popychają lub odrywają, nie czynią tego według swego wyboru, ale wedle konieczności. Są oni pośrednikami między odległym musem a mną, którego ten mus nigdy nie dotknąłby bezpośrednio. Z losu obcego, który sam jest bardziej możliwością niż koniecznością, kuja mi los mój własny, gotowy i nieuchronny. Wkładam nogi w te dyby, bo nie mam wyboru. Nagminność tego gestu sprawia wrażenie, jakby rozdziła się konieczność dziejowa. Wahanie sąsiada przeraża zamiast zastanawiać, rebelia staje się zdradą, bo zrywa solidarność.

2.

Dziwna jest wolność, z której każą dziś artyście być dumnym. Nigdy nie przyznawano mu większej — któż z nich zechce temu przeczyć? Nie ma ona końca — rzecz w tym, że ma początek! Zaczyna się wysoko, tam, gdzie niewola się kończy, bo osiągnęła doskonałość. Artysta, to bliźni, który w dybach... tańczy! Ale ten taniec pozostaje tańcem w dybach, bo tylko pod tym warunkiem może być tańczony. Dla tego tylu artystów dziś jest „świadkami epoki”, a żaden nie nadaje jej swego piętna. Żaden nie śpiewa swojej miłości, żaden nie głosi swego przyświadczenia, każdy zagłusza swoją nienawiść i sam śmieje się

z potępienia, które mu się z ust wyrwa. Choć biją nań siódme poty, tańczy swój taniec potępieńczy, który mu o dybach zapomnieć nie pozwala, a o wolności — wolności bez końca, ale zaczynającej się wysoko — pamiętać każe. Stąd perwersyjność współczesnej sztuki, która nie wyraża radości życia, ale rozkosz męczarni. To nie artysta jest mazochistą — to epoka pozostawia człowiekowi współczesnemu wybór między mazochizmem a ciłym obłędem. Silni wybierają mazochizm — słabi zapadają w idiotyzm.

3.

Nie ma dziś uczucia, które obiegłszy gwiazdy, nie wróciłoby do trzew. Przestrzeń jest zakrzywiona nie tylko dla fizyków, ale i dla metafizyków. Nie natrafiając na nic, co by ją wywiodło w nieskończoność, myśl pędzi dalej, by wrócić do człowieka, ale tu nie napotyka na osobowość, tylko na mechanizm. Gdy nie ma nic poza światem, jego większa i lepsza część staje się zbędna. Tracąc swój naturalny przedmiot — nieskończoność — człowiek staje się swoim własnym przedmiotem i rusztowanie, które zbudował, by się ku nieskończoności piąć, zawala się jak wieża Babel. Filozofia staje się ekonomią, kultura hodowlą. Dobroczynicy ludzkości kują żelazne dyby z czystym sumieniem.

4.

Nie ma życia dla życia, świat nie istnieje jako taki. Kończąc się śmiercią, życie nie może być celem samo w sobie. Będąc widownią życia, świat jest taki, jakie jest życie. Ale żadne życie nie istnieje samo. Każdego bezinteresownego widza wnet łapie nurt życia i wyniosłą ciekawość przemienia w mizerną nieopatrność. Człowiek jest sam tylko w obłędzie. Ale oto budujemy cywilizację dla samotnych. Zrywamy jedno po drugim więzy łączące ludzi, aż nam ze związków pozostają tylko związki liczbowe. Ludzie przestają się łączyć, a zaczynają się dodawać. Skalę wartości coraz pewniej zastępujemy wykresem statystycznym i coraz rzadziej się mylimy. Nie daleki jest dzień, gdy wszystko co ludzkie będzie obliczalne. A co jest obliczalne, staje się powolne. Lecz komu będziemy powolni, gdy jedyną formą woli będzie pragnienie niewoli?

5.

Wielcy artyści wszystkich czasów byli świadkami wieczności, nie epoki. Jeżeli przez nich lepiej rozumiemy epokę, w której żyli, obraz ten zawdzięczamy wysokości, z której został zdjęty. Żadne oko nie może spojrzeć w siebie, żadna epoka nie może zobaczyć się sama. Każda epoka wykrzywia postać ludzką, wtłaczając ją w ciasne ramy swoich możliwości. Wielka sztuka prostuje postać ludzką rzutując ją na bezkres ludzkiego losu i w ten sposób pośrednio artysta staje się świadkiem epoki, bo jest jej

sędzią. Ale nie może być świadkiem, a tym mniej sędzią, jeżeli nie żyje poza epoką, w absolutie ludzkiej doli. Wielki artysta zna prawdę o człowieku i dlatego prawdę o epoce potrafi mimo chodem.

6.

Każda epoka nienawidzi swych wielkich artystów, bo przegląda się w ich sztuce jak w krzywym zwierciadle. Epokę stwarza lęk przed pełnym człowieczeństwem. Człowiek epoki wciela w życie wybrany aspekt człowieka. Dla tego każda epoka się kończy. Śpiesząc się do kresu swych wysiłków, człowiek poprzestaje na możliwościach swej cywilizacji i zamienia je w ideał. Głód wielkiego artysty nie daje się tak łatwo zaspokoić. Gdy człowiek epoki dostaje czkawki z przejedzenia, człowiek wolny dopiero wychodzi na łowy. Gdy epoka goni epokę, ideał — ideał, a cywilizacja cywilizację — wielka sztuka trwa. Wolność wielkiego artysty jest decyzją życia w absolutie doli ludzkiej i dla tego jest hańbą i skandalem epoki, która zawsze pragnie niewoli. Wielka sztuka obala figury bożków w imię niewidzialnego Boga.

7.

Epoka deformuje człowieka, a z nim świat. Wielkich artystów nie różni od małych ani talent ani zręczność, ani nawet pracowitość czy wytrwałość. Mają oni inne pojęcie o człowieku, a mając inne pojęcie o człowieku, mają inne pojęcie o świecie. Człowiek epoki widzi świat w swojej perspektywie — wielki artysta widzi siebie w perspektywie nieskończoności, która z tworzywa cywilizacji przemienia świat w tworzywo ducha. Gdy w cywilizacji rzeczy układają się w hierarchię celowości i trwają w niej, póki się nie zużyje — w perspektywie wieczności wszystkie rzeczy otrzymują nowy sens. Wielki artysta patrzy na świat, jak patrzył nań człowiek w dniu Stworzenia. Widzi on możliwości człowieka, a nie jego narzędzi. Staje przed nim na nowo dola ludzka, a cywilizacja czeźnie.

8.

Konwenans rynku pozostawia dziś artyście już tylko nieokreślone formy i niejasne symbole. Ma mieć wrażliwość zmysłową i smak, o dolę ludzką ma troszczyć się symbolicznie. W nagrodę za to wyrzeczenie wchodzi w izolowany świat elity. Atmosfera jest tam wyjąłkowa ze wszystkiego, co stanowi o tym, że życie jest życiem. Ale ta wieża nie jest z kości słoniowej, jest to wieża kontrolna. Pewnego dnia stanie się szklanym bolidem zawieszonym w przestworzach międzyplanetarnych. Oderwana od ziemi, ta elitarna kabina czerpać z niej będzie już tylko to, co biologowie uznają za niezbędne. Sztuka nowoczesna szykuje się do roli gloryfikatora tego Triumfu Nauki. Ideałem epoki jest Czystość Przez Wysiłek Zewnętrzny. Duch ludzki nie prze-

tworzył świata — stworzył mu konkurencję. Jest to zwycięstwo po ucieczce z pola bitwy. Ale jest to zwycięstwo antycypowane. Inteligencja technokratyczna dzieli skórę na nieupolowanym niedźwiedziu. Elita jeszcze nie oderwała się od ziemi. Czy możemy być pewni triumfu przez wyminięcie świata?

9.

Gdy Uccelli, Piero, Vermeer, Chardin i Cézanne studiują rzeczywistość i odkrywają ducha — czy robią koncesje? Czy może budują sobie z rzeczy ośli most do form, które w ostateczności nie są niczym innym, jak wytworami umysłu? Matematyka rozwija się w abstrakcji i zdobywa tam formułki, którymi rozkrawa materię jak dojrzały owoc. Piero della Francesca uczy się perspektywy i anatomii, by w końcu uzyskać zestawienie barw i kształtów, które Cézanne osiąga przez urągające wiedzy splaszczanie przedmiotów, a Miro i Kandinsky przez swobodną grę imaginacji. Obraz Piera czy Chardina rozumiemy dopiero zapominając o przedstawionych na nim rzeczach lub nie zauważywszy ich nawet. Czyż nie trudzili się daremnie? Ale dlaczego wolność, którą osiągnęli po pokonaniu tylu przeszkód, napełniała ich poczuciem wzniosłości, a nasza wolność bezpłatna niemal ciąży nam jak klątwa? Dlaczego — korzystając z ostatniej licencji, jaką pozostawiają nam marszandzi — uciekamy się do symboli, które wyraziłyby przynajmniej mękę, jeżeli radość jest nam wzbrowniona? Dlaczego marzymy po cichu, by ta resztką treści, którą przemycamy do naszych dzieł i która ma naszej wolności zakreślić granice, zrozumiana została jako protest, zagrała jak apel i wywołała bunt?

10.

Abstrakcja nie jest zamiarem — jest rezultatem. — Dyktując sztuce formy, zamiast je odkrywać w procesie poznania świata, artysta popada w projektowiczostwo. Muzyka „konkretna” marzy o aparatach elektronicznych mogących produkować utwory muzyczne, z których każdy otworzy i wyczerpie cały nowy świat muzyczny. Kulturami, które wytrącamy z rękawa, moglibyśmy zapłacić wszystkie epoki historii na wszystkich planetach wszechświata. Duch, nie znajdujący oporu, kręci się w próżni i fabrykuje projekty. Ale Bóg niedarmo stworzył świat, by radować się swoim duchem, który wszakże jest nieskończony. Artysta współczesny musi wypowiedzieć posłuszeństwo konwenansom, które odrywają go od jego misji, a sztukę jego pozbawiają przedmiotu. Człowiek traci sens, gdy bardziej obchodzi go, co może wymyślić niż co może zrobić. Artysta powinien pamiętać, że nie reprezentuje ludzkości. Kapitulując przed wymogami rynku, łączy się z jedną tylko częścią inteligencji: tą, która planuje szklanego bolidu i dzieli skórę na nieupolowanym niedźwiedziu. Jest ona skazana na klęskę.

Jan ULATOWSKI

Kraj

Kraj w neutralnym zwierciadle

Zacznę od anegdotki, która po wielu latach nie straciła posmaku aktualności.

Na pogrzebie Lenina zalewała się łzami nieznana staruszka. „Nie płacz — pocieszał ją krasnoarmieje. — Lenin umarł, ale jego idee żyją!” — „Dlatego właśnie płaczę” — bąknęła staruszka.

Dawno już jej nie ma na świecie. Mało kto pozostał z jej potomstwa. Dojrzały nowe pokolenia. Czy wielu spośród nich w ten sam sposób oplakuje Stalina — w imperium sowieckim i w krajach tzw. satelitów?

Co się tam naprawdę dzieje? Rosję nazywano Grand Inconnu, w czasach, kiedy można było swobodnie po niej podróżować i rozmawiać z ludźmi. Dzisiaj otoczona ona jest znacznie większą tajemnicą, nie jedną, lecz wieloma żelaznymi kurtynami. Jak reagują na dzisiejszą rzeczywistość setki milionów ludzi pod bezpośrednim i pośrednim panowaniem Moskwy? Jak żyją, do czego dążą, w co wierzą?

Niełatwo odpowiedzieć na te pytania nawet ludziom po tamtej stronie, coż dopiero nam, skazanym na wiadomości z mętnych źródeł propagandy, takiej czy innej.

Żyjemy w zakłamanym świecie, a kłamie się więcej w czasie zimnej, niż gorącej wojny. W zimnej wojnie kłamstwo jest najważniejszym orężem. Sowiety nie mają bynajmniej na nie monopolu. Różnica polega tylko na tym, że oni stokroć więcej wiedzą o nas, niż my o nich. Wywiady mocarstw zachodnich są dziecinną zabawką w porównaniu z ich wywiadem, w którym mogliby obejść się nawet bez fachowców, bez płatnych agentów, mając do swej dyspozycji miliony towarzyszków i *low-travellerów in partibus infidelium*.

Powstała na Zachodzie olbrzymia literatura o Sowietach i tzw. „demokracjach ludowych”. Nie ma tematu bardziej aktualnego i bliżej obchodzącego szeroką opinię świata. Ale czy te wszystkie uczone rozprawy, statystyki, wykresy, reportaże, artykuły, książki mogą dać obraz prawdziwy, a nie odbity

w krzywym zwierciadle zwalczających się doktryn, potężnych antagonizmów, pobożnych życzeń i z góry przesądzonych wniosków?

Gdy myślę o tym, przypomina mi się bajka arabska o siedmiu ślepcach, którzy poszli oglądać słonia. Jeden powiedział, że to kość, drugi — że to ściana, trzeci że rura gumowa itd., każdy coś stwierdzał w najlepszej wierze, ale tylko w granicach swego dotyku. Podobnie dzieje się z wielu obserwatorami Sowietów i „demokracji ludowych”. Czy w rzeczach tych można nie być mniej lub więcej zaślepionym? Idealnie obiektywne byłby chyba tylko człowiek z innej planety.

O dawnej carskiej Rosji dowiadaliśmy się najwięcej prawdy z jej literatury. Odstaniali nam ją Tolstoj i Dostojewski, Turgieniew, Czechow i tylu innych świetnych pisarzy, przewodników po duszy rosyjskiej. Dotyczy to zresztą każdego kraju. W dobrej literaturze zmyślane są tylko nazwiska i daty, a reszta to nieskalana prawda życia, podczas gdy w podręcznikach historii dzieje się odwrotnie: poza nazwiskami i datami na próżno szukalibyśmy tam prawdy. Jakżeż trudno wydobyć ją z literatury kontrolowanej reżimów totalistycznych.

Liczne ekipy rzeczoznawców od spraw Sowietów i podległych im krajów, analizują bądź banalizują, zachodzące tam procesy, formułują tezy, stawiają hipotezy, chwalą się sprawdzonymi (według nich) przepowiedniami, żonglują cyframi, argumentami, starają się za wszelką cenę dowieść swej racji. A to właśnie nie tylko nie rozjaśnia, lecz zaciemnia obraz. Wielu z nich to ludzie, których żaden sąd nie dopuściłby, jako świadków, w przeprowadzeniu dowodu prawdy, jak nie dopuszcza się bliskich krewnych, rozczarowanych kochanków, zazdrosnych rywali, osoby z takimi czy innymi kompleksami, uniemożliwiającymi bezstronną ocenę. Są, oczywiście, wyjątki, lecz na ogół to, co czytamy, zwłaszcza w prasie, o Sowietach i „demokracjach ludowych”, nie grzeszy i nie może grzeszyć zbytkiem obiektywnej prawdy.

Z tego punktu widzenia stosunkowo najbardziej wiarygodne są relacje ludzi „stojących poza polityką, *au-dessus de la mêlée*, w szczególności podróżników neutralnych, najczęściej businessmenów lub speców technicznych, jeśli są to ludzie inteligentni, obdarzeni zmysłem obserwacyjnym, którzy dobrze znają zwiedzane przez nich kraje, ich kulturę i historię.

Z takimi obserwatorami jest zawsze najłatwiej znaleźć wspólny język. Nie trzeba tracić czasu na rzecz bardzo uciążliwą, którą Francuzi nazywają *nettoyer la situation verbale*, nie trzeba uzgadniać znaczenia słów. Ci ludzie nie chcą niczego dowieść, nie zachłystują się frazesami, nie patrzą na swego rozmówcę z drwiącym uśmieszkiem marksistowskich *besserwisserów* lub z histeryczną podejrzliwością zwolenników Mac Carthy'go, lecz starają się opowiedzieć wiernie i uczciwie, co widzieli, w swym oczywiście, ograniczonym polu widzenia.

Traf zrządził, że spotkałem dwóch takich panów, którzy niedawno wrócili z Sowietów i krajów za żelazną kurtyną, między innymi z Polski. Udał się tam w interesach swych koncernów handlowo-przemysłowych. Personalia ich nie są ważne i dla zrozumiałych przyczyn nie mogą być ujawnione. Powiem tylko, że są obywatelami państw neutralnych, jeden jest inżynierem, a drugi przemysłowcem. Obaj znali Rosję jeszcze przed rewolucją, a przemysłowiec mieszkał przez szereg lat w Polsce, jest jej wielkim przyjacielem, mówi biegle po polsku i doskonale orientuje się w jej skomplikowanych sprawach. Obaj przyjeżdżali do Polski w czasie okupacji niemieckiej i byli kilkakrotnie po wojnie. Dodam, że moi dwaj rozmówcy nie mają z sobą nic wspólnego. Spotkałem ich w różnych miejscach i okolicznościach: inżyniera w pociągu między Paryżem a Genewą, przemysłowca na Riwierze.

Proszę wybaczyć ten przydługi wstęp do mych przypadkowych wywiadów, którymi chciałem podzielić się z czytelnikami „Kultury”, jak również późniejsze dygresje od głównego tematu. Nie były to właściwie wywiady w ścisłym znaczeniu tego słowa, toteż nie ujmuję ich w zwykłą formę dialogową zapytań i odpowiedzi. Obaj panowie byli bardzo rozmowni i obficie ilustrowali swą opowieść anegdotami, które są często bardzo przekonujące i rewelacyjne, niż nagie fakty i mocne argumenty, szczególnie, gdy oddają atmosferę i koloryt sytuacji oraz problemów, o których mowa.



Inżynier, wysoki, mocno zbudowany Skandynawczyk, o regularnych rysach i jasnych oczach, poważny, rzeczowy nie jest marksistą i nie wierzy w nieodwracalność procesów społecznych. Natomiast wierzy w determinizm wynalazków, jako produktów indywidualnego geniusza ludzkiego i jest zapalonym technokrata. Stąd płynie jego specjalne, nie tylko zawodowe, zainteresowanie dla Sowietów, gdzie, jak twierdzi, technokracja ma olbrzymie możliwości.

Spędziłem z nim kilka godzin na rozmowie w wagonie sympialnym. Okazało się, że mamy wspólnych znajomych, co wzbudziło wzajemne zautanie.

— Interesują pana moje wrażenia z Rosji i Polski — rozpoczął swą gawędę. Dużo dałoby się o tym powiedzieć. Wydaje mi się, że dzisiejsza cisza w Sowietach jest tylko na powierzchni, głębiej muszą tam odbywać się poważne fermenty. Oczywiście aparat administracyjny działa bez zarzutu, ale to automatyzm każdego zorganizowanego państwa, co dopiero państwa totalistycznego, opartego na absolutnym centralizmie i terrorze. Ci, co przepowiadali wielkie wstrząsy po śmierci Stalina, omylili się tylko co do daty. Trudno przewidzieć, kiedy one nastąpią, zależy to od wielu czynników nieobliczalnych, ale że prędzej czy później nastąpią i epigoni Stalina wezmą się za

by, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Autorytet Malenkowa oparty jest na jego porozumieniu z rywalami, jak Mołotow, Chruszczew, Bułganin itd., z machiną partyjną, a przede wszystkim z wojskiem i N.K.W.D. Nikt nie może odpowiedzieć na pytanie, jak długo ono potrwa. Malenkow jest faktycznie na łasce swych sprzymierzeńców. Zupełnie inna była sytuacja Stalina. Nie on, lecz wszyscy inni byli na jego łasce. Co się stało z Bериą? Wie o tym zapewne tylko kilka osób, ja do nich nie należę. Zresztą nie jest to ważne. Ważne jest, że nie było w Sowietach wypadku, by czystka obejmowała tylko jednego człowieka, lub nieliczną grupę. Czystka w związku z Bериą dopiero się zaczyna. Jest to nieuniknione. Jeśli obecni władcy na Kremlu nie wytypią „kramoły” spod znaku Berii, sami będą zlikwidowani. Kiedy, gdzie i jak odbędzie się następny akt rozprawy z opozycją — tego na pewno nie wiedzą nawet na Olimpie sowieckim. Lecz jeśli istnieją jakieś konieczności absolutnie pewne, taką koniecznością dla obecnego rządu sowieckiego jest przede wszystkim usuwanie jego wrogów wewnętrznych i potencjalnych rywali starym, najlepiej wypróbowanym sposobem. Nie są to rzeczy, których się chce lub nie chce. Są to bezapelacyjne nakazy systemu sowieckiego. Pod tym względem nie się nie zmieniło w Sowietach po śmierci Stalina, tak samo jak się nie zmieniło i nie mogło zmienić w ich polityce zagranicznej. Dziwić się tylko złudzeniom, jakim, mimo tylu doświadczeń, oddają się jeszcze mężowie stanu Zachodu, którzy wciąż wierzą, a w każdym razie starają się wpoić w opinię publiczną wiarę w możliwość trwałego porozumienia z Sowietami przy pomocy rozmów na „wysokim szczeblu”. Sprawa jest jasna i prosta. Sowiety, gdyby nawet chciały, nie mogą ustosunkować się pozytywnie do jakiegokolwiek konferencji, na której ich przeciwnicy mieliby zapewnioną większość. Wobec tego, że przy dzisiejszym układzie sił na wszystkich konferencjach międzynarodowych, we wszystkich sprawach zasadniczych, takiej większości dla Sowietów nie ma, natomiast jest ona nieodmiennie na korzyść mocarstw zachodnich, tego rodzaju imprezy są stratą czasu, a jedynym ich efektem jest bałamucenie opinii publicznej, nie zdającej sobie dostatecznie sprawy ze stanu rzeczy. O.N.Z. jest najlepszym tego przykładem. My, w krajach neutralnych, mamy pod tym względem znacznie więcej rzeczywistości. Muszę powiedzieć, że ludzie z którymi rozmawiałem na ten temat w Polsce, nie są tego zmysłu pozbawieni. Nie mają złudzeń ani co do Sowietów, ani co do Zachodu, paktującego obecnie z Niemcami, i zazdroszczą nam że możemy być, przynajmniej do czasu, neutralni. Ale boję się, że moje długie wywody o polityce nudzą pana, więc przejdę do innych spraw.

Różni eksperci wiele sobie obiecują po tzw. liberalizacji kursu wewnętrznego Sowietów po śmierci Stalina i spodziewają się, że będzie ona miała wpływ dodatni na „demokrację ludową”. Porównywu ją z „Nep’em”, który był czymś w rodzaju „pieredyszki” między dwoma etapami komunizmu sowieckiego,

przejściem od wojennego do pokojowego komunizmu. Byłem wówczas w Rosji i nie podzielałem tego poglądu. Zwrot dzisiejszy, który trudno nazwać „liberalizacją” jest niewątpliwie wywołany przez niezwykle ciężką sytuację w rolnictwie wskutek przesadnego tempa industrializacji, a jednocześnie jest to posunięcie oportunistyczne, mające na celu pozyskanie dla rządu popularności wśród mas chłopskich. Sowiety niejednokrotnie uciekały się do podobnych posunięć w kryzysach, wymagających zmiany planowania. Są to odchylenia taktyczne od linii generalnej, zbyt forsownie przeprowadzanej. Tak czy inaczej nie wiele ma to wspólnego z jakąś zmianą polityki wobec „demokracji ludowych”, która kieruje się jedynie i wyłącznie interesem Sowietów. Gdyby na przykład Sowietom potrzebne było zwiększenie produkcji ciężkiego przemysłu wojennego w Czechosłowacji lub Polsce, nie pozwoliłyby na żadne ulgi w produkcji konsumpcyjnej.

Polska jest w absolutnej zależności od Sowietów i nie można rozpatrywać zachodzących w niej procesów gospodarczych w oderwaniu od sytuacji rosyjskiej. Cała jej ekonomika stanowi uzupełnienie systemu Sowietów. Cała produkcja przemysłowa, rolna, wymiana towarów, handel zagraniczny — wszystko jest na tym budowane. Nie jest to normalna zależność małego państwa od wielkiego, w której to małe państwo może, mimo wszystko, zachować pewną samodzielność w wyborze kontrahentów, czy protektorów. Jest to kompletne ubezwłasnowolnienie, spowodowane zresztą nie tylko rozkazami Moskwy, lecz i całością warunków, w jakich Polska znalazła się po wojnie. Wojna stworzyła tę sytuację i tylko jakiś nowy wstrząs, eliminujący Sowiety ze Środkowej Europy, mógłby ją zmienić. Planowanie Polski jest częścią planowania Sowietów, dostosowaną do całości w najdrobniejszych szczegółach. Każda modyfikacja polityki gospodarczej Sowietów musi się więc odbić w ten czy inny sposób na Polsce. Jak wiadomo, polityka ta realizuje swe plany i osiąga pozytywne rezultaty w dużym stopniu dlatego, że oparta jest na pracy przymusowej. Decyduje tu nie tyle doktryna i metoda, ile władza, która kraje i rozdziela bochenek chleba tak, jak to odpowiada jej poglądom i interesom, a jeśli ludzie przy tym cierpią, ma zawsze łatwe wytłumaczenie: system pracuje nie tylko dla dzisiejszych zjadaczy chleba, lecz dla przyszłych szczęśliwych pokoleń.

W Polsce ma to wszystko łagodniejszy przebieg, ale zmierzając do tego samego celu. W ciągu kilku lat, od czasu mego ostatniego pobytu, zaszły tam wielkie zmiany w kierunku kolektywizacji i sowytyzacji. Przedsiębiorstwa prywatne znikły prawie całkowicie. Wszystko przejmuje państwo. Przypominam sobie rozmowę, jaką miałem po wojnie z jednym bardzo wpływowym dygnitarzem sowieckim. Zapewniał mnie, że Sowiety bynajmniej nie dążą do narzucenia Polsce swego systemu gospodarczego i nie wierzą w powodzenie takiego eksperymentu. Być może, istotnie nie leżało to wtedy w ich intencjach. Lecz

system ten nie dopuszcza wyjątków na obszarach, opanowanych przez Sowiety. Zarówno w Polsce jak i w innych „demokracjach ludowych” obserwowalem identycznie te same zjawiska. Jakie znam z Sowietów. Nie znaczy to, że wszystko jest tam złe. Do rzeczy najtrudniejszych w ocenie dorobku tych krajów należy właśnie odróżnianie dobrego od złego.

Polska powojenna może pochwalić się poważnymi osiągnięciami w dziedzinie odbudowy, rozwoju przemysłu, służby zdrowia, oświaty itd. Ale, jak w Sowietach, wszystkim tym rekordom, temu zawrotnemu tempu i budowaniu „na wyrost”, towarzyszą niemniej poważne błędy, niedociągnięcia i braki. Buduje się drapacze chmur, a nie ma dość igieł, sznurowadeł, żyletek, setek przedmiotów najpotrzebniejszych, których brak utrudnia życie i staje się *à la longue* nieznosny. Na produkcję ich nie starczyło już czasu w „realizacji 6-letniego planu”. Byłem raz w Warszawie w pewnym towarzystwie, gdzie opowiadano anegdotki o dzieciach. Utkwiła mi w pamięci jedna bardzo charakterystyczna. Matka spacerowała po ogrodzie z ośmioletnią córeczką. „Jak tu ślicznie — mówi do niej matka — ile tu kwiatków i jak te pszczołki brzęczą”. — „Brzęczą, mamusiu, bo się spieszą — odpowiada dziewczynka, uczennica szkoły państwowej — muszą wykonać plan miodowy, a lipy krótko kwitną”.

Uświadomiona dziewczynka dała trafny komentarz do życia mas ludzkich w wielkich ośrodkach za żelazną kurtyną, gdzie wprawdzie nie ma kwiatków, ale niezliczone tłumy pędzą do pracy, bo plan musi być w terminie wykonany, choćby miód z jego ulów był bardzo gorzki.

Pyta pan o nastroje społeczeństwa w Polsce. Powiedziałbym, że panuje tam nastrój fatalizmu, całkowicie uzasadnionego. W konflikcie olbrzymów, od których zależą losy Polski, rola jej jest minimalna, a instynkt samozachowawczy nakazuje oszczędzanie sił i unikanie nowych, tragicznych ofiar. Nie jest to jednak fatalizm biernego godzenia się z losem, który paraliżuje wolę i zabija myśl krytyczną. Nie stawiając oporu, który byłby krwawo stłumiony, ludzie nie tylko w ukryciu, lecz otwarcie sarkają na rządy. Trudno określić procentowo jaki odłam społeczeństwa sprzyja rządowi dzisiejszemu, w każdym razie wydaje się, że przynajmniej większość jest przeciw niemu. Największy bodaj efekt osiągnęła propaganda wśród młodzieży, o pozyskanie której rząd bardzo dba i która, jak wszędzie na świecie, jest w opozycji do starszego pokolenia, pamiętającego inne czasy i potępiającego obecne rządy. Młodzież nie może tych czasów pamiętać, ale dobrze pamięta zbrodnie niemieckie i wypędzanie Niemców przez czerwoną armię.

Wpływ domu rodzinnego na młodzież jest w obecnych warunkach bardzo mały, jeśli w ogóle może o nim być mowa. Szkoła niemal całkowicie zastępuje ognisko rodzinne, zwłaszcza dzieciom, których spracowani rodzice nie mają czasu na ich wychowanie. Sytuacja jest odwrotna do tej, jak była za czasów

caratu, kiedy wpływ domu rodzinnego skutecznie przeciwstawiał się wpływowi szkoły rosyjskiej.

Ponadto rząd umie zręcznie wykorzystywać uczucia patriotyczne młodzieży, przedstawiając mocarstwa zachodnie, w szczególności Stany Zjednoczone A.P. jako siły wrogie, paktujące z Niemcami i gotowe w każdej chwili sprzedać Polskę dla swoich interesów.

Warszawa odbudowuje się w szybkim tempie. Od czasu mej ostatniej wizyty przed kilku laty, dokonano wielkich rzeczy. Całe dzielnice mieszkaniowe powstają z gruzów. Lecz obraz tej odbudowy daje najlepsze pojęcie o systematycznym ograniczaniu samodzielności twórczej społeczeństwa polskiego. Jak mi opowiadano, pracowały nad nią dwie ekipy architektów. Pierwsza miała za zadanie odbudowę tego, co pozostało po dawnej Warszawie. Dano jej zupełną swobodę i wywiązała się z niej znakomicie, zachowując z pietyzmem styl i wdzięk starej Warszawy. Dotyczy to nie tylko gmachów zabytkowych, ale i szeregu ulic w śródmieściu, które wskrzeszone zostały z ruin w piękniejszej jeszcze postaci. Odbudowa rynku Starego Miasta jest prawdziwym arcydziełem. Mój przyjaciel, entuzjastyczny cicerone po Warszawie, wyraził się dosadnie na ten temat, cytując bez obawy, aforyzm komunistycznego poety rosyjskiego Majakowskiego: „Sukinsyny przychodzą i odchodzą, ale sztuka trwa”. Lecz sztuka potrzebuje wolności i mści się na tych, co ją zdradzają.

Zadaniem drugiej ekipy jest budownictwo nowej Warszawy. Nie ma ona już tej swobody, co pierwsza, i musi najwidoczniej trzymać się narzuconych wzorów architektoniki sowieckiej. Powstają gmachy ciężkie, ponure, monumentalne, nie mające nic wspólnego z Warszawą. Równie dobrze mogłyby stać w Moskwie, Stalingradzie czy Kuźniecku. Ich styl — sowiecki „empire”, a ściślej mówiąc „wampir” — jest jakąś dziwną kombinacją obcych motywów w architekturze. Jak to określił mój przyjaciel, jest w nim rozmach dubinuszki Ilji Muromca, coś z Corbusiera, coś ze świątyń starożytnej Grecji, a bardzo dużo z wielkich hoteli amerykańskich. Ten „wampirowy” styl domaga się przede wszystkim, by wznoszone gmachy były kolosalne, „grandiozne”.

Szczytem jego jest dar Stalina, tzw. pałac kultury i nauki, olbrzym zbudowany w samym sercu Warszawy, panujący nad miastem, jak niegdyś Sobór na placu Saskim, do którego ludność Warszawy odnosi się z takim samym sentymentem, jak w swoim czasie do owego prawosławnego Soboru.

Należy jednak przyznać, że inne aspekty rozbudowy nowej Warszawy, szerokie ulice, trasy komunikacyjne, wielkie place i parki, zwłaszcza planowany nowy park nad Wisłą, są bezprzecznym wielkim osiągnięciem, którego nikt nie krytykuje.

Miałem wrażenie, że na ogół ludność Warszawy jest lepiej ubrana, niż podczas ostatniego mego pobytu, aczkolwiek, jak

mi mówiono, stopa życiowa w miastach nie tylko się nie podniosła, lecz przeciwnie, spadła. Nie wiem, jak jest na wsi. Ludność miejska przy panującej drożyznie, odżywia się gorzej, niż wówczas. Sam mogłem skonstatować, że nie tylko ciastka, z których słynęła Warszawa, lecz i chleb jest znacznie gorszy, niż przed kilku laty.

Nie jestem wróżbitą i nie będę przepowiadał, jak potoczą się dalsze wypadki w krajach za „żelaznymi kurtynami”. Jedno tylko można przyjąć za pewnik. Stara to prawda, że gdy jeden ma za dużo, a drugi za mało, musi się w końcu coś stać. Dotyczy to w większym jeszcze stopniu władzy niż pieniędzy. A garstka ludzi, którzy w krajach tych rządzą, głosząc nową wiarę uszczęśliwiania ludzkości, posiada nieskończenie więcej władzy od wszystkich miliarderów świata.



Krótko po tej rozmowie zetknąłem się z drugim neutralnym, który opowiadał mi o swych wrażeniach z ostatniej podróży do Polski i innych tzw. „ludowych demokracji”. Bywał on również w Sowietach, ale zna się lepiej od mego pierwszego rozmówcy na sprawach polskich. Jest to jowialny businessman, człowiek bardzo wykształcony. Jeździł dużo po świecie i ma nastawienie kosmopolityczne. Sceptyczny, tolerancyjny, nie odrzuca on możliwości pokojowego współżycia z Sowietami na dłuższy okres czasu. Spodziewa się, że nastąpią poważne zmiany w Sowietach nie koniecznie w drodze gwałtownej. W jego koncepcji Sowiety pójdą na prawo, reszta świata na lewo i obie strony spotkają się gdzieś w połowie drogi. Należy do owego gatunku ludzi, którzy nie łamią sobie głów nad rozwiązywaniem węzłów gordyjskich i w najtrudniejszych sytuacjach nie tracą wiary, że wszystko się jakoś dobrze ułoży. Lecz pobłażliwy optymizm nie przeszkadza mu być bystrym spostrzegaczem i surowym sędzią, zwłaszcza, gdy obserwuje głupotę rządów, od której nie są wolne żadne systemy. Przyznaje, że pewne procesy są nieodwracalne nie dlatego, że wierzy w jakieś nieomyślne doktryny, ale że, jak mówią Anglicy, nie można *unscramble the scrambled eggs*, zrobić z powrotem jajko z jajeczniczy. Z tego punktu widzenia zapatruje się na przemiany społeczne, jakie nastąpiły w „demokracjach ludowych”.

Jego relacja o Polsce unikała uogólnień i sprowadzała się raczej do zaobserwowanych faktów lub rozmów z ludźmi. Zgadza się ona w pewnych punktach z tym, co opowiadał mi skandynawski inżynier, ale nie kładzie takiego nacisku na fatalizm wypadków, na absolutną zależność od Sowietów i dopatruje się źródła wielu błędów w służalczej gorliwości satelickich rządów. Jeśli w latach ostatnich zwiększyły się w szerokich warstwach społecznych nastroje antyrządowe, skierowane są one nie tyle przeciw socjalizmowi czy komunizmowi, ile przeciw russyfikacyj-

nej polityce rządu, oczywiście, nie językowej, lecz duchowej. Russyfikacja za czasów carskich była rzeczą małą w porównaniu z inwazją kultury sowieckiej w różnych dziedzinach życia i wychowania publicznego, literatury, teatru, sztuki, kina itd.

Zanotowałem sobie, co mówił mi ten neutralny businessman i oddaję mu głos.

— W ciągu prawie dziewięciu lat — mówił — rząd obecny w Polsce zdołał niewątpliwie skomunizować pewien odłam społeczeństwa, m. in. część młodzieży, ale mam nieodparte wrażenie, że olbrzymia większość narodu jest w opozycji, jeśli nie politycznej to emocjonalnej. Narzucany kult Rosji, niczym nieuzasadniony w oczach przeciętnego obywatela, wywołuje efekt wręcz odwrotny zamierzeniom. Wobec tego, że ta russyfikacja odbywa się jednocześnie z obniżeniem stopy życiowej mas pracujących, jest całkiem naturalne, że w masach tych wzmagają się wrocie uczucia wobec Sowietów, mimo największych wysiłków urzędowej propagandy, by przedstawić Związek Radziecki, jako wyzwoliciela i dobroczyńcę Polski. Dołącza się do tego zatarg z Kościołem. Próba wywołania rozłamu wśród duchowieństwa katolickiego i utworzenia Kościoła narodowego jest z ówry skazana na fiasko. Sekty powstają z głębokiego uczucia religijnego i nie można ich tworzyć przy pomocy marksizmu.

Widziałem rozmodlone tłumy w kościołach, składające się nie tylko z kobiet i ludzi starszych. Było wśród nich wielu młodych.

Skazanie biskupa Kaczmarka i aresztowanie prymasa Wyszyńskiego nie wywołały demonstracji publicznych, czemu się nawet dziwiono, ale, jak mi mówili dobrzy znawcy nastrojów religijnych w Polsce, skutki tych niemądrych i bardzo ryzykownych posunięć dadzą się jeszcze odczuć rządowi w swych dalszych konsekwencjach.

Władze robią, oczywiście, wszystko co leży w ich mocy, by zohydzić w oczach mas ludowych i młodzieży szkolnej przedwojenne rządy polskie i polską emigrację polityczną. Nowe podreżniki historii oparte są całkowicie na wzorach sowieckich, a dzieci można wszystkiego nauczyć. Opowiadano mi o chłopczyku w pewnej rodzinie ancien régime'u, który po przyjeździe ze szkoły tak strofował swą babkę: „Już ty mi tego twojego Piłsudskiego nie broń. Teraz wiem wszystko o nim”.

Wprawdzie czyny wojenne Polaków na Zachodzie znane są młodzieży i kiedyś może zrodzi się dokoła nich legenda, ale to za mało, by wzbudzić zaufanie do orientacji zachodniej. Polityka mocarstw zachodnich, odpowiedzialna za kompromisy oddające Polskę pod panowanie Sowietów, nie może z natury rzeczy być popularna wśród młodzieży i nie tylko młodzieży. Wolność osobista, europejski styl życia — do tych atrakcyj Zachodu tęsknią tylko ci, co je utracili tj. starsze pokolenie. Młodzież ich nie zna, a uczą ją w szkołach, że „zgnili Zachód” jest na skraju katastrofy.

Gdyby rząd postępował mądrzej, bardziej liczył się z враżliwością opinii, nie przekręcał znanych wszystkim faktów i nie obrażał uczuć społeczeństwa, argumenty jego propagandy przeciw mocarstwu zachodnim natrafiłyby na wdzięczniejszy jeszcze grunt, lecz i tak jest on dość podatny dla kultywowania w Polsce antagonizmu przeciw zachodnim demokracjom. Antagonizm ten nie ma zresztą nic wspólnego z akceptowaniem komunizmu i przyjmuje się nawet wśród pewnych kół konserwatywno-klerykalnych.

Wielu Polaków w Polsce zastanawiając się nad dylematem, po czyjej stronie, Wschodu czy Zachodu, i rozważając wszystkie pro i contra, ma niełatwy wybór. Olbrzymia większość chciałaby niewątpliwie zachować neutralność. Są oczywiście zdecydowani zwolennicy zachodniej orientacji, ale kto wie, czy po doświadczeniach powojennych z Zachodem nie ma dziś znacznie więcej takich, co uważają Sowietów za mniejsze zło, niż sprzymierzające się z Niemcami i uzbrajające je mocarstwa zachodnie.

Są to zresztą dociekania tylko teoretyczne. Masy ludzkie nie wypełniają sobie życia problemami. Muszą ciężko pracować, więcej jeszcze w Polsce, niż na Zachodzie. Inteligencja zawodowa i urzędnicy również nie mają czasu na pojedynki myślowe. Są przemęczeni robotą, a poza godzinami pracy muszą jeszcze chodzić na zebrania, brać udział w dyskusjach i ćwiczyć się w marksizmie. Przymusowa indoktrynacja starszego pokolenia jest jednym z największych nonsensów reżimu. Zebrania kończą się w ten sposób, że wszyscy się na wszystko zgadzają i jednogłośnie uchwalają każdą wnoszoną przez komunistów rezolucję. W dodatku, wykładowcy na tych zebraniach są często niedokształconymi półinteligentami i dyskusja toczy się na bardzo niskim poziomie. Opowiadano mi o pewnym byłym ministrze rządu polskiego w Londynie, który wrócił do Warszawy i początkowo zajmował wysokie stanowisko. Nie bardzo orientował się w subtelnościach reżimu i zabierał głos w takich dyskusjach, traktując je poważnie. Był tak naiwny, że przynosił na zebranie „Kapitał” Marksa i polemizował z „politrukiem” swego resortu, powołując się na cytaty z tej książki. Rezultat był taki, że po niedługim czasie usunięto go i haruje gdzieś na małej posadce.

Trudno mi mówić bez wzruszenia o Warszawie, z którą łączy mnie tyle miłych wspomnień. Mogę tylko stwierdzić z przyjemnością, że w ciągu kilku lat od mej ostatniej wizyty, miasto się wspaniale odbudowuje i rozrasta. Jest to już inna Warszawa, ale na to nie ma rady. Mało kto istnieje z mych dawnych znajomych. Z wszystkich tragedii miast świata Warszawa przeszła najstraszliwszą i jest podziwu godne, że tak prędko powstała z popiołów. Liczba ludności dochodzi już do 700.000, ruch uliczny jest bez porównania większy, niż przed kilkoma laty. Miasto ma teraz piękne perspektywy w kierunku Wisły i gdyby

nie importowany przymusowo z Sowietów styl wielkich bloków mieszkaniowych, nie można byłoby nie zarzucić planom odbudowy.

Najwięcej razi wszystkich stalinowski „pałac kultury i nauki”, wzniesiony na miejscu dawnego dworca wiedeńskiego. Jest to nietylko pałac, ile piramida czy forteca. Żaden wolny naród nie przyjąłby takiego prezentu. W moim mieście, Genewie, mamy bardzo piękny pałac smutnej pamięci Ligi Narodów, ale reprezentuje on wielką, choć niezrealizowaną, ideę międzynarodową i nie panuje nad miastem. Lecz Sowiety są we wszystkim wynalazcami. Faraoni budowali piramidy na własnej ziemi rękami obcych niewolników, oni budują piramidy na obcej ziemi rękami własnych robotów. Gmach ten wszystkich denerwuje, nawet większość polskich komunistów. Słyszałem zdania, że jest on mimowolnym aktem sabotażu przyjaźni polsko-sowieckiej.

Czy społeczeństwo polskie ma na ogół poczucie tymczasowości obecnego reżimu? Wydaje mi się, że nie. Można byłoby dzisiaj stan rzeczy porównać w pewnym stopniu do sytuacji pod panowaniem caratu z tą jednak różnicą na korzyść obecnego reżimu, że wówczas rządili obcy urzędnicy, dziś rządzą Polacy, jakkolwiek w najważniejszych sprawach muszą być wykonawcami planów Moskwy. Następnie należy pamiętać, że imperializm caratu nie miał w sobie, jak imperializm sowiecki, elementów ideologicznych, które apelują do znacznej części ludzkości. Jest jeszcze jedna wielka różnica. Wtedy starsze pokolenie było ugodowe, a burzyła się romantyczna młodzież, której ideałem był m. in. nasz Winkelried, teraz jest odwrotnie. Ugodowymi realistami są na ogół młodzi. Nie chcą oni słyszeć nieustannych narzekań i westchnień swych ojców i matek do dawnych czasów. Należy również pamiętać, że tłem psychologicznym komunizmu w krajach na wschodzie Europy jest dzisiaj konflikt nie tyle między klasami, które prawie znikają, ile między pokoleniami.

Przypomina mi się rozmowa z bezpartyjnym młodym człowiekiem w Polsce. Ostro krytykował reżim, ale mówił, jak dawniej starzy: „Głową muru nie przebijemy, a nikt nam do tego nie dopomoże. Trzeba pracować i czekać. Czy mam nie jechać pociągiem dlatego, że mi się nie podoba dyrekcja kolei lub zawiadowca stacji?” Bezpartyjni optymiści wierzą w kolaps wewnętrzny Sowietów. Wojny nikt nie chce, wszyscy się jej boją, chyba, że jakimś cudem byłaby to rozstrzygająca wojna, w której demokracje zachodnie zwyciężyłyby gdzieś na dalekich peryferiach poza Polską i Europą. Nastawienie to, oczywiście niekomunistów, jest aż nadto zrozumiałe.

Ze wspomniałem o „pociągu”, mogę stwierdzić, że koleje w Polsce funkcjonują bardzo dobrze, chociaż sprawa transportu w ogóle przedstawia się mizernie, m. in. w Warszawie.

Budowa kolei podziemnej posuwa się bardzo wolno, natrafiono na wielkie trudności terenowe. Środkami lokomocji publicznej są w niedostatecznej ilości tramwaje, autobusy i trol-

ley-busy (rosyjskie), poza tym taksówki miejskie i niewiele prywatnych. Widać nawet jeszcze stare dorożki, ostatnich mohikanów dawnej Warszawy. Wobec wzrastającego stale ruchu, wszystko to nie wystarcza i większe pojazdy są tak przepełnione, że trzeba mieć dużo szczęścia, by się do nich dostać. Musiano odpowiednio rozplanować godziny pracy w biurach, urzędach i fabrykach, by transport mógł wszystkich w porę przewieźć. Z tego powodu jest dużo narzekania, bo wielu pracowników musi wstawać o piątej rano, by zdążyć do pracy.

Nie ma głodu w Polsce. Place są na ogół niskie, a rozpiętość ich niewielka. Normalne zarobki wystarczają jedynie na wyżywienie rodziny, a nie na możliwe przyzwoite ubranie i jakieś rozrywki. Trzeba na to zarabiać dodatkowo, poza godzinami pracy. Dlatego ludzie są tak strasznie przemęczeni. Wielką ulgą są paczki, w coraz większych ilościach nadsyłane przez krewnych z Zachodu. Podobno piąta część rodzin w Polsce utrzymuje się na znośnym poziomie tylko dzięki tym paczkom. Dotyczy to zwłaszcza starszego pokolenia.

Nie można dość wysoko ocenić pożytku instytucji paczek z każdego punktu widzenia. Pomijając już jej stronę rodzinną, moralną i humanitarną, należy ona do tych bardzo rzadkich w czasach dzisiejszych zjawisk, które godzą wszystkie interesy. Paczki są nie tylko dobrodziejstwem dla swych odbiorców. Spełniają one pewną rolę ekonomiczną, przyczyniając się do łagodzenia braków w kraju. Sklepy państwowe odgrywają w tym rolę pośredniczącą. Chętnie nabywają zawartość tych paczek, zwłaszcza kawę, i sprzedają ją publiczności. Są one więc towarem wymiennym. A szerokie warstwy ludności, otrzymujące te paczki od krewnych na Zachodzie, głównie w Ameryce m. in. chłopcy i robotnicy, mają namacalne dowody, że w krajach kapitalistycznych nie dzieje się tak źle, jak im opowiada urzędowa propaganda. Od swych krewnych w Sowietach żadnych paczek nie dostają, i szczęśliwi są, gdy dają oni znak życia.

Jedynym źródłem niekontrolowanych przez reżim wiadomości o tym co się dzieje na świecie, poza żelazną kurtyną, jest radio. Jak mi mówiono, sfery intelektualne słuchają najczęściej radia brytyjskiego, natomiast szersze masy radiosłuchaczy wołają audycję „Wolnej Europy” i „Głosu Ameryki” z Monachium, lub też radia z Madrytu, chociaż narzekają na nadmiar propagandy. Nie trzeba ich przekonywać z zagranicy i umacniać w patriotyzmie. Spragnieni są nowin, faktów, a nie pouczeń. Słuchanie zagranicznych stacji radiowych nie jest wzbronione, nie wolno tylko rozgłaszać antyreżimowych wiadomości z tego źródła. Letnią porą trzeba zamykać okna, gdy się słucha zagranicznych audycji. Walka rządu z nimi polega głównie na zagłuszeniu.

Zarząd miejski ma dużo kłopotu z nazwami ulic, które są zmieniane na żądanie wyższych czynników. Gdy byłem ostatni raz w Warszawie, ulica Foksał nazywała się ulicą Młodzieży Jugosłowiańskiej, co oczywiście musiano odwołać po zdradzie

Tito i teraz powróciła do swej dawnej nazwy. Ludność na ogół bojkotuje tę polityczną maskaradę ulic i nazywa je po staremu, a nawet milicjantom trudno się do niej przyzwyczaić. Znajoma pani zapytała milicjanta, gdzie jest aleja Stalina. — Aleja Stalina? — zawahał się — pani pewnie myśli Aleje Ujazdowskie — i wskazał jej drogę. Plac Bankowy obdarzony został nazwą placu Dzierżyńskiego. Opowiadają w związku z tym następującą typową historyjkę. Kobieta z prowincji, jadąc tramwajem, zapytała konduktora, czy to już plac Bankowy. „Nie — odpowiedział — to jeszcze plac Dzierżyńskiego, ale niech pani wysiada”.

Niemal wszystko w Warszawie zostało upaństwowione, bądź uspołecznione we współdzielniach: sklepy (z wyjątkiem nielicznych sklepików na bocznych ulicach), hotele, teatry, kina, restauracje, ale są rzeczy, które nie dają się w żaden sposób upaństwowić. Do nich należy humor i dowcip. Kwitną one głównie w kawiarniach, również upaństwowionych. Jest to ten sam rodzaj humoru, jaki upamiętnił się podczas okupacji niemieckiej; ironiczny i buntowniczy. W dzisiejszych warunkach znajduje w nim ujście *vox populi*. Reaguje on natychmiast na bieżące wypadki. Jego ostrze jest oczywiście, skierowane przede wszystkim przeciw Sowietom. Gdy tylko zjawiły się samochody sowieckiej marki „Pobieda” (Zwycięstwo) lud warszawski nazywał je „półbiedami”. Więzienia uzyskały miano „wczasów rządowych” a ostatnio po aresztowaniu prymasa Wyszyńskiego — „klasztorów”.

Słyszałem mnóstwo tego rodzaju dowcipów, *bon mots* i anegdot warszawskich, ale niewiele z nich zapamiętałem. Jedną jest o prezydencie Bierucie. Jak mi mówiono z wszystkich przywódców reżimu tylko on cieszy się pewną popularnością w masach ludowych. Jest uprzejmy w obejściu, przystępny, władza nie uderzyła mu tak do głowy, jak jego towarzyszom, i w drobnych ludzkich sprawach okazuje dużo wyrozumiałości. Nie wiem czy z tego powodu, ale podobno gwiazda jego gaśnie, i ma on ustąpić, a jako następcę jego wymieniają Ochaba.

Ale wróć do mej anegdotki. Pewnego dnia Bierut miał atak melancholii i dla rozweselenia go wezwano aktora kabaretowego Dymśkę. Bierut oprowadzał go po Belwederze. „Jak pan prezydent pięknie mieszka” — zachwycił się Dymśką — co za wspaniałe dywany!” — „To nic — odpowiedział Bierut — za kilka lat każdy chłop i robotnik będzie miał takie dywany”. „Cóż to za bogata biblioteka, co za cudowne obrazy” — zachwycił się Dymśką. „To nic — odparł Bierut, — trochę cierpliwości, a każdy obywatel będzie miał takie obrazy i taką bibliotekę”. „A te stylowe meble, gobeliny, żyrandole” — ciągnął dalej Dymśka. „To nic — powiedział Bierut — gdy wykonamy nasz plan sześcioletni, wszyscy będą tak mieszkać”. Tu Dymśka nie wytrzymał i palnął: „Panie prezydencie, kto właściwie został tu wezwany do opowiadania kawałów, pan czy ja?”

Kręcąc się po Warszawie i rozmawiając swobodnie z ludźmi — poza moim biznesem — odniosłem wrażenie, że ten humor, ten głęboko zakorzeniony krytycyzm nie tylko inteligencji, lecz prostych ludzi, jest podziemiem, z którym żadne „glajchszaltowanie” nie da sobie rady. Mogłem też stwierdzić, że w Polsce ludzie nie są na ogół tak zastraszeni, jak w innych „ludowych republikach”, nie mówiąc już o Rosji, i często słyszeć można głośno wypowiedziane a cierpkie uwagi pod adresem władz, które są bardziej tolerancyjne, niż gdzieindziej za żelaznymi kurtynami.

Przed wyjazdem z Warszawy poszedłem do cukierni na Starym Mieście. W kawiarniach i cukierniach czułem się, jak w dawnej Warszawie. Jestem przemysłowcem i niełatwo poddać się sentymentom. Widziałem wiele pięknych rzeczy na świecie, ale muszę powiedzieć, że atmosfera przecudnie odnowionego rynku staromiejskiego, wąskie kamienice, ich wnętrza, sprzęty, ozdoby, wszystko utrzymane w stylu dawno minionej epoki, gołębie najspokojniej spacerujące po placu, cały ten kolorowy romantyczny obrazek na tle odbudowującej się z gruzów Warszawy, sprawił na mnie niezatarte wrażenie. Mówiono mi, że władze otaczają opieką zabytki architektury, a niekiedy również i zabytki ludzkie. Na ulicy Pivnej przy Rynku mieszka w izbie, którą dało jej miasto, stara gołębiarka. Chmary jej ptactwa wylatują stamtąd i krążą nad Warszawą. Przetrwiała ona już kilka reżimów.

Tu kończą się me notatki z rozmów z neutralnymi obserwatorami. Nie ma w nich nic sensacyjnego, ani szczególnie nowego. Ale prawda rzadko jest sensacyjna lub nowa, a sądziłem, że wrażenia i refleksje dwóch niewątpliwie prawdomównych świadków, niedotkniętych żadną propagandą, zasługują na pewną uwagę. *Relata refero*. Wnioski pozostawiam czytelnikom.

LAERTES

Skróty w dzisiejszej Polsce

Prasa w dzisiejszej Polsce operuje szeregiem nazw skrótowych, nieznanymi czytelnikom na emigracji. W znacznej mierze dotyczą one urzędów, organizacji, zakładów i przedsiębiorstw nowo utworzonych pod rządami komunistycznymi.

Celem wykazu skrótów, który podajemy poniżej, nie jest informowanie o istocie nazwanych skrótem instytucji, lecz wskazanie od jakich wyrazów pochodzą litery skrótu. Dodanie jakiejś wskazówki objaśniającej uważamy za niezbędne jedynie

w pewnych wypadkach, zwłaszcza tam gdzie pełna nazwa jeszcze pozostawia zbyt wiele niejasności — lub stwarzać może fałszywe pojęcie o charakterze określonej skrótem instytucji.

Ilość skrótów, używanych w Polsce, jest bardzo wielka i nie wydaje się celowe reprodukowanie tu wszystkich. Oprócz ograniczonej liczby skrótów, używanych powszechnie, istnieją skróty używane w danej gałęzi życia, a nie spotykane gdzie indziej. Tak np. prasa chłopska pisać będzie o „GOP-ie”, a prasa miejska o „Gminnej Organizacji Partyjnej”. Pismo handlowe napisze „ZZPH”, a pismo rolnicze „ZZ Pracowników Handlu”. W pismach branżowych używa się skrótów na określenie wielu „Centralnych Zarządów Przemysłowych”, ale w prasie codziennej operuje się raczej pełnymi ich nazwami.

Co się tyczy nazw przedsiębiorstw przemysłowych, to ostatnio istnieje tendencja do ich ujednolicenia w ten sposób, by najpierw podać w formie przymiotnika miejscowość, potem słowa „Zakłady” ew. „wytwórcze” lub „zakłady przemysłu” a później określenie przedmiotu produkcji. Na przykład: „Gorzowskie Zakłady Włókien Sztucznych” lub „Widzewskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego”. W tych warunkach skrótów jest tyle, ile fabryk, albo kilka fabryk ma taki sam skrót: Bielskie, Białostockie i Bielańskie Zakłady Przemysłu Włókiennego.

W takich wypadkach (Centr. Zarządy, Związki Zawod., Przedsiębiorstwa) podajemy tylko skróty najważniejsze i najczęściej spotykane.

By jednak ułatwić czytelnikowi rozszyfrowanie skrótu, którego nie znajdzie w niniejszym wykazie, podajemy poza wykazem skrótów pełnych także wykazy typowych początków i zakończeń skrótów.

Większość skrótów dotyczy tylko najnowszych czasów. Skróty dawniejsze powtórzone, o ile odnośne instytucje działają pod dawną nazwą. Skróty nazw organizacji politycznych już nieistniejących, a powstałych w czasie wojny lub w latach powojennych uwzględniono w niewielkim zakresie.

Wojciech ZALESKI

I. PEŁNE SKRÓTY

- AGH — Akademia Górniczo-Hutnicza.
- AL — Armia Ludowa
- AM — Akademia Medyczna.
- AWF — Akademia Wychowania Fizycznego.
- AWP — Akademia Wojskowo-Polityczna (im. Dzierżyńskiego, W-wa).
- ASG — Akademia Sztabu Generalnego.
- AZS — Akademickie Zrzeszenie Sportowe.
- bhp — bezpieczeństwo i higiena pracy.
- BIZ — Biuro Inwentaryzacji Zabytków.
- BKW — Biuro Kontroli Wojskowej (MON).
- BP — Biuro Polityczne (PZPR).
- CAF — Centralna Agencja Fotograficzna.

CAS — Centrala Aptek Społecznych.
 CBWA — Centralne Biuro Wystaw Artystycznych.
 CDD — Centralny Dom Dziecka (Dom handlowy).
 CDT — Centralny Dom Towarowy.
 CHSS — Centrala Handlowa Sprzętu Sportowego i Szkutniczego.
 CKKP — Centralna Komisja Kontroli Partyjnej (PZPR).
 CPLiA — Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego.
 CRS (Sch) — Centrala Rolnicza Spółdzielni (Samopomoc Chłopska).
 CRZZ — Centralna Rada Związków Zawodowych.
 CO — Centrala Odzieżowa.
 CSOP — Centralna Szkoła Oficerów Politycznych.
 CS (PZPR) — Centralna Szkoła (PZPR).
 CT — Centrala Tekstylna.
 CTA — Centrala Teatrów Amatorskich.
 GUGM — Centralny Urząd Gospodarki Materiałowej.
 CUK — Centralny Urząd Kinofikacji.
 CUP — Centralny Urząd Planowania (do r. 1948).
 CUSIK — Centralny Urząd Skupu i Kontraktacji.
 CUSZ — Centralny Urząd Szkolenia Zawodowego.
 CWD — Centrala Wydawnicza Druków.
 CWP — Centrum Wyszczolenia Piechoty.
 CZBMC — Centralny Zarząd Przemysłu (opuszczone w skrócie) Budowy Maszyn Ciężkich.
 CZE — Centralny Zarząd Energetyki.
 CZGZ — Centralny Zarząd Gospodarki Złomem.
 CZHOW — Centralny Zarząd Handlu Owocowo-Warzywnego.
 CZHS — Centralny Zarząd Hurtu Spożywczego.
 CZM — Centralny Zarząd Muzeów.
 CZPB — Centralny Zarząd Przemysłu Bawełnianego.
 CZPC — Centralny Zarząd Przemysłu Chemicznego.
 CZPH — Centralny Zarząd Przemysłu Hutniczego.
 CZPJJD — Centralny Zarząd Przemysłu Jajczarsko-Drobiarskiego.
 CZPPP — Centralny Zarząd Przemysłu Paliw Płynnych.
 CZPW — Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego.
 CZPW — Centralny Zarząd Przemysłu Wełnianego.
 CZS — Centralny Związek Spółdzielczy.
 CZSA — Centralny Zarząd Szkół Artystycznych.
 CZT (OiF) — Centralny Zarząd Teatrów (Oper i Filharmonii).
 DMR — Dom Młodego Robotnika.
 DOKP — Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych.
 DOPT — Dyrekcja Okręgowa Poczty i Telekomunikacji.
 DOW — Dowództwo Okręgu Wojskowego.
 DPS — Detaliczny Punkt Sprzedaży (GS).
 DRN — Dzielnicowa Rada Narodowa.
 FGM — Fundusz Gospodarki Mieszkaniowej.
 FN — Front Narodowy.
 FOR — Fundusz Oszczędności Rolnictwa.
 FP — „Film Polski”.
 FSC — Fabryka Samochodów Ciężarowych.
 FSO — Fabryka Samochodów Osobowych.
 FUM — Fabryka Urządzeń Mechanicznych.
 FWP — Fundusz Wczasów Pracowniczych.
 GIEL — Główny Instytut Elektrotechniki.
 GIP — Główny Instytut Pracy.
 GIWB — Główny Inspektorat Wyszczolenia Bojowego (MON).
 GKA — Główna Komisja Arbitrażowa.

GKS — Gminna Kasa Spółdzielcza.
 GL — Gwardia Ludowa (w podziemiu).
 GKKF — Główny Komitet Kultury Fizycznej.
 GOM — Gminny Ośrodek Maszynowy.
 GOP — Gromadzka Organizacja Partyjna (PZPR).
 GRN — Gminna Rada Narodowa.
 GUKPPIW — (czasem krótko GUK) — Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.
 GUS — Główny Urząd Statystyczny.
 GZP (WP) — Główny Zarząd Polityczny (Wojska Polskiego).
 IBL — Instytut Badań Literackich.
 IER — Instytut Ekonomiki Rolnej.
 IF — Instytut Filmowy.
 IHZ — Instytut Handlu i Żywności Zbiorowego.
 IKKN — Instytut Kształcenia Kadr Naukowych (PZPR).
 IUia — Instytut Urbanistyki i Architektury.
 IWP — Instytut Wzornictwa Przemysłowego.
 KBW — Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego.
 KC — Komitet Centralny (KPP, PPR, PZPR).
 KD — Komitet Dzielnicowy (PZPR).
 KERM — Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów.
 KFN — Komitet Frontu Narodowego.
 KG — Komitet Gminny (PZPR).
 KGW — Koło Gospodyń Wiejskich.
 KiW — Książka i Wiedza.
 KL — Komitet Łódzki (PZPR), miejski, równorzędny wojewódzkim.
 KM — Komitet Miejski (PZPR).
 ko — kulturalno-oświatowa (praca, akcja, itp.).
 KOP — Komisja Oceny Projektów (Inwestycyjnych).
 KP — Komitet Powiatowy (PZPR).
 KPP — Komunistyczna Partia Polski (do r. 1938).
 KPZB — Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi (w Polsce przedw.).
 KPZU — Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy (w Polsce przedw.).
 KRN — Krajowa Rada Narodowa (do r. 1946).
 KS — Komitet Stołeczny (PZPR), równorzędny wojewódzkim.
 KTiR — Klub Techniki i Racjonalizacji.
 KTP — Korpus Techniczny Pożarnictwa.
 KW — Komitet Wojewódzki (PZPR).
 KZ — Komitet Zakładowy (PZPR).
 LK — Liga Kobiet.
 LPZ — Liga Przyjaciół Zolnierza.
 LSW — Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.
 LZS — Ludowe Zrzeszenie Sportowe.
 MBP — Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.
 MDM — Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa (Warszawy).
 MHD — Miejski Handel Detaliczny.
 MHM — Miejski Handel Mleczarski.
 MHW — Ministerstwo Handlu Wewnętrznego.
 MKL — Muzeum Kultur Ludowych.
 MKPiK — Międzynarodowy Klub Prasy i Książki.
 MO — Milicja Obywatelska.
 MON — Ministerstwo Obrony Narodowej.
 MOZ — Miejskowa Organizacja Związkowa (ZZNP).
 MPRB — Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane.
 MPT — Miejskie Przedsiębiorstwo Taksówek.
 MRN — Miejska Rada Narodowa.

MZPD — Międzynarodowe Zrzeszenie Pracowników Demokratów.
 MZM — Miejskie Zakłady Mleczarskie.
 NBP — Narodowy Bank Polski.
 NIK — Najwyższa Izba Kontroli.
 NKW — Naczelny Komitet Wykonawczy (ZSL, SD).
 NOT — Naczelna Organizacja Techniczna.
 NPG — Narodowy Plan Gospodarczy.
 NPRSP — Narodowa Pożyczka Rozbudowy Sił Polski (r. 1951).
 NRD — Niemiecka Republika Demokratyczna.
 NRS — Naczelna Rada Spółdzielcza.
 OPHO — Okręgowe Przedsiębiorstwo Handlu Opalem.
 ORMO — Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej.
 ORZZ — Okręgowa Rada Związków Zawodowych.
 OSA — Oficerska Szkoła Artylerii.
 OSAP — Oficerska Szkoła Artylerii Przeciwpancernej.
 OSL — Oficerska Szkoła Lotnicza.
 OSE — Oficerska Szkoła Łączności.
 OSMW — Oficerska Szkoła Marynarki Wojennej.
 OSP — Oficerska Szkoła Piechoty.
 OSP — Ośrodek Szkolenia Partyjnego.
 OSS — Oficerska Szkoła Samochodowa.
 OSWP — Oficerska Szkoła Wojsk Pancernych.
 OZH — Ogrodniczy Zakład Handlowy.
 OZR — Oddział Zaopatrzenia Robotniczego.
 Pa-fa-wag — Państwowa Fabryka Wagonów (Wrocław).
 PAN — Polska Akademia Nauk.
 PAP — Polska Agencja Prasowa.
 PCK — Polski Czerwony Krzyż.
 PCWM — Państwowe Centrum Wyszczolenia Morskiego.
 PDT — Powszechny Dom Towarowy.
 PGR — Państwowe Gospodarstwo Rolne.
 PIHM — Państwowy Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny.
 PIS — Państwowy Instytut Sztuki.
 PISM — Państwowy Instytut Spraw Międzynarodowych.
 PIT — Państwowy Instytut Telekomunikacyjny.
 PIW — Państwowy Instytut Wydawniczy.
 PKC — Państwowa Komisja Cen.
 PKKF — Powiatowy Komitet Kultury Fizycznej.
 PKKP — Powiatowa Komisja Kontroli Partyjnej (PZPR).
 PKO — Powszechna (nie Poczta!) Kasa Oszczędności.
 PKOP — Polski Komitet Obrońców Pokoju.
 PKPG — Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego.
 PKS — Państwowa Komunikacja Samochodowa.
 PKWN — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (r. 1944).
 PLL „Lot” — Polskie Linie Lotnicze LOT.
 PLO — Polskie Linie Oceaniczne, także „Polocean”.
 PMH — Polska Marynarka Handlowa.
 PMRW — Państwowa Muzyczna Rada Wydawnicza.
 PNZ — Państwowe Nieruchomości Ziemskie.
 POIA Artos — Państwowa Organizacja Imprez Artystycznych „Artos”.
 Polgos — Polskie Wydawnictwa Gospodarcze.
 POM — Państwowy Ośrodek Maszynowy.
 POP — Podstawowa Organizacja Partyjna (PZPR).
 PPKAM — Państwowe Przedz. Konserwacji Architektury Monumentalnej.
 PPR — Polska Partia Robotnicza (do Kongresu Zjednoczeniowego z grudnia 1948).

PPRN — Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.
 PPS — Polska Partia Socjalistyczna (do Kongr. Zjedn. z grudnia 1948).
 PR — Polskie Radio.
 PRD — Przedsiębiorstwo Robót Drogowych.
 PRL — Polska Rzeczpospolita Ludowa.
 PRN — Powiatowa Rada Narodowa.
 PRZZ — Powiatowa Rada Związków Zawodowych.
 PSD — Punkt Sprzedaży Detalicznej (GS).
 PSL — Polskie Stronnictwo Ludowe (do roku 1949).
 PSOW — Punkt Skupu Owoców i Warzyw.
 PSS — Powszechna Spółdzielnia Spożywców.
 PTDP — Państwowy Teatr Domu Wojska Polskiego.
 PTF — Polskie Towarzystwo Fotograficzne.
 PTL — Polskie Towarzystwo Ludoznawcze.
 PTK — Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze.
 PWM — Polskie Wydawnictwo Muzyczne.
 PWN — Państwowe Wydawnictwa Naukowe.
 PWS — (Państwowa Wyższa Szkoła) patrz WS.
 PWT — Państwowe Wydawnictwa Techniczne.
 PZGS — Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni (Samopomoc Chłops.).
 PZM — Powiatowy Zakład Mleczarski.
 PZO — Polskie Zakłady Optyczne.
 PZUW — Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych.
 PZZ — Polskie Zakłady Zbożowe.
 RCIK — Rada Czytelni i Książki.
 RLP — Rejon Lasów Państwowych.
 RIW — Radiowy Instytut Wydawniczy.
 RN — Rada Narodowa.
 RPL — Rejon Przemysłu Leśnego.
 RPPS — Robotnicza Polska Partia Socjalistyczna (podczas wojny w podz.).
 RSW „Prasa” — Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”.
 RZS — (I i II) Rolnicze Zespoły Spółdzielcze. (Dwa typy ściślejszej zorganizowanych spółdzielni produkcyjnych.)
 SARP — Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej.
 Sch — = ZSch.
 SD — Stronnictwo Demokratyczne.
 SEP — Stowarzyszenie Elektryków Polskich.
 SFO — Społeczny Fundusz Oszczędności.
 SGGW — Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego.
 SGPiS — Szkoła Główna Planowania i Statystyki.
 SGSZ — Szkoła Główna Służby Zagranicznej.
 SHSKM — Stowarzyszenie Historyków Sztuki i Kultury Materialnej.
 SIMP — Stowarzyszenie Inżynierów Mechaników Polskich.
 SKRK — Społeczny Komitet Radiofonizacji Kraju.
 SL — Stronnictwo Ludowe (do roku 1949).
 SOWI — Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego.
 SP — Spółdzielnia Produkcyjna.
 SP — Służba Polsce.
 SP — Spółdzielnia Pracy.
 SPATiF — Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru i Filmu ob. ZZPK.
 SOK — Straż Ochrony Kolei.
 SOM — Spółdzielczy Ośrodek Maszynowy.
 SFZZ — Światowa Federacja Związków Zawodowych (skrót ang. WFTU).
 TMHiZ — Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków.
 TOR — Techniczna Obsługa Rolnictwa.
 TPD — Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

TPPR — Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.
 TPSP — Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych.
 TSL — Techniczna Szkoła Lotnicza.
 TWP — Towarzystwo Wiedzy Powszechnej.
 UB — Urząd Bezpieczeństwa.
 UMCS — Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej.
 UWR — Upowszechnienie Wiedzy Rolniczej.
 WAT — Wojskowa Akademia Techniczna.
 WDT — Wiejski Dom Towarowy.
 WIN — Wolność i Niepodległość (organizacja podziemna).
 WKKF — Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej.
 WKKP — Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej.
 WOKS — Wsiesiołuznoje Obszczestwo Kulturnych Swiaziej, Wszechzw.
 T-wo Związków Kulturalnych z zagr., skrót używany w Polsce.
 WOP — Wojsko Ochrony Pogranicza.
 WPHS — Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Hurtu Spożywczego.
 WRN — Wolność, Równość, Niepodległość (odłam PPS w podziemiu).
 WRN — Wojewódzka Rada Narodowa.
 WSA — Wyższa Szkoła Artylerii.
 WSE — Wyższa Szkoła Ekonomiczna.
 WSF — Wyższa Szkoła Filmowa.
 WSI — Wieczorowa Szkoła Inżynierska.
 WSK — Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego.
 WSM — Wyższa Szkoła Muzyczna.
 WSOP — Wyższa Szkoła Oficerów Politycznych.
 WSP — Wyższa Szkoła Pedagogiczna.
 WSP — Wojewódzka Szkoła Partyjna (PZPR).
 WSP — Wyższa Szkoła Piechoty.
 WSR — Wyższa Szkoła Rolnicza.
 WSSP — Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych.
 WST — Wyższa Szkoła Teatralna.
 WSWF — Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego.
 WZGS — Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni (Samopomoc Chł.).
 ZMB — Zarząd Budynków Mieszkalnych.
 ZBMO — Zjednoczenie Budownictwa Miast i Osiedli.
 ZBoWiD — Związek Bojowników o Wolność i Demokrację.
 ZBUT — Zakłady Budowy Urządzeń Technicznych (Gliwice).
 ZHP — Związek Harcerstwa Polskiego.
 ZPR — Zakład Doskonalenia Rzemiosła.
 ZiSPo — Zakłady im. Stalina w Poznaniu.
 ZKP — Związek Kompozytorów Polskich.
 ZLP — Zakład Lecznictwa Pracowniczego.
 ZLP — Związek Literatów Polskich.
 ZMP — Związek Młodzieży Polskiej.
 ZOT — Zespół Opracowań Technicznych.
 ZOWO — Zakład Obrotu Warzywami i Owocami.
 ZOR — Zakład Osiedli Robotniczych.
 ZOZ — Zakładowa Organizacja Związkowa (ZZNP).
 ZPAP — Związek Polskich Artystów Plastyków.
 ZPP — Zrzeszenie Prawników Polskich.
 ZPS — Zakłady Piwowarsko-Słodownicze (Browary).
 ZSch — Związek Samopomoc Chłopska (nie mylić ze Związkiem Gmin-
 nych Spółdzielni Samopomoc Chłopska).
 ZSL — Zjednoczone Stronnictwo Ludowe (od roku 1949).
 ZSP — Zrzeszenie Studentów Polskich.
 ZSP — Związek Spółdzielni Pracy.

ZSPiR — Związek Spółdzielni Przemysłowych i Rzemieślniczych (od ro-
 ku 1952).
 ZSS — Związek Spółdzielni Spożywców.
 ZUZ — Zrzeszenie Uprawy Ziemi (typ luźniej zorganizowanej Spółdzielni
 Produkcyjnej).
 ZUS — Zakład Ubezpieczeń Społecznych.
 ZWANN — Zakłady Wytwórcze Aparatów Niskiego Napięcia.
 ZWAWN — Zakłady Wytwórcze Aparatów Wysokiego Napięcia.
 ZWAP — Zakłady Wytwórcze Aparatury Precyzyjnej.
 ZWM — Związek Walki Młodych (organizacja komunist. w czasie wojny).
 ZZG — Związek Zawodowy Górników.
 ZZH — Związek Zawodowy Hutników.
 ZZM — Związek Zawodowy Metalowców.
 ZZM — Związek Zawodowy Muzyków.
 ZZNP — Związek Zawodowy Nauczycielstwa Polskiego.
 ZZPK — Związek Zawodowy Pracowników Kultury.

II. SKRÓTY NIEDOKONCZONE

Ax — Wytwórnia aparatów Nr. x.
 CBPP... — Centralne Biuro Projektów Przemysłu... (następuje określe-
 nie działu przemysłu).
 CHP... — Centrala Handlowa Przemysłu...
 CU... — Centralny Urząd...
 CZP... — Centrala Zaopatrywania Przemysłu...
 CZPP... — Centrala Zbytu Produktów Przemysłu...
 CZP... — Centralny Zarząd Przemysłu...
 CZZ... — Centralny Zarząd Zbytu...
 Mx — Wytwórnia maszyn Nr. x.
 OSK... — Ośrodek Szkolenia Kadr...
 PPW... — Państwowe Przedsiębiorstwo Wydzielone...
 SKK... — Szkoła Kadr Kierowniczych...
 Tx — Wytwórnia telekomunikacyjnego sprzętu Nr. x.
 ZS... — Zrzeszenie Sportowe...
 ZZ... — Związek Zawodowy...
 ZZP... — Związek Zawodowy Pracowników...

III. ZAKOŃCZENIA SKRÓTÓW

...KN — ...Kopalnictwo Naftowe. (Na pierwszym miejscu nazwa miejsco-
 wości np. GKN — Gorlickie Kopalnictwo Naftowe.)
 ...KZG — ...Kolejowe Zakłady Gastronomiczne.
 ...ZBM — ...Zjednoczenie Budownictwa Mieszkaniowego.
 ...ZBP — ...Zjednoczenie Budownictwa Przemysłowego.
 ...ZG — ...Zakłady Graficzne lub Gastronomiczne.
 ...ZPA — ...Zakłady Przemysłu Azotowego.
 ...ZPB — ...Zakłady Przemysłu Bawełnianego.
 ...ZPD — ...Zakłady Przemysłu Drzewnego.
 ...ZPDz — ...Zakłady Przemysłu WYROBÓW DZIANYCH.
 ...ZPF — ...Zakłady Przemysłu Farmaceutycznego.
 ...ZPL — ...Zakłady Przemysłu Liniarskiego.
 ...ZPO — ...Zakłady Przemysłu Odzieżowego.
 ...ZPW — ...Zakłady Przemysłu Włókiennego.
 ...ZR — ...Zakłady Roszarnicze.
 ...ZWME — ...Zakłady Wytwórczości Materiałów Elektrotechnicznych.
 ...ZWS — ...Zakłady Włókien Sztucznych.

Archiwum polityczne

Kronika angielska

W kołach politycznych obozu rządowego uważa się za możliwe, że dekret o ordynacji wyborczej ukaże się jeszcze w ciągu grudnia br. Jeżeli trudności techniczno-organizacyjne zostaną pokonane, wybory odbędą się na wiosnę 1954 roku.

W chwili obecnej (pierwsza dekada listopada) szczegóły projektu ordynacji wyborczej znajdują się w „ogniu dyskusji”. Zdaje się przeważa jednak pogląd, że prawo głosu przysługuje wszystkim Polakom a nie tylko płatnikom na Skarb Narodowy. Tym samym upadłaby koncepcja wyborów „pocztowych” w oparciu o sieć organizacyjną Skarbu Narodowego. Dalszym problemem jest sprawa obywatelstwa. Są bowiem kraje, gdzie nie ma obywateli polskich ale są Polacy. (Dekret, który by postanawiał, że Polak przyjmujący obce obywatelstwo nie traci polskiego obywatelstwa — jest rozwiązaniem zbyt logicznym i oczywistym i dlatego nie idzie po linii działalności obecnego rządu.)

Tak czy inaczej, rząd projektuje wybory na emigracji. Z politycznego punktu widzenia oznacza to, że obóz legalistyczny przewiduje (i słusznie) klęskę akcji zjednoczeniowej. Jak wiadomo bowiem stronnictwa Rady Politycznej ustosunkowują się do koncepcji wyborów na emigracji całkowicie negatywnie.

Obóz rządowy posiada w ręku wielki organizacyjny atut którym jest Skarb Narodowy. Niewątpliwie jest to jedna z najbardziej udanych instytucji polskich na emigracji. Działacze Skarbu Narodowego wysokiej rangi wyrażają pogląd, że wpływy na przestrzeni najbliższych dwóch lat osiągną cyfrę 100 tysięcy funtów rocznie. Sądząc po dotychczasowym rozwoju i rozbudowie cyfra 100 tysięcy funtów rocznie leży niewątpliwie w granicach realnych możliwości.

Lecz cóż stąd? Fundament jest ale gmachu nie ma. Działacze Skarbu Narodowego podkreślają z naciskiem, że Skarb jest a-polityczną organizacją. To wszystko prawda. Sam Skarb jest a-polityczną organizacją, ale jego roli nie można oceniać ilością płatników czy cyfrą zebranych sum. Miaraodajna w tej sprawie jest jedynie odpowiedź na pytanie: na co i z jakim wynikiem wydano zebrane pieniądze. Skarb Narodowy nie jest celem sam w sobie tylko środkiem do celu. Jego zadaniem jest dostarczyć środków finansowych niezależnej polskiej polityce. Gdzie jest ta polityka?

W kołach rządowych dąladzie się przesadny nacisk na termin „niezależność”. Niepobieranie dolarów od Amerykanów zostało wyswięcone do rangi samodzielnego, kardynalnej cnoty politycznej. Ale niezależność, podobnie jak Skarb Narodowy, nie jest celem sama w sobie. Niezależność

materialna jest rzeczą cenną, gdy jest fundamentem programu politycznego i źródłem określonej akcji. Jeżeli niezależność jest równorzędna z izolacją z politycznego punktu widzenia jest bez wartości.

Gdyby Pan Twardowski spadł z księżycą w środek legalistycznego polskiego Earls Court'u — musiałby dojść do wniosku, że potęgą która dybie na naszą niezależność są w pierwszym rzędzie Stany Zjednoczone. Przez terminy: „obecni czynnik”, „obecny wywiad” rozumie się nie NKWD lecz wywiad amerykański. „X jest na usługach wywiadu”, „Y jest na obcym żołdzie” — to określenia powszechnie stosowane pod adresem polityków opozycyjnych.

Dla każdego realnie myślącego człowieka jest rzeczą oczywistą, że polską politykę w obecnej sytuacji można prowadzić nie przeciw Stanom Zjednoczonym, nie obok Stanów Zjednoczonych lecz wyłącznie ze Stanami Zjednoczonymi. Co to oznacza? Oznacza to, że żaden rząd emigracyjny nie ma ani środków ani możliwości by bezpośrednio wpływać na bieg wydarzeń światowych i musi się zadowolić wpływem pośrednim na te czynniki, które decydują o układzie i rozwoju sytuacji międzynarodowej.

Polityka naszego rządu rozpatrywana pod tym kątem widzenia przedstawia się niezmiernie ubogo. Przez długi czas niemal monopolistą na terenie amerykańskim był p. Mikołajczyk. Po tej stronie Atlantyku zadawano się niezmordowanym walkowaniem sprawy jałtańskiej co w niczym nie przeszkadzało p. Mikołajczykowi umacniać swych wpływów w Ameryce. Dopiero utworzenie przedstawicielstwa Rady Politycznej w Stanach Zjednoczonych przełamało monopol P.N.K.D. — Obecnie istnieją w Ameryce oddziały Rady Narodowej i placówki Skarbu Narodowego. Ale to są instytucje „wewnętrzno-polskie”. Natomiast — o ile moje informacje są ścisłe — budżet rządowej placówki waszyngtońskiej jest mniejszy niż budżet placówki rządowej przy Watykanie. Nikt nie będzie poddawał w wątpliwość wielkiej wagi ambasady polskiej przy Watykanie. Ale z innych powodów i niejako w innej skali Waszyngton jest dziś terenem politycznie najważniejszym. Politycy z Rady Politycznej są w ustawicznych podróżach za ocean — politycy obozu rządowego tkwią nad Tamizą jakby ślubowali, że do końca życia nie strzepną ze swych stóp rodzimego pyłu londyńskich ulic.

Legalisci odpowiedzą na to, że członkowie Rady Politycznej podróżują za ocean za amerykańskie pieniądze. Nie wiem kto (i czy) finansuje zamorskie podróże działaczy z Rady Politycznej — wydaje mi się jednak, że do Ameryki można jechać równie za własne, względnie skarbowe pieniądze. Jedno natomiast jest pewne. Jeżeli ktoś chce oddziaływać na politykę Ameryki musi być w Ameryce reprezentowany.

Polska polityka w stosunku do Stanów Zjednoczonych oscyluje między dwoma skrajnymi biegunami. Polscy rządowi izolacjoniści w Londynie — to jeden biegun; finansowane przez Amerykanów a organizowane przez Polaków tajemnicze „roboty na Kraj” — to drugi biegun. Pomiędzy tymi dwoma biegunami leży jałowa pustynia naszej politycznej nieudolności. Na tej pustyni zakwitają czasem doskonale pomyślane inicjatywy, którym brak jednak ciągłości i programu zakreślonego na dłuższą metę.

Legalisci uważają, że polska polityka musi być w całości oparta na polskich pieniądzach. Wysuwają tezę, że to jest zagadnienie moralności i etyki. W czasie rozmowy jeden z wybitnych polityków obozu rządowego powiedział mi z nutą cnotliwej dumy, że nasi ministrowie biorą „na rękę” tylko 28 funtów miesięcznie. Jeżeli tak jest istotnie to nie ma czym się chwalić. Ubóstwo jest cnotą Trapistów ale nie polityków. Minister, który ma „na rękę” £ 28 a całą resztę pensji „na papierze” — nie może być dobrym ministrem. Cały dzień myśląc skąd wziąć pieniądze na gaz, elektryczność i pralnię i nie ma już ani czasu ani głowy zastanawiać się nad

sprawami własnego resortu. Taka polityka „bieda-szybów” do niczego nie prowadzi i jest symbolem nie tyle cnoty i moralności co niedołęstwa i safandulstwa. Polityki nie można robić bez pieniędzy i dlatego pieniądze na politykę trzeba umieć zdobyć.

Entuzjaści Skarbu Narodowego powiadają: za dwa, trzy lata będziemy mieli 100 tysięcy funtów rocznie i to nam wystarczy. Na co wystarczy? Wystarczy by pensje ministrów podnieść z 28 na 35 funtów miesięcznie, wystarczy by utrzymać placówki zagraniczne i londyński „zamek” wraz z oficynami. Ale na prowadzenie wielkiej akcji politycznej na terenie międzynarodowym a w szczególności w Stanach Zjednoczonych — to jest za mało.

Osobiście uważam, że największe niebezpieczeństwo jakie grozi idei Skarbu Narodowego polega na tym, żeby Skarb Narodowy będący wyrazem patriotycznej ofiarności Polaków na emigracji — nie stał się finansistą emerytalnego kwietyzmu przybranego w toż samowystarczalności. Skarb Narodowy umożliwia „trwanie na posterunku” w poczuciu skromnej ale pewnej niezależności. Nie prowadzi się żadnej polityki, bo na to już nie ma pieniędzy, publiczności natomiast tłumaczy się uporczywie, że jesteśmy wprawdzie ubodzy ale moralni i niezależni.

Pogląd, że 100 tysięcy funtów „nam wystarczy” jest w gruncie rzeczy sparodiowanym w krzywym zwierciadle rzeczywistości — przedwojennym kompleksem mocarstwowości. Nie zależy nam na międzynarodowej akcji politycznej tylko na budowie emigracyjnego i finansowo samowystarczalnego „mocarstwka”.

Koncepcja materialnej samowystarczalności posiada wielu zwolenników w obozie rządowym. Ten pogląd jest nie do pogodzenia z polityką niepodległościową na wielką skalę gdyż pieniądze Skarbu Narodowego byłyby wówczas obracane na polityczną konsumpcję wewnętrzną tj. na utrzymanie i rozbudowę „państwa na emigracji”. Zwolenników tej koncepcji interesuje tylko jedna polityka a mianowicie emigracyjna polityka wewnętrzna z jej klasycznym „węzłem morskim” czyli zjednoczeniem narodowym na czele.

Politycy obozu rządowego wysuwają z reguły kwestie pieniężne jako zasadniczy problem, który stwarza przepaść pomiędzy koalicją rządową a opozycją. W moim rozumieniu nie jest rzeczą istotną czy polityk X bierze pieniądze od Amerykanów. Zasadnicze pytanie brzmi: nie czy bierze — tylko co za te pieniądze robi? Jeżeli za te pieniądze robi dobrą robotę w interesie sprawy polskiej — niech bierze jak najwięcej. O ileż cenniejszy jest dla nas polityk, który bierze od Amerykanów pieniądze na politycznie celową i pożyteczną akcję — niż „mąż stanu”, który od nikogo nic nie bierze i absolutnie nic nie robi.

Niestety nie wszyscy, którzy biorą od Amerykanów pieniądze robią dobrą robotę. Ale to nie jest argumentem przeciwko korzystaniu z obcej pomocy. To jest tylko dowodem, że biorą pieniądze nie ci, co powinni je brać.

Gdyby koncepcja samowystarczalności finansowej została przyjęta za podstawę polityki obozu legalistycznego, gdyby fundusze ze Skarbu Narodowego miały być nie fundamentem na szerszą skalę podjętej akcji politycznej na terenie międzynarodowym, lecz przeciwnie, miałyby być użyte na utrzymanie i rozbudowę wewnętrzną „państwa na emigracji”, trzeba by wówczas stwierdzić, że idea Skarbu Narodowego została przez legalistów całkowicie wypaczona. Naszym celem nie jest bowiem budowa nad Tamizą samowystarczalnego, izolowanego „mocarstwka” o niezmiennym rządzie, lecz naszym zadaniem jest podjęcie akcji politycznej na terenie międzynarodowym, w szczególności w Stanach Zjednoczonych.

Na podstawie informacji jakimi dysponuje „Kultura” należy stwierdzić,

że Kraj w przeciwieństwie do obozu legalistycznego na emigracji — nie uważa obecnej politycznej i finansowej autarkii naszego rządu za idealną. Wprost przeciwnie fakty te działają na opinię Kraju deprymująco bo są interpretowane jako brak zainteresowania sojuszniczej Ameryki dla poczynań rządu. I analogicznie wiadomo nam, że opinia Kraju bardzo sobie ceni, że np. Radio polskie „Free Europe” finansowane jest przez Amerykę, gdyż ludzie w Polsce widzą w tym konkretny dowód zainteresowania ze strony Stanów Zjednoczonych.

Kraj patrzy na Amerykę jako na jedyną i ostatnią deskę ratunku i trudno się dziwić, że tak jest. Gdyby nasz rząd otrzymał pomoc finansową ze strony Ameryki, gdyby jego działalność była widoczna na polu międzynarodowym — taki rozwój wydarzeń spotkałby się z gorącą aprobatą opinii w Kraju. Pierwszym krokiem po tej linii winna być całkowita reorientacja polityki rządowej. Dziś — jeżeli przyjąć dochód Skarbu Narodowego na 50 tysięcy funtów rocznie — budżet roczny waszyngtońskiej placówki rządowej nie wynosi nawet 5 procent dochodów skarbowych. Innymi słowy w rozbudowę stosunków politycznych ze Stanami Zjednoczonymi inwestuje się około 4 1/2% dochodów ze Skarbu Narodowego. Powyższe cyfry nie wymagają komentarzy. Toteż rezultaty tego rodzaju polityki „inwestycyjnej” przedstawiają się raczej żałośnie.

Na zewnątrz rząd powinien rozbudować wydawnictwo swój aparat w Stanach Zjednoczonych — na wewnątrz powinien przeprowadzić prawdziwe wybory. Rada Narodowa wyłoniona z wyborów nie mogłaby rościć sobie pretensji do reprezentowania Kraju ale w pewnej mierze reprezentowałaby emigrację. Jeżeli bowiem stoi się na stanowisku reprezentacji społeczności emigracyjnej wyłonionej z wyborów to należałoby tej reprezentacji nadać formę zbliżoną do analogicznych demokratycznych instytucji zachodnich. Więc albo wszyscy radni winni być wyłonieni z wyborów albo przynajmniej 2/3 składu przyszłej Rady. O ile mi wiadomo dekret o ordynacji wyborczej nie pójdzie po tej linii. Jeszcze jest czas nad tą sprawą się zastanowić. Gdyby jednak — na co się niestety zanosi — dekret o ordynacji wyborczej nie zapewniał radnym pochodzącym z wyborów zdecydowanej większości — wybory będą zwykłą parodią i należy je zbojkotować. Bo jakaż byłaby wówczas sytuacja radnych z wyborów w przyszłej Radzie Narodowej? Mieiliby oni stwarzać pozór demokratycznie wyrażonej sankcji społeczeństwa emigracyjnego dla polityki rządu i jego gospodarki sumami ze Skarbu Narodowego — nie mając decydującego wpływu ani na politykę ani na gospodarkę.

Istnieją na emigracji dwie koncepcje reprezentacji politycznej. A więc reprezentacja stronnictw na wzór Rady Jedności Narodowej — lub Rada Narodowa wyłoniona w większości swego składu z wolnych wyborów. Natomiast instytucja, która miałaby być kombinacją obu tych koncepcji jest z góry skazana na paraliż. Tego rodzaju „ciało” nie będzie bowiem ani reprezentacją stronnictw politycznych, ani prawdziwym przedstawicielstwem wyłonionym z wyborów. Nie będzie ani wyrazem „mandatu Kraju”, ani wyrazem woli społeczności emigracyjnej.

Nie trudno się jest domyślić dlaczego obóz legalistyczny nie jest skłonny zapewnić zdecydowanej większości radnym wyłonionym z wyborów. Gdyby przeprowadzono prawdziwe wybory i powołano Radę Narodową w demokratyczny sposób mogłoby się zdarzyć, że tak powstała reprezentacja społeczności emigracyjnej odmówiłaby votum zaufania obecnemu rządowi. Ale z demokracją jest podobnie jak z owym ciastkiem o którym angielskie przysłowie mówi, że nie można go równocześnie i zjeść i mieć go. Trzeba się zdecydować albo na jedno albo na drugie.

Niemcy obserwują Europę Wschodnią

Wśród wielu studiów naukowych w Niemczech Zachodnich badania zagadnień dotyczących wschodu Europy stanowią bardzo poważną pozycję. Koncentrują się w licznych specjalnych instytucjach, stowarzyszeniach, komisjach i zespołach (Arbeitskreise). O skali podjętych zadań niech mówi samo wyszczególnienie najważniejszych zakładów badawczych i wymienienie ciekawszych podjętych prac.

Zakłady zajmujące się wyłącznie zagadnieniami wschodnimi:

— Przy Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, w oparciu o poważne pomoce zagraniczne, utworzono „Osteuropa Institut Berlin”, posiadający sześć wydziałów:

Gospodarczo-polityczny — (Wirtschaftspolitische Abteilung),

Krajoznawczy — (Landeskundliche Abteilung),

Prawniczy — (Rechtswissenschaftliche Abteilung),

Historyczny — (Osteuropäische Geschichte Abteilung),

Sławistyczny — (Slawistische Abteilung),

Medyczny.

— W Marburgu uruchomiono całkowicie samodzielny, nie związany z Marburskim Uniwersytetem, finansowany przez Bonn, „Herder Institut”, posiadający własną chyba najbogatszą w Niemczech bibliotekę wschodnio-europejską i korzystającą z olbrzymiej niezależnej „Westdeutsche Bibliothek” w Marburgu.

— W Monachium restytuowano dawny „Süd-Osteuropa Institut”, zajmujący się państwami bałkańskimi, Węgrami i Słowacją. Instytut ten wznowił swą działalność wydaniem XI tomu (pierwszy powojenny tom) periodyka „Südost Forschungen”.

— Również w Monachium zmontowano przed dwoma laty pod kierownictwem wiedeńskiego filozofa i teologa profesora Hansa Kocha „Osteuropa Institut”, który w krótkim okresie swego istnienia zorganizował na bardzo wysokim (i kosztownym — 12 DM zeszyt) poziomie kwartalnik „Jahrbücher für Osteuropas Geschichte”, poza tym wydał 3 ciekawe prace: B. Rubin — „Theoderich und Justinian”; Erich Thiel — „Sowjet-Fernost”; Georg von Rauch — „Russland-staatliche Einheit und nationale Vielfalt” (Jedność państwowa i różnorodność narodowa Rosji).

— Göttinger Arbeitskreiss” istniejący przy Uniwersytecie w Getyndze. Opracowano tu szereg tematów środkowo-europejskich i polskich. Wydano interesującą książkę dra Gause „Deutsch-Slawische Schicksalgemeinschaft” (Niemiecko-Sło-

wiańska spółnota przeznaczenia). Warto nadmienić, że w okresie 1945-1953 na Uniwersytecie w Getyndze 36 dysertacji dotyczyło tematów wschodnio-europejskich.

— W Düsseldorfie „Büro für heimatvertriebene Ausländer” prowadzi pod kierunkiem profesora Gerharda von Mendel dokumentację polityki narodowościowej w ZSSR.

— Pod prezesurą profesora Waltera Kuhn’a z Hamburga i pod kierownictwem doktora Gottholda Rohde z Marburga działa „Historische Kommission für Posen und das Deutschtum in Polen”. Zakłady zajmujące się tylko częściowo sprawami wschodnimi.

— „Institut für Völkerrecht” w Getyndze. Poważna część prac dotyczy zagadnień środkowo- i wschodnio-europejskich. Kierownikiem jest profesor Kraus, znany obrońca w procesach norymberskich.

— „Institut für politische Wissenschaften” przy „Hochschule für Politik” w Berlinie, współdziała z Wolnym Uniwersytetem w Berlinie, a w zagadnieniach wschodnich z „Osteuropa Institut Berlin”.

— „Institut für Vergleichendes Staatsrecht”, przy Uniwersytecie Freiburskim, opracowuje między innymi obecną konstytucję Jugosławii i Czechosłowacji.

— „Forschungsstelle für Völkerrecht” w Hamburgu, specjalnie uwzględnia sprawy wschodnie.

— „Weltwirtschaftsinstitut” w Kiel bada zagadnienia gospodarcze ogólne, ale posiada także osobny dział zagadnień gospodarczych wschodnio-europejskich.

— „Institut für Zeitgeschichte” w Monachium zajmuje się badaniem historii najnowszej dotyczącej III Rzeszy, a w tym zakresie i spraw wschodnich. Od stycznia 1953 wydaje wartościowy kwartalnik „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte”, którego pierwsze cztery zeszyty, oprócz interesujących tekstów, zawierają dobrze opracowaną bibliografię fachową.

— „Institut für Besatzungsfragen” bada zjawiska i doświadczenia z czasów okupacji niemieckiej na Wschodzie i Zachodzie. Opracowuje zagadnienia sądownictwa i ustawodawstwa (niemieckiego) w krajach okupowanych przez III Rzeszę. Bada zagadnienia kolektywnej odpowiedzialności i kary, oraz sprawy kolaboracji z III Rzeszą. Tu spodziewane jest wkrótce opublikowanie pracy opartej na doświadczeniach dra Bräutigama, byłego wysokiego urzędnika MSZ’u i Ostministerium III Rzeszy, obecnego kierownika oddziału wschodniego w MSZ w Bonn.

— „Forschungskreis von Witzleben” prowadzi badania historii spraw związanych z zamachem 20 lipca 1944, co w wielu wypadkach zalega się z polityką wschodnią III Rzeszy. Kierownik tego „Kreisu”, monachijski profesor dr Georg Stadtmüller, zajmuje się poza tym badaniami spraw południowo-wschodnich niezależnie od Instytutów Wschodnich.

— Założone 18 listopada 1949 roku „Deutsche Gesellschaft für Osteuropakunde” — Stuttgart — nie jest żadną instytucją

nadrzędną, jednakowoż tu można doszukiwać się inicjatywy w koordynowaniu prac wszystkich wymienionych instytutów i zakładów. Prezydentem sztutgarskiego towarzystwa jest były Reichsminister Hermann Dietrich; jego zastępcą jest dr Otto Pfeleiderer, prezes Wirtembersko-Badeńskiego Banku Krajowego; zarządcą towarzystwa jest profesor dr Otto Schiller. Towarzystwo wydaje dwumiesięcznik „Ost-Europa” pod kierownictwem dra Klausa Mehnert’a. W ramach swej działalności Towarzystwo wykonało „Arbeitsgemeinschaft für Osteuropaforschung”, a w dalszej kolejności „Arbeitsgemeinschaft” przystąpił do szeroko zakrojonego wydania „Osteuropa Handbuch”, które ma zapoczątkować swój żywot wielkim tomem poświęconym Jugosławii. Wśród siedemnastu nazwisk współredaktorów tej książki figuruje jedenastu profesorów, docent i pięciu doktorów. Jako tomy drugi i trzeci ukaże się „Sowjetunion”. Tom czwarty będzie stanowiąc studium o Polsce. Dalsze — to „Tschechoslowakei”, „Rumänien”, „Baltische Länder”, „Ungarn” i „Bulgarien-Albanien”. Prace przygotowawcze do drugiego i trzeciego tomu są bardzo zaawansowane, jednak ukażą się one zapewne dopiero w 1955 roku.

Wśród dziewięciu tematów znajdujących się na warsztacie „Arbeitsgemeinschaftu” trzy dotyczą spraw polskich bezpośrednio, a jedna pośrednio, mianowicie: Prof. dr Walter Recke — „Die historisch-politische Grundlagen der Genfer Konvention für Oberschlesien”; prof. dr Gunther Ipsen — „Die polnische Bevölkerung der Nachkriegszeit”. Kartograficzne dopełnienia wykonują prof. dr Hans Schwalm i dr Richard Breyer. Prof. dr Herbert Ludat „Polnische Geschichtsschreibung und Geschichtsforschung”; prof. dr Gerhard von Mende — „Die Nationalitätenpolitik der Sowjetregierung 1917-1953”.

Tak wygląda zwięzłe wyliczenie instytucji, stowarzyszeń i wydawnictw, których działalność może wywrzeć olbrzymi wpływ na ukształtowanie przyszłości Europy, a zwłaszcza warunków współżycia Niemców z ich licznymi sąsiadami. Do prac zakrojonych na wielką miarę wciągnięto elitę intelektualną Republiki Związkowej, elitę o szerokim wachlarzu wieku, poglądów i pochodzenia. Nie mniej szeroki jest wachlarz tendencji tego wielkiego zespołu naukowców. Znajdą się w nim niewątpliwie przedstawiciele „Taurogen-Komplex’u” (Wyrażenie zapożyczone od jednego z profesorów niemieckich). Nie zabraknie też pewno i autorów legendarnych dwudziestotomowych „Einleitung zur Frage...” Okaże się pewna ilość fobów i filów, czy też amatorów „poletek pod kartofelki”, jak mawia Paweł Hostowiec. Lecz trzon stanowią chyba będą badacze nowocześni, u których dopatrywać się można wzrastającego wpływu rzetelnych i głęboko przekonanych o swej racji, ponadnarodowych Europejczyków. Oby!

Monachium, w listopadzie 1953.

Bogdan KONASZEWICZ.

Sprawy i Troski

Krytyka i postulaty

Większość prasy polskiej na emigracji poświęca tak wiele miejsca na mlócenie codziennej słomy dziennikarskiej, że nie starcza zazwyczaj miejsca na zagadnienia naprawdę ważne. Zwykle sprawy istotne — gdy je ktoś poruszy — włączają w tak zwaną polską opinię publiczną jak w masło, to jest nie wzbudzają protestów i nie wywołują najmniejszego wrażenia. Wydaje się, że nie nastąpiło to jednak w rozpoczętej przez „Kulturę” debacie o radiofonii polskiej na Zachodzie. Przyszły tym razem echa. W październiku ukazał się w wychodzącym we Francji miesięczniku „Ogniwo” bardzo mocny artykuł pod tytułem „Krzyk w pustce”, w jednym z październikowych numerów amerykańskiego dziennika *Nowy Świat* charakterystyczny artykuł redakcyjny, będący odpowiedzią na wyczerpujące studium Janusza Jasieńczyka, a w poprzednim numerze „Kultury” najdalej idący list p. Klaudiusza Hrubyka.

Nie upoważniony do tego przez Redakcję, nie zamierzam tu sumować tych głosów, zwłaszcza że niezmiennie pożyteczna debata radiowa z pewnością nie skończy się na mej skromnej wypowiedzi. Co do pana K. Hrubyka, to pragnę tylko zauważyć że jego zasadnicza negacja sprowadza się właściwie do tezy, że monachijski „Głos Wolnej Polski” nie jest właściwie głosem polskim, ani w ogóle wolnym głosem. Nikt rozsądny nie może podzielić tego stanowiska: wiadomo, że lepsze jest wrogiem dobrego i na pewno słuszniej będzie dążyć do poprawy już istniejącej rzeczywistości, niż całkowicie ją negować. Toteż dokładając swoje trzy grosze do tego, co było już powiedziane, oprę się przede wszystkim na własnym nasłuchu i na analizie Jasieńczyka. Nie twierdzę, że wysłuchałem więcej audycji, niż on, wydaje mi się jednak, że mam nad nim tę przewagę, iż słuchałem Monachium od samego powstania radiostacji GWP., a ponadto — także głównie z powodu choroby mogę dodać trochę uwag dotyczących późniejszego okresu.

Chciałbym przede wszystkim na tle dotychczasowej dyskusji zgłosić swe *voluntatem separatam* w niektórych istotnych punktach. A więc przede wszystkim tzw. „Teatr Wyobraźni”. Sądzę, że w interesie publicznym należy powiedzieć otwarcie: nie ma i nie było w Monachium żadnego teatru wyobraźni.

Bo jakże nazwać tę pseudoteatralną i pseudokulturalną działalność, jeśli na kilkadziesiąt nadanych dotychczas „kawałków” znalazło się na taśmie dosłownie kilka wartościowych, które bardzo łatwo wyliczyć. Obok zradiofonizowanych utworów Roztworskiego („Judas”), Fredry („Dwie bliźny”) i Mickiewicza („Dziady” w bardzo słabym, amatorskim wykonaniu młodzieży londyńskiej, która kiepsko mówi po polsku) do wartościowych pozycji zaliczam jedynie: śliczną składankę słowno-muzyczną „Wiosna w Polsce dawniej i dziś”, trochę słabszy „Śmigus”, nagrodzone słuchowisko „List do siostry”, słuchowisko „Kopernik”. Wśród rocznicowych „kawałków” wyróżniło się słuchowisko Tadeusza Nowakowskiego o konstytucji Trzeciego Maja. Nadane już dwa razy (czyli 8 razy, bo każdego dnia 4 razy) słuchowisko Kossak-Szczuckiej „Kielich krwi”, pisane znakomitą polszczyzną, traci cały efekt przez naiwne zakończenie. Nie wiem, kto adaptował dla radia inny utwór tej autorki, który nadano 17. 10. br. pod tytułem „Onego czasu”. Jest to przykład zupełnego zniszczenia pięknego opowiadania przez więcej niż nieudolną pracę adaptacyjną. 3. 10. br. nadano ambitnie i ciekawe (jako zamierzenie, ale jeszcze nie osiągnięcie) słuchowisko „Bydgoszczanina” pt. „Opaska z napisem W.P.”. I nie rozchodźcie się: więcej dobrych lub niezłych rzeczy nie zauważyłem. Choć moja specjalizacja wymaga nurzania się w morzu złych filmów, muszę powiedzieć, że jest to zajęcie bodaj znośniejsze od wysłuchiwania monachijskiego „teatru”.

Nie sposób omówić tu, albo choćby wymienić wszystkich słuchowisk. Muszę zacząć od tego, że nie ma w nich nazwisk znanych autorów, co można sobie tłumaczyć tym, że dyrekcji GWP na współpracy autentycznych pisarzy wcale nie zależy. Brak adaptacji radiowych utworów zachodnich lub polskich sztuk, nowel czy powieści, które w Kraju nie mogą ujrzeć światła dziennego. Sama myśl prowadzenia teatru wyobraźni bez wciągnięcia do procesu twórczego szerszych kół pisarzy wydaje się błędna. Wiem dokładnie, że bogata i posiadająca olbrzymi personel radiofonia brytyjska czyni wszystko, aby nakłonić dramaturgów i w ogóle pisarzy do pracy dla mikrofonu. Kierownictwo Trzeciego i innych Programów nie waha się wysyłać swych przedstawicieli nawet do tak sieroczej grupy jak PEN wygnańczy (PEN Club for Writers in Exile) i drogą specjalnych pogadanek uczyć ich i nakłaniać do pisania słuchowisk. O ile mi wiadomo, o niczym podobnym nie ma mowy w Monachium. Osobiście stoję bardzo daleko od polskich instytucji i polskich personalistów (ale nie od istotnych spraw polskich), nie wiem więc dokładnie, co się dzieje w Radio Free Europe i dlaczego tak jest, jak jest.

Ale wróćmy do rzekomego teatru rzekomej wyobraźni. Aby nie być gołosłownym, muszę jednak przytoczyć parę przykładów. Oto np. „Sąd nad pułkownikiem Fosterem” — nadane w dniu 19. 7. 1952 roku. Artystycznie: niebywałe pomieszanie płaszczyzn narracji, nudnego streszczenia sztuki Rogera Vaillanda, na której zostało zbudowane i fantastycznej akcji „bieżącej”, z której wynotowałem tylko taki kwiatek (cytuje według podręcznej notatki i nie rękę za zupełną dosłowność):

Przewodniczący Sądu (symbolicznego — przyp. mój): — Czy jest tu agitator komunistyczny Masan? MASAN: Rozstrzelano mnie co prawda, ale stawiałem się na wezwanie Wysokiego Sądu. PRZEWODNICZĄCY: To bardzo ładnie z pańskiej strony...

Czy autor „słuchowiska” naprawdę nie rozumie, że tym „bardzo ładnie” kładzie całą atmosferę, że przesuwając całą audycję w wymiar kpinek przy wódce, już prawie cyrku? A strona polityczno-ideowa „Sądu”? Więcej niż wątpliwa. Konkluzje końcowe mętne, dwuznaczne, miejscami dla chrześcijanina wprost ryzykowne. Czy autorowi chodziło o propagowanie poglądu, że wolno wymordować niewinną ludność miasta dlatego, że działają tam partyzanci komunistyczni? (rzecz dzieje się w Korei, chodzi o sztukę pt. „Le colonel Foster plaidera coupable”, która narobiła przed półtora rokiem trochę szumu w Paryżu).

Albo weźmy „Zwykłą sprawę”, nadaną bezimiennie prawie w rok później (jeśli nie pomyliłem notatki, to 27. 6. br.) Jasieńczyk w swej krytyce zaliczył ten „utwór” do „zręcznie napisanych”. *Ceterum censeo*, poczywy panie Jasieńczyk. Bzdura jest bzdurą i nie ma na to rady. Postacie płaskie, bez mięsa, czarnobiałe manekiny, chodzące slogany. Znamy to doskonale z literatury socrealistycznej: schematyzm, sztampa, pomieszanie pojęć. Jeśli to ma być teatr dla mas, to bardzo dziękuję! Jeśli po to siedzimy na Zachodzie, żeby naśladować, ba, wprost kopiować recepty socrealizmu i zamiast szmir socrealistycznych tworzyć i sprzedawać Krajowi inne szmiry, to już lepiej robić kielbaski u Wallsa. Bo to jest zupełne nieporozumienie — całkowite niezrozumienie, czym jest widowisko, czy słuchowisko teatralne, albo radiowe. Ma ono dawać pełne przeżycie, wciągać całego człowieka, działać nie tylko — jak czyni to artykuł lub pogadanka radiowa — na umysł słuchacza, ale również na jego emocje. Dla mas, czy nie dla mas — musi to być przeżycie artystyczne. Nie będąc artykułem — złe słuchowisko nie przemawia do umysłu słuchacza — żadnego słuchacza! — a nie będąc literaturą ani teatrem nie działa również na uczuciowość, ani na wyobraźnię. Socjologiczne badania oddziaływania literatury i teatru (a zatem i radiofonii teatralnej) posunęły się już dość daleko naprzód, aby twierdzić stanowczo, że artystycznie bezwartościowe utwory mogą tylko przynieść szkodę (zepsucie smaku, powstanie nieskoordynowanych nastrojów i stanów emocjonalnych etycznie ujemnych, albo moralnie bezwartościowych), ale nikogo nie przekonają. W Stanach Zjednoczonych istnieją specjalne szkoły dla scenarzystów radiowych, gdzie te sprawy omawia się

jako elementarne. W Anglii od czasu do czasu pojawiają się także studia o radiofonii, by wymienić tylko ostatnio wydaną książkę Rogera Manwella pt. *On the Air* (wydawca Andre Deutsch, cena 16/—). Nie jest to oczywiście jedyna ani specjalnie wartościowa pozycja, z którą powinni się zapoznać pracownicy radiofonii; literatura tego przedmiotu jest już wcale obfita.

Słuchowisk podobnych do „Zwykłej sprawy” nadano z Monachium nie mało. Czy weźmiemy ubogie „Dwa światy” (według utworu Wandy Sniechowskiej, 29. 8. br.), czy „Sabotaż amerykański”, czy którekolwiek z wcześniejszych słuchowisk — wszędzie znajdziemy to samo: uproszczenia, brak żywych, zindywidualizowanych postaci, jakieś płytkie wmawianie w słuchacza, że komuniści i Rosjanie to sami pijacy i złodzieje. Aż dziw, że reżim nie przewalił się już dawno, skoro ma takich protagonistów i urzędników! Nie lepiej jest w słuchowiskach galówkowych. Klasycznym przykładem jest utwór o Paderewskim, nadany aż w dwóch terminach (15. 8. i 7. 11. — każdego dnia po cztery razy). Stałe powtarzanie się recepta na te galówkowo-rocznicowe wyczyny (których procent jest przerażająco wielki) to tasiewiczowa narracja, do której jak frendzelki, czy dzwoneczki przyczepione są rozmówki potrzebnych narratorowi osób. Rzecz jasna, że żaden teoretyk, ani rozsądny praktyk nie może audycji takiej uznać za słuchowisko. Równie śmieszne jest podawanie w dziale teatralnym publicystyki polityczno-histerycznej Al. Bregmana (nota bene nie mam nic przeciw niemu — chodzi tylko o nazywanie rzeczy po imieniu); publicystyka nie jest teatrem i jest na nią dość miejsca w innych działach.

Pod jednym względem nie mogę się zgodzić z Jasieńczykiem. Pisze, że w repertuarze teatru wyobraźni nie może dostrzec planu. Tak źle nie jest: jest plan i to żelazny — kalendarz! Żadna rocznica nie ujdzie uwagi. Mania aktualności włada całą pracą tego „teatru” i wszystko planuje się według kalendarza, jak gdyby ludzie i pisarze istnieli dla niego, a nie odwrotnie. Gdy w sobotę otwieram radiodbiornik, już z góry nastawiam się na wypociny o jakimś wielkim Polaku lub na fanfary z powodu narodowego święta. I znów trzeba podkreślić, by nie było nieporozumień: niech sobie będą rocznice, byle na lepszym poziomie — dla mas, właśnie dla mas trzeba dbać o poziom. Szekspir nie pisał dla elity, lecz dla „gawiedzi”, dla mas i jest dla każdego zrozumiały. Ale po co te wszystkie akademie i rocznice wsadzać w ramy teatru wyobraźni?

Przechodząc do innych rubryk i mówiąc otwarcie, znów jest źle: monotonna szarżyzna. Wynika to zresztą z samych cyfr statystycznych, których tu nie mam potrzeby powtarzać. Skoro pozytywowi Zachodu poświęca się znikomy procent czasu, to co ciekawego można wydobyć z odmieniania przez wszystkie przypadki słowa „komunizm”, „komunista” i przymiotników „czerwony” i „komunistyczny”? Gra się na jednej strunie także w rubrykach kulturalnych. Zamiast dawać solidny towar, zamiast informować o Zachodzie, mówić o wolnym świecie, o wolnym

człowieku, zamiast walczyć z tępym fanatyzmem myślenia komunistów i nie komunistów — daje się negację, krzyk i to nie w rubrykach informacyjnych (których nie kwestionuję), ale w publicystyce i często, zbyt często także w działach kulturalnych, na przykład *Na czerwonym indeksie*. Bezbieżna monotonia i zarozumiałstwo codziennych komentarzy (zarówno nowojorskich jak i monachijskich) są wprost nieznośne.

Miernota wdarła się nawet do niezłej zresztą rubryki *Kultura w niewoli*, w której na szczęście pojawia się ostatnio nazwisko inteligentnego Romana Palestra. Weźmy choćby pogadankę Herlinga-Grudzińskiego nadaną 15. 10. br. Referent miał rzekomo mówić o miesiącu pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej (sam określił tak tytuł), ale naprawdę powiedział parę ogólników o swej wycieczce do Jugosławii. Twierdził między innymi, że poziom literatury w tym kraju poprawił się po oderwaniu się Tity od Kremla, ale nie podał ani jednego słowa dowodu, ani jednego nazwiska. Komu potrzebne są takie apodyktyczne, gołosłowne „objawienia”? Taśmie, tylko taśmie, bo musi się kręcić.

Aby, zarzucając innym schematyzm i uproszczenia, nie być posądzony o te same błędy w ocenie działalności RFE, muszę powiedzieć, że w ramach *Głosu Wolnych Pisarzy* nadano ostatnio kilka dobrych dyskusji. A więc o „Konradzie Wallenrodzie” Mickiewicza (nadana z Nowego Jorku 14. 10), o literaturze ukraińskiej (nadana z Nowego Jorku dnia 2. 9. br. pt. „Kozaczyzna a literatura ukraińska, z ciekawym współudziałem dwóch pisarzy ukraińskich), a zwłaszcza bardzo potrzebną rozmowę o sztuce i literaturze socrealistycznej w Polsce (Londyn, 21. 10. — jedna z najbardziej interesujących audycji w tym dziale). Nie mam zastrzeżeń w stosunku do dyskusji londyńskiej o literaturze wspomnień i książce M. Danilewiczowej „Blisko i daleko” (23. 9.), choć wspominkarstwo w stylu „Wiadomości” uważam za jedną z największych zmór emigracji.

Jeśli chodzi o czysto literacką (w założeniu) rubrykę *Na czerwonym indeksie* to chciałbym prosić panów z Monachium o sprawdzenie taśmy z przekładem reportażu M. Higgins o Korei, który nadawany był w sierpniu (bodaj 27. 8.). Polszczyzna tego przekładu jest chyba gorsza od żargonu socrealistycznego. Dowody (m. in.): „schowali się od deszczu”, albo wyrażenie sztabowego oficera: „Będziemy musieli uchodzić”. Od kiedy to wycofanie się oddziału określa oficer młodopolskim słownictwem?

Rubrykę *Na czerwonym indeksie* — jak i inne, z wyjątkiem *Okna na Zachód* i *Książki tygodnia* — zabija brak różnorodności. Istota wszelkiej programowej radiofonii jest różnorodność, bogactwo. Medium to nie znosi monotonii i większość wysiłków praktyków i teoretyków radiowych skierowana jest na wyszukiwanie sposobów pozostawania w zgodzie z tym prawem. Ożywczą strugą świeżego powietrza były w tej rubryce niektóre utwory nagrodzone i wyróżnione na konkursie, a ostatnio powieść Czarnyszewicza *Nadberezynicy* — nie arcydzieło wprawdzie, ale utwór świeży, żywy i humanistyczny.

Otóż to : humanistyczny. A w Monachium o człowieku mówi się prawie tak mało, jak mało się o nim myśli w okupowanym przez komunistów Kraju. Abstrakcyjna polityka, abstrakcyjne (bo zawieszane w próżni) komentarze wróżbitów i natrętnych wyjaśniaczy (którzy jednak nie informują kandydatów na „bryków”-marynarzy o odbieraniu im na zachodzie książeczek żeglarskich), pogadanki ekonomiczne i wojskowe (zresztą i jedne i drugie bardzo potrzebne, ale w innym kontekście) — to wszystko stwarza atmosferę ahumanistyczną, zbyt mało miejsca pozostawiając na człowieka — na tematy naprawę humanistyczne. Wstyd powiedzieć, ale trzeba — jedna powieść Newerlego (*Pamiętka z Celulozy*), choć bardzo niebezpieczna, zawiera w sobie więcej humanizmu, niż większość audycji kulturalnych GWP razem wziętych. Zdaje sobie sprawę, że cały ładunek humanizmu Newerlego bije w Zachód, bije w nas, myślących zachodnimi kategoriami. Ale czy ten, niewątpliwie szczerzy humanizm można zwalczyć schematyzmem i tandetą? Nie, nie o lodówkach trzeba mówić — tylko o ludziach, dla ludzi i przez ludzi naprawę twórczych, naprawę wolnych.

Gdy mówię „dla ludzi” — to mam na myśli wszystkich rodaków w Kraju. Jako wierzący i praktykujący chrześcijanin niekatolickiego wyznania jestem bardzo zdziwiony faktem, że w programach GWP nie znaleziono miejsca na stałą rubryczkę dla niekatolików. Czyżby GWP nie wiedział, że członków kościołów niekatolickich jest w Polsce teraz więcej, niż przed wojną — zwłaszcza na Mazurach, na Warmii na Śląsku? Czy nie należałoby np. poinformować ich o ruchu ekumenicznym na Zachodzie? Gdy zaś mowa o rozszerzeniu współpracy z tym działem ludzi świeckich — w pełni popieram uwagi pana Jasieńczyka, nawet jego wołanie o pogadanki red. Jana Tokarskiego, od którego każdy chrześcijanin (a nie tylko katolik) może się wiele nauczyć.

Gdy mówię „o ludziach i dla ludzi” — to mam na myśli także mówienie o sztuce, o teatrze, o filmie — czego w praktyce prawie nie ma w audycjach GWP. *Nowy Świat* pisze, że najważniejsza jest informacja. Zgoda, właśnie chodzi o informacje : sztuka jest faktem, film jest faktem, teatr jest faktem — o tych faktach trzeba informować. Trzeba informować o ich kształcie zachodnim, bo w Polsce z tych mediów uczyniono potężny środek oddziaływania na masy, a sztukę, teatr, a zwłaszcza film zachodni potwornie zohydzono i ciągle się zohydza. Niech każdy, kto sprzeciwia się rozszerzeniu informacji kulturalnych, przejrzy sobie rysunki i złośliwe satyry w *Nowej Kulturze*, w *Szpilekach*, w dziesiątkach czasopism, broszur i książek krajowych, które mówią potworne kłamstwa o filmach amerykańskich, o kulturalnym „barbarzyństwie” amerykańskim!

Gdy mówię, że trzeba informować o ludziach — to mam na myśli także, a może przede wszystkim sprawy społeczne. Nie twierdzę, że nie są one uwzględniane w takich rubrykach jak *Ważne sprawy rodziny Kubiców*, *Nie rozdzieli nas żadna kurtyna*, czy w przeglądach gospodarczych, a czasem i kobiecych.

Ale to wszystko za mało. Ciągłe jeszcze emigracja nie zdaje sobie sprawy, że w Polsce następują nieodwracalne zmiany. Z kraju rolniczego Polska staje się krajem przemysłowym i takim pozostanie. To, co przeżywa obecnie Kraj jest trochę podobne do przemian, jakie odbywały się w pierwszym dziesiątku naszego stulecia — tylko skala jest znacznie większa. Kraj się uprzemysławia, powstaje nowa, bardzo liczna warstwa robotnicza, wielu ludzi otrzymuje niewątpliwy społeczny awans. Tych Polaków interesują przede wszystkim sprawy społeczne i ekonomiczne, i chyba zgodzą się ze mną także redaktorzy *Nowego Świata*, że trzeba do nich mówić głosem autentycznych robotników, majstrów, techników i młodych inżynierów; że trzeba ich jak najbardziej obiektywnie i jak najobficiej informować o zachodnich związkach zawodowych i ich osiągnięciach, o budownictwie mieszkaniowym, o prawie do strajku, o nowych metodach produkcji itd., itd. — a wszystko pod kątem człowieka-robotnika. Poruszanie tych problemów — bez blagi, solidnie i ciekawie — zdobyłoby na pewno dla GWP nowe grono słuchaczy.

W czasie, gdy komunizm niszczy człowieka w Kraju, trzeba dać naszym rodakom nie tylko humanistyczną strawę duchową, ale również narzędzia poznawania zachodniej rzeczywistości. W tym celu powinno się stanowczo wprowadzić lekcje języka angielskiego. Powiedzą mi, że zagłuszanie uniemożliwia systematyczną naukę. Odpowiadam : zagłuszanie nie będzie utrudniać brania lekcji w stopniu większym, niż słuchania jakiegokolwiek innej audycji, a ponieważ każdą audycję powtarza się kilkakrotnie — pilny uczeń znajdzie sposób jej wysłuchania.

Wreszcie — już na zakończenie filipiki o humanizmie — pragnę słów parę powiedzieć o ludziach, którzy w radiofonii polskiej pracują. Dotychczasowy „serwis” nie zdał egzaminu — wydaje się, że nie zdołano stworzyć pierwszorzędnego zespołu w GWP. Pisać i mówić zrozumiale dla szerokiej publiczności, a jednak ciekawie i interesująco także dla inteligencji potrafią tylko najlepsi pisarze, najlepsi publicyści — ludzie wybitni, którzy mają coś do powiedzenia (o dziennikarzach nie wspominać, bo dział czysto informacyjny — ale nie komentatorski — postawiony jest w GWP dobrze). Bardzo niewiele najlepszych piór pracuje dla Monachium, nie wiem, czy w kierownictwie rozgłośni jest choćby jeden socjolog, nie wyzyskano ekipy krytyków sztuki, literatury, filmu i teatru, nie stworzono ekipy piszących dla teatru wyobraźni. Trzeba zmieniać garnitur — w każdym dobrym piśmie, w każdej dobrej radiofonii musi być ciągły przepływ ludzi, wyłapywanie talentów. Powinno się zrobić wszystko, by przekonać Amerykanów, że ich metoda robienia wszystkiego „staffem” jest tu zupełnie błędna. Nawet gdyby stały personel składał się z samych geniuszów — nie byłby w stanie wypełnić programu samymi dobrymi rzeczami. Jak długo można pisać dobre słuchowiska, jeśli stoją pisarzowie nad karkiem i wołają, że taśma czeka? Wystarczyłoby zupełnie, gdyby „staff” nauczył się robić adaptacje. Dotyczy to również pozostałych rubryk kulturalnych z wyjątkiem

Okna na Zachód i częściowo *Książki tygodnia*. Niech referenci odpoczną, niech piszą z zewnątrz — kosztem oszczędności na codziennych, podwójnych, i potrójnych komentarzach.

Gdy mowa o sprawach personalnych (które omawiam wyłączenie od strony zasadniczej, bo w szczegółach się nie orientuję i nie chcę orientować) dochodzimy do sprawy młodych. Gdzie jest młode pokolenie w GWP? Gdzie pokolenie trzydziestolatków, którzy ukończyli studia w tajnych uniwersytetach lub tam je zaczęli, a zakończyli na Zachodzie? Wielu członków tego pokolenia odznacza się wybitnymi zdolnościami. Nie wiem, czy chodzi tu o wyraźny bojkot ludzi młodszych i najmłodszych pokolenia, ale faktem jest, że RFE nie zatrudnia wcale lub prawie wcale młodych Polaków, którzy otrzymali wyższe wykształcenie na Zachodzie. Uważam, że niezwłocznie powinno się stworzyć instytucję praktykantów zarówno w działach redakcyjnych jak i technicznych rozgłośni monachijskiej (o braku techników radiowych i o tym, co to znaczy, mogliby powiedzieć nasi dyplomowani wojskowi). Na mniejszej pensji ta młodzież powinna wciągnąć się do pracy mikrofonowej pod kierownictwem starszych i doświadczonych pracowników. Kandydatów nie zabraknie. W takim np. *Collège de l'Europe libre* w Strasburgu wytworzyła się dziś absurdalna sytuacja. Uczelnia ta ma kształcić swych absolwentów w kierunku szczerze europejskim, nie zachęcać ich bynajmniej do wyzbycia się swej narodowości, słowem stworzyć kadry tych, którzy w przyszłości będą odrabiać w krajach naprawdę wyzwolonych spustoszenia, poczynione przez komunistów. Taka jest teoria. Ale w praktyce w Strasburgu młodzież chodzi raczej na dentystykę, a po ukończeniu studiów nie ma szans otrzymania posady. Czy Polacy z tego uniwersytetu i z innych uniwersytetów zachodnich nie są najlepszymi kandydatami na wspomnianych praktykantów, a w przyszłości na doskonałych, solidnych propagatorów pozytywów Zachodu? Czy to nie oni wraz z pokoleniem trzydziestolatków — powinni przede wszystkim mieć szanse mówienia do Kraju? Konkluduję: zwleknięcie z wciąganiem młodej inteligencji do radiofonii zachodniej byłoby polityką samobójczą.

Jeszcze jedna sprawa na zakończenie. *Nowy Świat* pisze, że trzeba pracować na masy a nie dla elity. Zgoda w 100%, ale jedno drugiemu nie przeszkadza. Radio Wolnej Europy i tak bardzo intensywnie pracuje na elitę, bo nie zapominajmy, że elitą w Polsce jest dziś partia komunistyczna, której członków GWP stara się — i słusznie! — nawracać w kilku rubrykach. Skoro więc robi się bardzo wiele dla tej „elity” w cudzysłowie, czy nie godzi się dać rozsądną ilość czasu po prostu dla inteligencji — dla ludzi wykształconych i kształcących się teraz, dla mózgu narodu, który prędzej czy później będzie musiał myśleć (a może usiłuje myśleć już teraz nad odrobieniem wielu straszliwych szkód, których dokonali w Polsce komuniści i ich fałszywa „religia”).

Krzysztof T. GÓRSKI

Kolegium Wolnej Europy

Z wielką troską drukujemy poniżej artykuł p. Różyckiego, uzasadniający dlaczego zrezygnował ze studiów w Kolegium Wolnej Europy w Strassburgu. Z tym większą troską, że poczuwamy się do pewnej odpowiedzialności. Przed dwoma bożami laty Zespół „Kultury” wystąpił z inicjatywą utworzenia przez czynniki amerykańskie Uniwersytetu dla młodzieży zza żelaznej kurtyny. Po paroletnich zabiegach, w których bardzo nam pomógł w międzyczasie powstały Kongres Wolności Kultury, koncepcja uniwersytetu została przejęta i zrealizowana przez Free Europe. Na Kolegium nie mieliśmy wpływu. Nie należy to do zadań pisma, zresztą Free Europe współpracy z nami nie szukała. Artykuł p. Różyckiego jest jednak dzwonkiem alarmowym, który zmusza nas do ponownego zajęcia się Kolegium. Nie tylko nas zresztą, ale — sądzą — i wszystkie emigracje wschodnio-europejskie. Sprawa jest zbyt ważna, by wyciągać przedwczesne i pochopte wnioski, z tego też względu zajmujemy stanowisko dopiero po dokładnym zapoznaniu się z sytuacją wytworzoną w Strassburgu.

Szereg znajomych i przyjaciół pisma wyraża obawę, że „Amerykanie mogą się obrazić” i że reakcją może być likwidacja Kolegium. Nie wierzymy w to. Jedną z cech demokracji — a demokracji amerykańskiej specjalnie — jest swoboda publicznej dyskusji i traktowanie każdej krytyki jako życzliwej pomocy, a nie złośliwości czy „zwalczania”. Free Europe uważamy za instytucję niezmiernie pożyteczną, ale ponieważ odgrywa ona — czy ma możliwość odgrywania — dużej roli w rzeczywistości krajów zza żelaznej kurtyny, tym bardziej uważamy za swój obowiązek krytykować posunięcia, które wydają nam się błędne czy szkodliwe. Najgorsza jest postawa potulnych „yesmenów”.

REDAKTOR

Dwudziestego czwartego października, o czwartej trzydziści po południu, przedzierałem się przez komorę celną na stacji Victoria w Londynie. Miałem z sobą duży żelazny kufer i dwie niemałe walizy. Cały mój studencki majątek. „Niech no pan otworzy ten ciężki kufer” — zakomenderował jeden z celników. Nie mógł zrozumieć dlaczego miałem tyle bagażu. „Przecież był pan we Francji tylko dziesięć tygodni, a wraca pan jakby z wyprawy dwurocznej”. Cóż miałem robić? Woląłem otworzyć kufer, niż wdawać się w długą dyskusję na temat mojej nieudanej, na dwa lata zaplanowanej, wyprawy do Strassburga. I tak nie zrozumiałby tej zagadki. Dla mnie samego zagadką jest jak się to stało, że zaistniały powody, które zmusiły mnie

do opuszczenia Kolegium Wolnej Europy po tak krótkim w nim pobycie. Rzeczywiście niezrozumiałe — jechałem przecież przepełniony entuzjazmem i zapalem, przyciągany tym samym ideałem, który kilka lat przedtem przyciągnął mnie „na zachód”. Nie byłem w tym odosobniony. Idealistów wśród młodzieży uchodźczej jest więcej niżby się to mogło wydawać przygodnemu obserwatorowi życia Kolegium Wolnej Europy w Strassburgu.

Zaczę, jednak, od początku : od artykułu w „Kulturze” ze stycznia ubiegłego roku. Byłem wtedy na uniwersytecie oksfordzkim. Do końca studiów pozostawało mi jeszcze prawie dwa lata; myślałem o studiach dalszych, nie ograniczonych kilkusetletnią tradycją „Szkół Historii”. Myślałem o studiach, o *research*, na temat, który mnie szczególnie pasjonuje — Polska. Polska jaką jest dziś, jaka będzie w dniu mego do Niej powrotu. Chcę bowiem wrócić nie jak podróżnik z długiej pustynnej podróży, lecz jak robotnik, który po udanym strajku wraca do swego dobrze znanego warsztatu. Czy to takie dziwne?

Artykuł był doskonale napisany. Może aż za doskonale. Zamykającego go cienia pesymizmu prawie że nie dostrzegłem. Operatywny był dla mnie ustęp mówiący o celach i zadaniach Kolegium : o umożliwieniu studentom zza żelaznej kurtyny kontynuowania normalnych studiów i stworzenia w ten sposób, na przyszłość, wartościowych kadr dla ich narodów; o zabezpieczeniu znajdującej się tu młodzieży z krajów satelickich przed wynarodowieniem przez utrzymanie i rozwinięcie w niej zamiłowania do własnej kultury i historii; o ukształtowaniu w niej na tle współzycia i na skutek specjalnych studiów wzajemnego zrozumienia, dokonaniu zbliżenia między tymi przedstawicielami odrębnych narodowości i wychowaniu ich w duchu ponadnarodowym. Przeczytałem i zanotowałem. Gdy nadszedł czas, złożyłem podanie. Zostałem przyjęty, i o piątej rano czwartego sierpnia bieżącego roku zjechałem z bagażem do Strassburga. Chyba na dwa lata. Łóżko było najwygodniejsze w jakim kiedykolwiek spałem; obiad i kolacja, po racjonowanym jedzeniu angielskim, wyśmienite; własna umywalka w pokoju z bieżącą zimną i gorącą wodą, luksus.

Przyjechałem jednak do Strassburga — jak przyjechało wielu innych — z myślą i nadzieją, że znajdę tam coś więcej — przede wszystkim ludzi, którzy będą w stanie dopomóc mi w mojej pracy : pracy, której ideał dla którego przyjechałem wymaga. Znalazłem dyrekcję, administratorów, z bardzo lichym, albo wręcz żadnym pojęciem, iż administrowanie nie jest i nie może być celem samym w sobie, lecz tylko środkiem do celu wyższego. Przyjechałem w przeświadczeniu, iż znajdę ludzi poświęconych sprawie w myśl której hasło uniwersytetu na obczyźnie było rzucone w roku 1950. Znalazłem ludzi poświęconych popłatnej posadzie w Europie. Piszę to, bo uważam, że gdy ktoś poświęca się jakiejś sprawie jego pierwszym obowiązkiem jest zrozumieć i uznać za swoje to czemu się poświęca. Wśród członków

dyrekcji Kolegium Wolnej Europy zrozumienia tego nie znalazłem. Przeciwnie, znalazłem ambicje i paradoksalne aspiracje, by z Kolegium zrobić jedynie to, co w Ameryce w mowie potocznej nazywa się „University Campus”. „Campus Life”, czyli życie na kampusie, jest czymś zupełnie naturalnym i potrzebnym na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych, odpowiada bowiem warunkom, wymaganiom i potrzebom amerykańskich rzesz studenckich. W Strassburgu, w Kolegium Wolnej Europy, „Campus Life” jest i będzie anachronizmem, zwyrodniałym przeprzeszczenie.

Brak zrozumienia ludzi z którymi ma się do czynienia — studentami z burzliwą przeszłością i sporą dozą najrozmaitszych kompleksów — oraz brak sympatii w stosunku do nich, powoduje od czasu do czasu paradoksalne wprost sytuacje. Dochodzi do tego chroniczny wprost brak odwagi wzięcia na siebie odpowiedzialności za cokolwiek u członków dyrekcji Kolegium. Decyzje, względnie ich niepopularność, są prawie że automatycznie kredytowane komuś nieobecnemu przy danej rozmowie — przeważnie powiernikom Kolegium w Nowym Jorku.

Trudno się poniekąd dziwić temu stanowi rzeczy. Członkowie dyrekcji zmieniają się jak liście na drzewach : nie mają wprost czasu na aklimatyzowanie się, na wypracowanie rutyny. W Kolegium, po przeszło dwóch latach istnienia, nie ma za grosz tradycji, ciągłości działania. Zmieniają się osoby, a z nimi zmienia się podejście do tych samych spraw i zagadnień. Studenci, jednak, przynajmniej w pewnej mierze, zostają ci sami. Najlepszym przykładem są tu zmiany jakie w ciągu ostatnich miesięcy zaszły na stanowisku dziekana. W maju podał się do dymisji p. Malcolm Davis, a za nim cała współczesna mu dyrekcja amerykańska. Do października pełnił obowiązki dziekana p. Michał Potulicki. W październiku funkcję tę objął p. Janosz Pelenyi, były dyplomata węgierski. Przed końcem stycznia 1954, ma on jednak odejść na inne stanowisko — przyjdzie ktoś zupełnie nowy. *Suma summarum* będzie to już czwarty dziekan Kolegium w przeciągu dziewięciu miesięcy. Na niższych funkcjach w dyrekcji zmiany zapowiadane są już od dłuższego czasu. Trudno więc dziwić się, że Kolegium na tym stanie rzeczy cierpi.

O wiele poważniejszym niedociągnięciem — mówiąc bardzo ogólnie — jest całkowity prawie zanik świadomości celu i idei Kolegium. Nie zaprzeczają temu słowa — nawet nowego dziekana, który w swej mowie inauguracyjnej, w dniu 22 października, powiedział do zebranych studentów :

« J'estime que le Collège a pour but de donner aux jeunes exilés des pays d'au-delà du Rideau de Fer l'occasion de faire leurs études dans une atmosphère de liberté académique complète, ce qui est uniquement possible dans un climat démocratique — en attendant que les exilés qui en auront profité auront le zèle patriotique de retourner dans leur pays natal après la libération des pays respectifs, pour prendre leur part dans la reconstruction de leur pays et dans la création d'un avenir plus heureux...

Pour vous préparer à votre tâche, le Collège vous offre tout d'abord des études professionnelles à l'Université de Strasbourg, mais aussi, au Collège même, une instruction dans le domaine du patrimoine de vos pays — conduite cependant dans un esprit européen — pour stimuler et fortifier votre attachement à vos patries. L'un de ces groupes d'Études sans l'autre serait incomplet pour vous préparer à votre mission, et les deux sont donc d'importance égale au point de vue du Collège. »

Czy tak jest, i czy tak być może w danych warunkach, sprezyował p. James Burnham w swojej nowej pracy zatytułowanej „Containment or Liberation”. Píše on, ze zdumiewającą przenikliwością :

„The free Europe University in Exile, for example, was established through American support in 1951, with its resident center at Robertsau, near Strasbourg. The student body is drawn from exile youth of the East European captive nations. Implicit in the idea of this university is the perspective of liberation. In fact, the only motive for founding it would seem to be that of preparing selected young persons for the time when their countries will again be free. In practice, the general influence of the policy of containment has smothered the potential dynamism of the University in Exile beneath attitudes of timidity and negativism. In the appointment of staff and tutors, the relations with the neutralist French authorities, the selection of visiting lecturers, and the guidance of special studies, the political content is diluted with the sterile waters of containment. The institution tends to develop as charity school.”

Jednak i p. Burnham popełnia w swej analizie błąd zasadniczy : píše on o „Free Europe University in Exile”. „Uniwersytet” ten, wbrew intencjom twórców idei jego powstania, istnieje tylko na papierze, w archiwach stanu New York. W rzeczywistości istnieje tylko Kolegium Wolnej Europy w Strassburgu, którego interniści studiuja — względnie powinni studiować — na uniwersytecie sztrasburskim. Ta podwójność — ten dualizm którego p. Burnham nie dostrzegł, a w którym nowy dziekan Kolegium dopatruje się uwiecznienia celów przysiewcających inicjatywie Komitetu Wolnej Europy — jest jednym — a może nawet najważniejszym — z powodów zejścia z torów tego pociągu ku wolności i jej zrozumienia, którym miał być Free Europe University in Exile.

Znając francuski system nauczania na uniwersytetach oraz cele i aspiracje Kolegium Wolnej Europy, jasny staje się fakt, że jedno wyklucza drugie. Studiować na uniwersytecie i to studiować z myślą o ukończeniu studiów — to znaczy z myślą o zdaniu trudnych egzaminów końcowych — jest i musi być pełnym zajęciem studenta, jego *full-time job*. Wykłady uniwersyteckie zajmujące większą część dnia, i to wykłady z których wkuć na pamięć znajomości studenci są egzaminowani, wymagają czasu i możliwości na ich przetrwanie i wkucie w pamięć. Zdarzył się już niejeden wypadek obłania studenta za to, iż na egzaminie wykazał znajomość przedmiotu ale nie w formie podanej przez wykładowcę-egzaminatora. Gdy jednak student wraca z uniwersytetu, po kilku godzinach pisania notatek, i po czterokrotnym odbyciu sześciokilometrowej trasy Kolegium-uniwer-

sytet w przepelnionym autobusie, i musi słuchać dalszych wykładów, i pisać więcej notatek na tzw. „kursach specjalnych”, trudno się mu dziwić, że nie odnosi żadnej korzyści ani z jednej części programu ani z drugiej. Po prostu brak mu na to możliwości, fizycznych i umysłowych. Że tak jest świadczy najlepiej fakt nieoficjalnego zwalniania studentów z tzw. kursów narodowych nawet w lecie, kiedy uniwersytet ma wakacje. Nie jest to rozwiązaniem problemu, a nawet jest jego pogorszeniem. Wystarczy przeanalizować realne wyniki „specjalnych kursów” Kolegium, i wyniki egzaminów uniwersyteckich, by zdać sobie sprawę, że studia „specjalne” i studia uniwersyteckie wzajemnie sobie szkodzą i uniemożliwiają osiągnięcie swych samych z siebie wypływających celów.

« Les deux sont donc d'importance égale du point de vue du Collège. »

Jak się jednak cele te przedstawiają w rzeczywistości? Czy są na oku gdy chodzi o „specjalne studia”? P. Burnham píše, jako jeden z założycieli Kolegium, że w założeniu cele te streszczały się jako przygotowanie wybranych młodych ludzi na czas kiedy ich kraje będą znowu wolne. P. Peleny mówi o czekających tych studentów zadaniach po powrocie do ich wyzwolonych krajów. Wynikałoby z tego, że rzeczywiście chodzi o umożliwienie tym młodym wygnańcom zapoznania się z ich ojczystymi krajami, i ze stale zachodzącymi w nich zmianami — tak formalnymi jak psychicznymi i innymi. Wydawałoby się, że chodzi o to by nie powrócili i nie stali się *foreignerami* w swoim własnym domu. Logika to nakazuje. Rzeczywistość, niestety, temu przeczy. Nie ma w Kolegium studentów — a przecież o nich to chodzi — którzy by wierzyli i myśleli, że kursa specjalne spełniają zadanie przysposobienia ich do powrotu. Tzw. konferencje ogólne, które wymagały ich obecności w Kolegium od początku sierpnia do końca października — czyli w czasie normalnych uniwersyteckich wakacji letnich — nie tylko nie dały im nic w tym zakresie, lecz przeciwnie zabiły u wielu olbrzymi entuzjazm i chęć do poważnej roboty z którymi do Strassburga przyjechali. Miały one podobny skutek jak neutralistyczne przemówienia p. Henri Spaak'a w sąsiadującym Conseil de l'Europe.

Jeden z prelegentów, profesor z Nowego Jorku, prawdopodobnie zapłatał się w zawitościach języka francuskiego mówiąc, że rolą dziejową Europy Wschodniej było i będzie tworzyć *cordon sanitaire* Europy, czyli być jej robotem-tarczą przed dzikim wschodem. Na nic więcej Europa Wschodnia nigdy nie była, i nigdy nie będzie potrzebna. Następnie, przez tydzień prawie, wykłady prowadził p. Grosser, literat, historyk, człowiek obyty i ocytany. Mówił górnio o cierpieniach narodów, dowiódł niezbicie, iż w czasie wysiedleń z Polski, w zimie 1945-1946 dwa miliony niewinnych Niemców zginęło marnie w polskich śniegach. Przyparty do muru zdradził tajemnicę tej cyfry odwołując się do dobrze nam znanej broszury, wydanej w Niemczech w 1950 roku dla „uczczenia pamięci tych co legli” w śniegach

polskich pięć lat przedtem. Ciekawa była reakcja dyrekcji na interpelacje polskie w tej sprawie — grupa polska uznana została za nacjonalistycznie niepoprawną. Do dziś jeszcze taka jest „oficjalna” opinia. Przed p. Grosserem serię wykładów miał profesor Vermeil, ekspert od epoki bismarckowskiej. Wykładał, oczywiście, o Bismarcku. Słyszeliśmy również p. André Philip, wielkiego znawcę problemów gospodarczych powojennej Europy. Wykładał o Planie Schumana, nie zapominając o ostatniej tonie stali, węgla i żelaza, które w wyniku tego Planu oddane zostaną do użytku publicznego. Problemy gospodarcze Europy kończą się jednak widocznie na Łabie. Przyjechał też z cyklem wykładów p. Pascal by nam powiedzieć, że w latach 1905-1917 Rosja prawie że stała się przemysłowym rajem na ziemi. Po nim miał serię wykładów sir George Rendel, znany dyplomata brytyjski, nadal w służbie Foreign Office. Trudno mu się było dziwić, że ograniczył się do streszczenia materiałów już dawno opracowanych przez p. Max Beloffa w książce zatytułowanej „Soviet Foreign Policy”. Wykładali i inni. Wszyscy zgodnie wołali: „Na waszych barkach spocznie przyszłość Europy — bądźcie więc Dobrymi Europejczykami”.

Czy można wymagać od słuchaczy by przychylnie przyjęli te wzniosłe apele gdy jednocześnie mówi się im, że ich Europa ma być tylko kordonem sanitarnym Europy prelegenta? Czy można żądać od słuchaczy by byli Dobrymi Europejczykami gdy mówi się im, że ich kraje mają być tylko tarczą, a nawet palcem w bucie nie rusza się by tarczę tę uczynić wolną? Czy można, wreszcie, wymagać by słuchacze pozytywnie ustosunkowali się do prelegentów i ich apelu gdy droga do takiego ustosunkowania się wiedzie przez naturalizację, pogodzenie się z losem i uznanie *status quo* w krajach które ich wydały? Nie dziwnego więc, że studenci Kolegium nie byli ani zachwyceni ani zainteresowani prelegentami, którzy do nich przemawiali, ani ich wykładami. Osobiście, bez skruchy przyznaję się do czytania, pisanie listów i spania na konferencjach ogólnych — nasuwa mi się jednak refleksja, że równie dobrze i o wiele wygodniej mógłbym być to uczynić w wygodnych fotelach moich przyjaciół i znajomych w Anglii.

Był jednak jeden znamienity wyjątek: Ojciec Bocheński. Był on nie tylko najlepszym wykładowcą: miał on również coś do powiedzenia na temat dotyczący tych, do których mówił. A mówił o Historycznym Materializmie. Słuchali go wszyscy, i słuchali uważnie. Po prostu studenci Kolegium Wolnej Europy chcą poznać najpierw to co dotyczy ich samych i co dotyczy ich rodzin i współziomków za żelazną kurtyną zanim zechcą zainteresować się czymś co dotyczy wyłącznie tych, dla których Europa kończy się na Łabie a w najlepszym wypadku na wschodniej granicy zjednoczonych Niemiec. Czyż jest to aż tak niezrozumiałe, że na zaproszenie Ojca Bocheńskiego trzeba było kilku miesięcy bezustannych interwencji jednego z wychowawców narodowych?

„Studia specjalne” to nie tylko konferencje ogólne z zaproszonymi z zewnątrz prelegentami. Są jeszcze tzw. kursa narodowe, prowadzone przez narodowych *maîtres d'études*. Kolegium podzielone jest na kilkanaście grup narodowych, kierowanych przez specjalnych wychowawców z tytułem *maître d'études*. Każda grupa, czy to polska, licząca ponad pięćdziesięciu studentów i studentek, czy albańska, licząca cztery osoby, ma jednego *maître d'études*. Obowiązkiem jego jest prowadzić wykłady na tematy związane z historią, kulturą, literaturą itd., kraju z którego pochodzą studenci danej grupy. *Maître d'études* jest więc wszechstronnym nauczycielem, mającym do swej dyspozycji kilka godzin tygodniowo. Wynikałoby z tego, że na stanowisko *maître d'études* powinni być mianowani ludzie o olbrzymim zasobie wiedzy, umiejętności przelania jej na studentów, i walorach rzadko spotykanych u, powiedzmy otwarcie, byłych sędziów, dziennikarzy, urzędników państwowych i tym podobnych. Przede wszystkim, na stanowisko to powinni być wybierani ludzie intelektu i charakteru, i ludzie umiejący wyjść poza wąski krąg namiętności narodowych. Powinni to być ludzie młodzi i pełni zapału, umiejący narzucić Kolegium cele, i będący w stanie do celów tych prowadzić. Na oko biorąc, przeciętny wiek *maîtres d'études* w Kolegium Wolnej Europy waha się w granicach 50-55 lat. Są to więc ludzie epoki, która już minęła i nigdy nie wróci. Patrzą za, a nie przed siebie, podczas gdy studentów, nad którymi mają pieczę, nęci i ciekawi przyszłość. Niektórzy z nich, i to nie koniecznie najstarsi, odznaczają się dziwnym nacjonalizmem, manifestującym się we wstrętach jakie czynią tym swoim wychowankom, którzy mają pewien pęd wyjścia poza administracyjnie narzucone „granice” pomiędzy poszczególnymi grupami. Psuje to czasami więcej niż humor tym, którzy ten pęd czują w sobie. Widziałem lży z tego powodu. W większości wypadków są to ludzie bez jasno sprecyzowanego celu, względnie ludzie którzy ulegli atmosferze bezcelowości Kolegium. Poddali się warunkom gdyż, z takich czy innych powodów, nie potrafili stworzyć ani sobie, ani swym studentom odpowiednich możliwości pracy naukowo-ideowej. Drżą przed dyrekcją, prosząc o nacisk od dołu, który by umożliwił zaprowadzenie jakichś, bliżej nieokreślonych zmian. W większości wypadków nie są to ludzie o wystarczającej sile intelektu i charakteru. Trudno ich za to winić. Wina spada na dyrekcję, i na brak odpowiednich ludzi. Wina spada również na tych, którzy założyli Kolegium w jego obecnej formie i miejscu. Tłumaczenie się, często bardzo gęste i aż nieprzyjemne, że tak i tak musi być, tego a tego nie można zrobić ponieważ nie pozwalają na to warunki na jakich rząd francuski pozwolił Kolegium otworzyć we Francji, nie jest wytłumaczeniem. Jeśli warunki te rzeczywiście są takie, że zasadniczych celów Kolegium nie można urzeczywistnić, nie trzeba było się na nie zgodzić, albo nie trzeba było przyciągać ludzi tymi celami do Strassburga.

Zakładając jednak, że rząd francuski nie postawił warun-

ków nie do przyjęcia, że *maitres d'études* są geniuszami w swoim zakresie, że biblioteka Kolegium nie jest pośmiewiskiem dla tych, którzy coś wiedzą o literaturze krajów Wschodniej Europy i jej problemach, i zakładając, że czteroosobowa dyrekcja amerykańska jest najlepsza jaka tylko może być, czy cele wypływające z samej nazwy Kolegium Wolnej Europy byłyby do zrealizowania w Strassburgu na którego uniwersytecie członkowie Kolegium muszą studiować? Nie. Cele te mogłyby być tylko osiągnięte na *Uniwersytecie* Wolnej Europy, na którym studenci nie studiowaliby dentystyki, chemii czy medycyny; na którym studenci nie byłiby zmuszani do pisania notatek całymi dniami, i do wkuwania ich na pamięć; wreszcie na którym studenci mieliby, w postaci kwalifikowanych profesorów i bibliotekarzy, odpowiednie warunki na oddanie się pełnym i poważnym studiom nad zagadnieniami dotyczącymi ich krajów i całokształtu problemu wschodnio-europejskiego. Nie byłoby, na takim uniwersytecie, problemu braku czasu na studia zawodowe i ideowe równocześnie, nie byłoby problemu znalezienia wspólnego mianownika dla studenta dentystyki na piątym roku, dziewczyny która kilka miesięcy temu ukończyła szkołę i nie rozumie ważności znajomości historii i literatury swego kraju i zmian, które w nim zaszły w ciągu ostatnich kilkunastu lat; przyszłego inżyniera, którego jedyną ambicją w życiu jest zbudować najdłuższy tunel na świecie, studenta, który zaczytuje się w Prouście i Sartre choć ich nie potrafi zrozumieć, i który wolałby pisać wiersze niż zawracać sobie głowę „polityką”, magistra historii czy ekonomii, który chce — lecz z braku warunków nie może — pisać tezę doktorską na temat zmian jakie sowietyzacja wywarła w życiu jego kraju, czy wreszcie osoby, którą nie to wszystko nie obchodzi, gdyż zamierza osiedlić się w Nowej Zelandii.

Przyszły doktor medycyny, czy przyszły inżynier-chemik będzie zawsze bardziej zajęty i zainteresowany swymi studiami zawodowymi i zdobyciem dyplomu — niż kilkunastogodzinnymi, lecz jakże zabierającymi czas, wykładami specjalnymi. Tak samo student ekonomii czy prawa. I jedni i drudzy zlorzeczyc będą jednocześnie na coś innego — coś z czego nie zdawali sobie sprawy w większości wypadków przed przyjazdem na studia do Strassburga. To coś, to paradoksalne wprost trudności językowe, problem zużytkowania dyplomów, problem aklimatyzacji we Francji i zatracenia łączności z krajem z którego przyjechali, i do którego wrócą. Przykładowo wygląda to tak: dentysta, który ukończył studia w Strassburgu, i jest obywatelom polskim, nie może pracować jako dentysta we Francji. Nie pozwala mu na to prawo. Po długich próbach znalezienia pracy, znalazł ją wreszcie w kompaniach wartowniczych w Niemczech. Nie znalazłby pracy w swoim zawodzie poza Francją, bo nie zna żadnego obcego języka, ani nie zna warunków życia w żadnym innym kraju, nie mówiąc już o trudnościach uzyskania prawa pobytu, jako uchodźca, w innym kraju niż w tym, w którym już to prawo ma, czyli we Francji. Doktor. Ukończył studia w Strass-

burgu. Prawo zabrania mu wykonywania zawodu doktora we Francji. Chce wyjechać do Ameryki — ma trudności, nie zna angielskiego. Humanista. W Strassburgu zrobił doktorat z ekonomii. Delegatura Komitetu Wolnej Europy w Paryżu przysłała mu formularz do wypełnienia. Wypełnił i czekał. Kilka tygodni temu otrzymał list... z kompanii wartowniczych w Niemczech. Jeśli wstąpi do tych kompanii to może otrzymać rangę kaprała w bardzo krótkim czasie. Oferty na razie nie przyjmuje. Podobnych wypadków jest i było więcej. Jest na nie jedno rozwiązanie — naturalizować się we Francji, choć nie wszyscy mają ku temu potrzebne kwalifikacje. Czy jest to zresztą do pogodzenia z ideą Kolegium?

Tak więc ludzie, którzy uzyskali lub uzyskają swe dyplomy we Francji, nie mogą nimi we Francji zarobić na życie. Ci co przyjechali na studia do Strassburga z innych krajów i tak nie dostaliby pozwolenia na osiedlenie się. Wrócą do krajów z których przyjechali, po kilkuletniej nieobecności. Będą musieli aklimatyzować się na nowo, i nostryfikować. Nauczą się innej metody pracy niż ta, która obowiązuje w tych krajach. Zniechęcą się i pójdą do fabryk i hotelarstwa. Zachodzi tu również wcale nie retoryczne pytanie czy dyplomy te w ogóle uzyskają? Czy nauczają się tak dobrze po francusku, że nie zostaną obłani za błahostkowe błędy ortograficzne czy stylistyczne — co w Strassburgu zdarza się nie tylko cudzoziemcom? Czy nie potkną się o kursy specjalne?

Czy, wreszcie, wytrwają w postanowieniu? Dotychczasowe wyniki budzą co do tego wątpliwości. Z osiemdziesięciu studentów, którzy przyjechali na studia do Strassburga w roku 1951 jest obecnie w Kolegium zaledwie dwudziestu dwóch. Z sześćdziesięciu, którzy już nie są w Kolegium, sześciu czy ośmiu uzyskało jakieś dyplomy — reszta, to znaczy pięćdziesięciu, czyli więcej niż 66 procent, opuściła Kolegium zyskawszy i pozostawiając po sobie dokładnie nic. Po każdym egzaminie uniwersyteckich odpływa z Kolegium cała fala tych co nie zdali po raz drugi. Trudno ten stan rzeczy kłaść na karb braku zdolności i inteligencji u tych ludzi, a jednocześnie szczyścić się tym, że zaledwie jeden na dwudziestu zgłaszających się jest do Kolegium przyjęty. Absurdem byłoby twierdzić, że nawet co dwudziesty młody człowiek na emigracji nie jest zdolny uzyskać dyplomu uniwersyteckiego. Powodów tego nieciekawego zjawiska trzeba poszukać tam gdzie aż w oczy rażą swoją oczywistością. W samym Kolegium.

Pozostaje jeszcze do omówienia sprawa „wolności osobistej” członków Kolegium Wolnej Europy. Sprawa przykra, i dla tego ważna. Oczywiście, członek dyrekcji, któremu mówi się o poważnych zastrzeżeniach w tej dziedzinie życia Kolegium, obraca argument w żart. Jak to — mówi — nie ma wolności osobistej, czy też są jakieś jej ograniczenia? Nic podobnego! Wszystkim wiadomo, na przykład, że drzwi Kolegium otwarte

są całą noc, że nikt nie chce wiedzieć co studenci robią w wolnych chwilach. Jak tu można mówić o ograniczeniach wolności osobistej? Pan chyba żartuje? Bez żartów. W promieniu pięciu kilometrów od Kolegium studenci mają absolutną — i dla niektórych raczej demoralizującą — swobodę. Nie o to chodzi. Niech kilka przykładów zilustruje problem. Grupa polska chciała wysłać telegram do Sekretarza Narodów Zjednoczonych z protestem przeciwko prześladowaniu Kościoła w Polsce. Było to w dzień po zaarrestowaniu biskupa Kaczmarka. Dyrekcja zabroniła... z powodu stanowiska władz francuskich. Grupa studentów prosiła o pozwolenie na wyjazd na konferencję międzynarodową w Monachium. Spotkała się z odmową opartą na „dyrektywie” z Nowego Jorku i na argumentcie, iż danie pozwolenia byłoby precedensem na przyszłość. Pewien student z grupy polskiej otrzymał zamówienie z Radia Wolnej Europy na 9-minutową pogadankę o życiu Kolegium. Zabroniono mu zamówienia wykonać. Powiedziano mu, że gdyby to mimo wszystko zrobił, sprawa byłaby potraktowana bardzo surowo. Chciał dać skrypt pogadanki dziekanowi do cenzury — ta sama odpowiedź. O tego rodzaju wolność osobistą chodzi — nie o swobodę spacerowania w nocy po mieście.

Czy wynika z tego, że Kolegium powinno zostać zlikwidowane? Nie. Powinno być zmienione.

Zbigniew RÓŻYCKI

« Libres Propos »

REVUE MENSUELLE

a publié des textes de :

Georges ALTMAN — Jacques F. BLIN — François BONDY —
Manuel BRIDIER — Michel COLLINET — Michel DEBRE —
Jacques DOMINATI, Pierre DUMAS — Jacques ENOCK —
Pierre FATAUD — Pierre FELCE — Auguste GALLOIS —
Georges GAUDIOT — Claude GUIBLIN — Gérard JAQUET —
Jean KOSEK — André LAFOND — André MALRAUX —
François MAURIAC — Robert MARGERIT — Louis MERCIER —
Robert MOSSE — Roger MUS — Simone MUNIER —
Hugues PANASSIE — Aimé PATRI — Georges PASCAL —
Pierre RESTANY, Louis VALLON, Colette VERGNOLLE.

LIBRES PROPOS, 13 bis, rue de Poissy, Paris-5^e

Prix du numéro : 50 frs

Abonnement, 1 an : 500 frs

étudiants : 400 frs

C.C.P. Paris 8.596.33

Najnowsza historia Polski

W służbie Komendanta

OBJAŚNIENIA WSTĘPNE

W drugiej połowie października 1918 znajdowałem się nad Kubaniem. Tam zawarty został, przy udziale generała Lucjana Żeligowskiego, układ tworzący Komitet Wojsk Polskich na Wschodzie. W układzie tym uczestniczyli Feliks Raczkowski i Jerzy Zdziechowski jako delegaci Koła Międzypartyjnego — organizacji prawicy krajowej — oraz Michał Sokolnicki jako przedstawiciel Polskiej Organizacji Wojskowej i związanej z nią lewicy kraju. Reprezentowałem właściwie Komwent, którego członkami byli wówczas : Edward Rydz-Smigły jako Komendant Naczelny P.O.W., Jędrzej Moraczewski, Leon Wasilewski, Juliusz Poniatowski, Znamięcki, Adam Koc, Bogusław Miedziński, Opiełiński, Michał Sokolnicki. Właśnie, od wiosny 1918, Komwent, za pośrednictwem Wincentego Witosa wszedł w kontakt z tajnym ośrodkiem Koła Międzypartyjnego i rezultatem tych pierwszych porozumień była wspólna delegacja polska do Pragi dla układów z analogicznymi ośrodkami Czechów i Serbów : na porządku dziennym stało rozbiście Austrii. Drugim etapem zbliżenia stało się utworzenie Komitetu Wojsk Polskich na Wschodzie.

Po parodniowym pobycie w Noworosijsku, dokąd odprowadzałem Gintowta-Dziewałtowskiego, udającego się przez Kaukaz na Syberię, opuściłem Jekaterinodar 29 października, udając się w drogę powrotną. 1 listopada stanąłem w Kijowie i dwa dni następne spędziłem na rozmowach z pułkownikiem Lisem-Kulą w sprawach mobilizacji P.O.W. na Ukrainie i odsieczy dla Lwowa. W nocy z 3 na 4 przejechałem do Odessy, gdzie w dniach 4 i 5 listopada nastąpiły dalsze zarządzenia mobilizacyjne. W dniu 6 listopada, wraz z porucznikiem Villaimé, oficerem francuskiego deuxième bureau i jego żoną Polką, udaliśmy się przez Razdzielną do Kiszyniowa; do Jass, dla zamierzonych rozmów z Francuzami, dotarliśmy z powodów komunika-

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

cyjnych dopiero 8-go. W wyniku tamtejszych pertraktacji z Poselstwem francuskim przydzielony zostałem, za paszportem dyplomatycznym francuskim, do misji rozjemczej do Lwowa, przeze mnie zainicjowanej a powierzonej porucznikowi Villaine. 15 listopada wyjechaliśmy samochodem z Jass i w ciągu dni czterech, po przezwyciężeniu trudności technicznych i formalnych, poprzez terytorium okupowane przez Ukraińców, dotarliśmy 18-go wieczorem do Lwowa. Stamtąd po nieudanej „misji rozjemczej”, a natomiast nadejściu odsieczy Karasiewicza-Tokarzewskiego, 24 listopada rano, uruchomionym przez inżyniera Kazimierza Bartla pociągiem specjalnym dojechałem do Przemyśla, a dalej już normalnym kurierem zdążyłem na wieczór do Krakowa.

Jeszcze ze Lwowa zameldowałem się telefonogramem (?) Komendantowi: „Melduję Naczelnemu Wodzowi przybycie...” etc. Meldunek mój nigdy nie doszedł i Piłsudski, po moim przyjeździe do Warszawy, polecił surowe śledztwo w sprawie tego zaniedbania.

Warszawa, 5 grudnia 1918.

...24 listopada o 9 rano wyjazd (ze Lwowa) do Przemyśla (w towarzystwie Michała Mościckiego), o 10,30 wieczorem przejazd do Krakowa. Nazajutrz wieczorem wyjazd pospiesznym pociągiem do Trzebinia. 26 listopada o 7 wieczorem opóźniony przyjazd do Warszawy. Spotkanie ze Świrskim, Mokotowska 50, Piłsudski. 27-go popołudniu konferencja z Piłsudskim i Wasilewskim, druga w sprawie Lwowa z Piłsudskim, Witosem, Kędziorem, Świtalskim. 29-go wieczornica w Pałacu Saskim, mowy Komendanta, Sosnkowskiego. Wieczór belwederski, warty podchorążych dowodzonych przez Kukiela, przegląd Piłsudskiego. 30 i 31-go dwa wieczory i dwie rozmowy w Belwederze. Wizja: generał Sosnkowski, w pełnym generalskim mundurze, w pół-blasku kominka.

Warszawa, 6 grudnia.

26 listopada o wpół do ósmej wieczorem przyjazd do Warszawy. (Zatrzymałem się w Polonii, zameldowałem się u Komendanta przez Mościckiego.) Komendant nazначył widzenie u siebie na Mokotowskiej o 8,30, rozmowa trwała do pierwszej w nocy. Pierwszego spotkałem Świrskiego, niewidzianego od czasu Bezdana i mojej wyprawy po Europie dla ratowania Mireckiego w 1909 r. Komendant zajmował wraz z Szefem*) i Zbisiem (Kasprzyckim) obszerne mieszkanie krewnych Świrskiego, zarządzane przez jakieś dwie, nieznane mi zresztą, panie. Rozmowa przy kolacji w obecności Świtalskiego. Komendant wyglądający czerstwo, zachowujący się żywo, decyzywny, nie jak za czasów nieszczęsnych Rady Stanu. Skarżył się na politykę: od

(*) Sosnkowskim.

początku pobytu w Warszawie doprowadza go do rozpaczliwego swarczenia się, bezcelowe dyskutowanie i zupełna niezdolność (do) decyzji. Komendant nie może z tego powodu zająć się wyłącznie sprawami wojska, jak by chciał; nie może pojechać do Galicji; uważa za zbyt optymistyczne przypuszczenie Daszyńskiego, iż można już obejmować poszczególne działy administracji i władzy w Galicji; z rozmów z Witosem i Kędziorem inne wyniósł przekonanie; sytuację Poznańczyków może pokrzyżował rozmową na cztery oczy z Bernardem Chrzanowskim. Na moje zastrzeżenie o niebezpieczeństwach wschodnio-galicyskich zauważa, że naumyślnie posłał ludzi niespokojnych — Roję, Rozwadowskiego, teraz Minkiewicza — aby się tam neutralizowali wzajemnie. — Czy N. D. z Rozwadowskim nie przywołają Ententy? — I tak znajdujemy się w jej rękach; to co chce zrobić z nami; tylko lewica nie chce zrozumieć tego co się dzieje na świecie; wmawia (w siebie), rewolucję na Zachodzie; ciągle do lewicy mówię, że skutkiem zwycięstwa idzie reakcja; nie chcą tego zrozumieć.

Rozmowa zesłała na wspomnienia. Do Komendanta (Niemcy) przyszedł 22 lipca o 4 godzinie rano. Pan Schultze oświadczył: mam do zakomunikowania panu, że pan jesteś aresztowany; muszę dodać że należy się spieszyć bo odjazd nastąpi zaraz. Wieźli Komendanta przez Łódź, Kalisz, potem do Weichselmünde. Tam jeszcze niezgorzej, fatalnie za to w żołnierskich obozach w Szpandawie i Wesel. Częste zmiany miejsca robiły wrażenie chęci zatarcia śladów i wywoływały szereg niewygód. Wreszcie w Magdeburgu rozpoczęło się traktowanie *standesgemäß*, parę pokoi, doskonałe jedzenie z pierwszorzędnej restauracji; ostatnie dwa miesiące z Szefem, który przedtem w celkowym więzieniu traktowany był na najgorszej stopie. O zmianach w Polsce głuche wieści, informacje dostarczane z miejscowego dziennika *Magdeburger Zeitung*; wrażenie pokazanego numeru *Woche* z umieszczonym tam portretem. W pierwszych dniach października wizyta hr. Kesslera, znajomego znad Styru; z pewnym wahaniem i wstydem przytoczył w rozmowie niejako warunki: nie walczenie przeciw Niemcom, oraz (ograniczony) rozmiar pretensji polskich w Prusach; rozumiał dobrze, że co do Poznańskiego nie podobna uniknąć okrojenia Niemiec, jednak zaznaczył *sine qua non* co do Gdańska. Piłsudski odparł pełnym *non possumus*: trzymacie mnie w więzieniu, nie możecie stawiać mi żadnych warunków; co do rozmiarów przyszłej Polski i jej granic, stwierdził tylko, że Polska na pewno przyjmie wszystkie „*Geschänke*”. Wreszcie, na parę godzin przed wybuchem rewolucji w Magdeburgu, zjawił się powtórnie hr. Kessler i wywieziono Komendanta automobilem do Berlina. W Berlinie położenie było już naprężone; nagle przestało się widzieć mundury oficerskie na ulicy, i Piłsudski był jedynym chodzącym swobodnie z szablą u boku. Książę Hatzfeld opowiadał mu swoją rozmowę sprzed kilku dni z generałem Beselerem: książę przekonywał go o konieczności wypuszczenia Komendanta, gdy

zaś Beseler stwierdził, że jest to równoznaczne z rewolucją w Polsce, książę oświadczył że zawsze będzie to lepsze niżby miał tłum żołnierski z własnej inicjatywy go uwolnić; *also sie sind so weit?* — zapytał wtedy Beseler. Piłsudski był zdumiony przebiegiem rewolucji w Berlinie; na kilka godzin przed jej wybuchem w mieście nie było znaku podniecenia; potem dopiero, nagle, w popołudniowych godzinach — żołnierskie automobile po mieście, zniknięcie oficerów, manifestacje, zapowiedziały wypadki nadchodzące. Piłsudskiego wywieziono specjalnym pociągami do Warszawy celem uniknięcia dalszych komplikacji. Komendant wspominał o pierwszych manifestacjach na jego cześć, o trudnej sytuacji dni następnych, o tym, że zdecydował się przenieść do Belwederu.

W dużym salonie (zapełnionym brzydkimi burżuazyjnymi meblami) miałem potem możność zdawania, dłużej niż przez godzinę, szczegółowego raportu Komendantowi. Piłsudski wyraźnie zaaprobował moje zastrzeżenie co do wejścia wojsk koalicyjnych do Polski, moje przekonanie o nadchodzącej niewątpliwie, wraz z przewagą koalicji, reakcji i stąd płynące (odrzućcie) mrzonki rewolucyjnych, wreszcie — kierunek ogólny mojej roboty. Pomimo to wszystko pozostało dla mnie jasne, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy moim postępowaniem w Jassach, to jest linią sojuszu przyjętą przeze mnie, a (stanowiskiem) państwa i postępowaniem rządu w Warszawie, sprowadzającym się bądź co bądź do neutralności. Rozumiałem jednak od razu wtedy i przyjąłem za punkt wyjścia dalszych z Komendantem rozmów, iż do takiego efektywnego sojuszu zmierzamy, że może być wzięta linia stopniowego doń dojścia, że jednym słowem zadaniem by się stało pogodzić działalność warszawską z działalnością moją, tę pierwszą doprowadzając do postulatów drugiej. Dlatego zaofiarowałem się Komendantowi nadal, stwierdzając zresztą że paszport dyplomatyczny francuski daje mi, przez nikogo innego nie posiadane możliwości przejazdu, co jako uwaga techniczna specjalnie Komendanta (zainteresowało). Opowiedział mi iż czynił próby z silnymi aparatami lotniczymi, które by jednym lotem do Jass dotrzeć mogły; że jednak do aparatów tych zabrakło wykwalifikowanych pilotów, w lotach zaś próbnych jeden się zabił, dwóch zostało ranionych.

Warszawa, 7 grudnia.

Następna rozmowa wyznaczona została przez Komendanta na godzinę zwykłego raportu ministra spraw zagranicznych o 4.30 w pałacu saskim. Przed tą rozmową zdążyłem zreferować całość spraw Wasilewskiemu, oraz pójść na zaproszenie generała Szeptyckiego na półgodzinną z nim rozmowę; wydał mi się nieswój i niezadowolony, zawsze zresztą z tą pamiętaną przeze mnie od pierwszej rozmowy z listopada 1915, psychiką, unikającą rzeczy wyraźnych. Skarżył się na zwłokę, na niewysyłanie nikogo do Koalicji, na niemożliwość wobec tego sytuację na wschodzie w stosunku do Niemiec; wszczął rozmowę o granicach, specjalnie

podniósł konieczność dla Polski tak zwanego przez Niemców *Bug-Gebiet'u*; prosił, bym zaszedł przed wyjazdem.

Komendant najprzód z Wasilewskim omówił nową depeszę do Foch'a, zastrzegając nie wysyłanie jej przed swoją aprobatą tekstu; następnie z przybyłym (premierem) Moraczewskim rozpoczęła się rozmowa o przyobiecanej Ukrainie możliwości przewożenia węgla z Zagłębia przez Polskę, co Komendant wobec braku kompensaty uznał za słabość i błąd. Potem zostaliśmy sami we dwóch, przy czym Komendant zastrzegł specjalną, do nas trzech ograniczoną poufność akcji podejmowanej w stosunku do Koalicji, specjalnie zresztą zastrzegając się ostro przeciw wszelkiemu w tych rzeczach informowaniu ludzi w ministerstwie, nade wszystko X-a. Z tym zastrzeżeniem Komendant podyktował swoje instrukcje. Obecny byłem w dalszym ciągu, po wyjściu Wasilewskiego, wraz z Kędziorem, Witosem i Światalskim, przy części rozmowy poświęconej sprawom lwowskim, gdzie punktem wyjścia Komendanta było ustanowienie w sposób autorytatywny i stanowczy okupacji wojskowej jako typu zarządu Galicji Wschodniej. Witos przemówił wykrętnie, po czym się wyniósł, Kędzior z pewną wyniosłością uznał jako całkowicie słuszne zarządzenie Komendanta.

Wieczorem 29 listopada odbył się bankiet pożegnalny P. O. W., na który dawnym obyczajem byłem zaproszony z kolegami broni. W sali Kasyna Oficerskiego na Placu Saskim zgromadzonych z górą stu oficerów I Brygady i P.O.W. uczcili Komendanta z prostotą, serdecznością i zaufaniem bez granic. Wśród nich odbijali swą obecnością generał Szeptycki, generał Leśniewski, pułkownik , oficerowie przyszli z obcych armij. Krzaczyński w imieniu Benjaminowa i Szczypiorny, Koc imieniem P.O.W. witali Komendanta po żołniersku, ślubując wierność Naczelnikowi Państwa. Po mowie Komendanta przemówił generał Sosnkowski, piękny swą postawą, szlachetny w swym nowym generalskim mundurze. Oddając Komendantowi odznakę za wierną służbę, tłumaczył znaczenie wiernej służby jako pojęcia przewodniego dla charakteru żołnierza, poprzez męty polskiej waśni partyjnej, poprzez rozkład moralny i anarchię ślepych odruchów. Dużo było jeszcze przemówień. Brygadowy bałagan odznaczał się tym, że ciągłymi mowami od samej zupy poczynawszy i ciągłym wstawaniem jeść nie dawali; potem przeważna część oficerów prędko miała dosyć powagi i uroczystości i zaczęła się bawić. Moraczewski dał na wpół zabawne hasło, przemawiając ni przysłał ni przysłał o polityce swego gabinetu; przemówienie jego rzuciło pierwszy chłód; już się bractwo zabierało do mówienia rzeczy sprośnych, gdy Strug wystąpił z niespodziewanym patosem, a Świrski nagle zaproponował uczczenie przez powstanie z miejsc ofiar dawnych walk z caratem, co mrozem powiało na salę i odbiło się przyciszonym kłębem w grupach oficerów; aż Wieniawa z prawdziwą pasją uratował sytuację, wnosząc iż dobrze jest zaiste czcić umarłych, lepiej jednakowoż tych, co żyli i z armij obcych mogli wrócić

do armii ojczyściej, o której w snach swych nie marzyli jeszcze; i toast braterstwa broni wznosił w ręce obecnych dawnych oficerów rosyjskich i austriackich. Tedy się wreszcie rozweselono swobodnie, i jak to zwykle bywa, z taktem nie opuszczającym Pierwszej Brygady, zaczęto od długiej satyry na „cekamendę”, wprost w oczy siedzącemu na jednym z pierwszych miejsc podpułkownikowi Nieniewskiemu, jednemu z istotnych „c. k. mendzistów”.

Warszawa, 14 grudnia.

Komendant tej nocy, z 29 na 30 listopada przejechał wprost do Belwederu i obszedł posterunki trzymane przez podchorążych. Nie bez wzruszenia oglądałem nazajutrz pierwszy raz w życiu ten pałac, wewnątrz brzydki, banalny, obdarty, ze swymi bez końca amfiladami, z meblami lichej wiedeńskiej bezlitosnej tandety, z banalnością najpospolitszej malatury na sufitach. Ze starych rzeczy nie zostały ni ściany, ni stropy, ni meble, ni makiety, ni odrzwia, ni brzozy, śnać wywiezione do Petersburga, do Berlina; tylko cztery pękate alabastrowe wazy o wypukłym desenie empirowo-greckim, oświetlane z wnętrza; tylko gdzieś porzucony dywan tekiński, zaścieniający jedną z komnat; tylko przestronne kominy, prawie w każdej komnacie, gdzie chyba nie palono z dawna z tą wesołością rozrzućną jak w pierwszym dniu gdy tam zamieszkiwał Piłsudski. Ożywił się pociesznym naszym gwarem ten ogromny dworzec belwederski; adiutanci — Wieniawa, Durski, Stamirowski, szef osobistego sztabu Kasprzycki, jeszcze się błakali niepewnie po tych bez końca komnatkach, i wszystko było jakieś jeszcze nieskładne lecz pańskie w tym gmachu, gdzie tyle sztucznej rzeczywistości spotkało się z cechami dziwnej i zmiennej przeszłości. Na gorze, dokąd zabłądziłem śladami wspomnień o Księżnej Łowickiej, w jednym z pokoiów natknąłem się na chodzącego zdenerwowanego Komendanta. Zwolennik etykiety, uznałem za stosowne wytłumaczyć niezameldowanie się nieobecnością adiutantów. „Wy możecie zawsze bez meldowania się” — i Komendant oburzył się na całodzienne manifestacje warszawskie, w szczególności na usunięcie przez tłumy wart sprzed Prezydium Ministrów i sprzed mieszkania Kesslera. Uważał (to) Komendant za obrazę wojska, której drugi raz nie ścierpi. Właśnie oczekiwał Komendant ciężkiej wizyty Kesslera. Po mnie i po Wasilewskiego był już wyznaczony samochód, który nas przywiózł do Belwederu na 8,30 wieczorem.

Rozmowy Komendanta z p. Stanisławem Grabskim.

(Spisane według opowiadań Komendanta
w dniach 5 i 12 grudnia 1918.)

Komendant przywitał Grabskiego bardzo oficjalnie i zapytał go, jako do kogo przyszedł on tutaj? Po pewnym ociąganiu się i półgodzinnym dyskusowaniu formułę ustalono jako zadawala-

jącą obie strony: „do Naczelnego Komendanta Wojsk Polskich, będących w kraju oraz do powołującego Ministerium”.

Po tym wstępie rozmowa potoczyła się o zasadach ogólnych w sprawach narodowych. Komendant rozmowę przeciągał umyślnie, nie chcąc doprowadzić w pierwszym dniu do postanowień praktycznych. Skonstatowano po wymianie zdań, że zasadniczych różnic nie ma, i że co do zasad możliwe jest porozumienie. Komendant skonstatował zaraz, że to zasadnicze stwierdzenie niczego jeszcze nie określa — jak tylko chyba „że obaj jesteśmy dobrymi Polakami” — różnice bowiem dopiero zaczynają się tam, gdzie się określa warunki i drogi ich realizowania.

Z obu stron zgodzono się na bezwzględną tajemnicę rozpoczętych rozmów, oraz na złagodzenie w okresie ich prowadzenia walki prasowej; Grabski miał oświadczyć ze swej strony dziennikarzom, że rozmowy są prowadzone w tajemnicy, jednak ich przebieg uprawnia do optymizmu. Komendant odniósł ogólne wrażenie swego pierwszego sukcesu, zarówno pod względem formalnym, jak i pod względem wytworzonej przez umowę z prasą sytuacji taktycznej. Opowiadając ten rezultat, Komendant stwierdził, że jeśliby umowa łagodząca prasę nie została dotrzymana będzie miał powód do rozpoczęcia następnej (rozmowy) atakiem; jeśli zaś zostanie dotrzymana, w takim razie złagodzenie tonu prasy będzie korzystne. Rozmowę swą dość długą Komendant kilkakrotnie przerywał zajęciami wojskowymi (Wroczyński, obiad u podchorążych, Legia oficerska).

Po tej rozmowie z dnia 5 grudnia popołudniu Komendant naznaczył następną na 7 grudnia, po czym rozmowy odbywały się codziennie, do dnia 10-go wieczorem. Rozmowy te poświęcone były przeglądowi następujących zagadnień:

I. Zagadnienie granic:

Skonstatowano nie bez zdziwienia że imperializm Komendanta idzie dalej, szczególnie co się tyczy granicy wschodniej białoruskiej; natomiast K(omitet) N(arodowy) idzie dalej w Galicji Wschodniej, starając się w całości przy Państwie Polskim ją zostawić. Skonstatowano istniejące różnice.

II. Konwencja Wojskowa:

W tej sprawie Komendant oświadczył stanowczo, iż musiałaby być zawarta nowa konwencja wojskowa. Dawna konwencja byłaby uznana przez Komendanta jako fakt dokonany dla przeszłości, jej warunki jednak całkowicie nie odpowiadają innym obecnym potrzebom. Komendant musiałby zawierać sam konwencję nową. Wszystko to niezadowolilo i nieco zaniepokoiło Grabskiego.

Z tym punktem Grabski łączył kwestię sojuszu będącego podstawą (istnienia) „armée belligérante et alliée”. Komendant oświadczył, że nic nie ma przeciwko takiemu postawieniu sprawy, że jednak podstawy układu musiałby być obustronnie ustalone.

III. Komitet Narodowy Paryski.

Skład i organizacja Komitetu: jedenastu członków, w tym komitet ściślejszy, złożony z przedstawicieli — Piltza w Paryżu, Sobańskiego w Londynie, Skirmunta w Rzymie i Paderewskiego w Waszyngtonie, z przewodniczącym Dmowskim na czele; Zamoyski tylko czasowo pełnił funkcję przewodniczącego, zastępując go. Komitet jest uznany dyplomatycznie przez wszystkie państwa *Entente*, zaś ma konwencję wojskową z jedną tylko Francją. Istnieje komisja wojskowa francusko-polska pod przewodnictwem Hallera, oraz referat wojskowy K.N., reprezentowany przez Józefa Wielowieyskiego.

Grabski oświadczył pełną gotowość przyjęcia w jej skład przedstawicieli lewicy. Kiedy Komendant zaznaczył — czemu specjalnie lewicy, czyż nie słuszniej powiedzieć: innych stronnictw? — Grabski skwapliwie ograniczył się do lewicy, stwierdzając że wobec demokratycznych prądów Zachodu K.N. w obecnym składzie utrzymać się nie da.

Komendant oświadczył gotowość swą uznania Komitetu Narodowego za reprezentację Polski wobec państw Koalicji; oświadczył nawet, że nosił się z zamiarem uznania K.N. jako takiego bez jego rekonstrukcji; zwraca jednak uwagę na niepopularność Dmowskiego jako przewodniczącego. Grabski energicznie obstawał przy przewodnictwie Dmowskiego.

Wynikł spór o kwestię, kto pierwszy ma zakomunikować komu swe uznanie. Komendant obstawał za aktem tym najpierw ze strony Komitetu, bez czego Komendant nie ma powodu ani możliwości zwracania się do tegoż Komitetu i dawania mu jakichkolwiek pełnomocnictw. Kwestia pozostała nierozstrzygnięta.

IV. Sprawy wewnętrzne.

Grabski uważał za niezbędną rekonstrukcję gabinetu; inaczej w *Entente* rządu Piłsudskiego wywołują wrażenie Kiereńszczyzny, tak niepopularnej w Koalicji; Komendant oświadczył swą gotowość, zaznaczając absolutną niemożliwość przeprowadzenia. Wówczas Grabski ofiarował się pośredniczyć, i oświadczył gotowość zestawienia w trzy dni listy gabinetu nowego. Co do ewentualności gabinetu fachowego, wystawionej przez Komendanta, Grabski nie wyrażał sprzeciwu, widział jednak w takim razie (konieczność) ciała ogólnego w postaci Rady Narodowej.

Parokrotnie w rozmowach powracano do punktu określenia istoty obecnej Polski, istniejącego u *Entente*: *Nation*, a nie *Etat*. Widać też było tendencję sprowadzenia państwowych obecnych form Polski na grunt reprezentacji czy konsolidacji narodowej.

W przedostatniej rozmowie Grabski zaproponował swą interwencję za pośrednictwem Komitetu Narodowego w Koalicji w sprawie Litwy przeciw Niemcom. Telegram miał być wysłany

przez Grabskiego, miał się powoływać na upoważnienie i porozumienie z Piłsudskim. Komendant zgodził się w zasadzie, czyniąc trudności w redakcji.

W ostatniej rozmowie Komendant zaznaczył ewentualność nie dojścia do porozumienia, (a w tym wypadku) wysyłki własnych delegatów. To postawienie sprawy mocno zaniepokoiło i obruszyło Grabskiego.

Uwagi objaśniające.

Komendant wkrótce po moim przyjeździe do Warszawy uprzedził mnie że zamierza mnie zużytkować w stosunkach z państwami Zachodu. Brałem tedy początkowo udział w rozmowach, dotyczących stosunku Piłsudskiego do Koalicji i w szczególności w konferencjach z ministrem Wasilewskim. Niestety, w połowie grudnia nabawiłem się grypy i przez kilka dni leżałem w łóżku u siebie w hotelu (Polonii). W ciągu tego czasu różne decyzje zostały powzięte beze mnie.

Komendant — Naczelnik Państwa, jak go powszechnie wtedy nazwano — zajęty był w owych dniach najważniejszymi zagadnieniami związanymi z budowaniem zjednoczonego i niepodległego państwa. W sprawach zewnętrznych głównymi problemami był stosunek do Niemiec i nawiązanie łączności ze zwycięskimi mocarstwami Zachodu. W rozmowach prowadzonych intensywnie z posłem nowego rządu niemieckiego hr. Kesslerem Piłsudski omawiał doniosłą i palącą sprawę ewakuacji armij *Ober-Ostu* z ruskich i litewskich kresów do Niemiec, tak aby ominęły Polskę: bał się wygłodzenia przez nie kraju, bał się, może więcej jeszcze zanieśienia przez nie na Polskę zarazy bolszewickiej. Z Kesslerem, człowiekiem kulturalnym i osobiście życzliwym, Komendant dochodził już do porozumienia. Ale demagogia ulicy, pamiętającej okupację, podsycanej wpływami stronnictwymi, ulegającej oskarżeniom rzucanym na oślep, podejrzeniem powstałym nie wiadomo skąd, nie знаła rzeczywistej sytuacji i słyszeć nie chciała o kompromisach. Pod naciskiem ulicy stosunki zostały zerwane i hr. Kessler był zmuszony opuścić Warszawę — przy czym jednak warunki dotyczące okólnego marszu Niemców, z ominięciem Polski, zostały dotrzymane.

W stosunku do państw zwycięskich Zachodu Komendant odczuwał w tych dniach dwie główne trudności. Pierwszą, o charakterze ogólnym, było rozprzestrzenione tam mniemanie, że ruch Piłsudskiego jest czymś w rodzaju „Kiereńszczyzny”, lub co gorsza stanowi część składową czerwonej zarazy płynącej ze Wschodu. Poglądy urabiane przez samychże Polaków nie były obce ustaleniu tych przesądów i w rozmowach prowadzonych przez Grabskiego w Warszawie znalazły się ich echa. Drugą trudnością, o charakterze ściślejszym, polityczno-prawnym, były fakty dokonane w stosunku do Polski ze strony mocarstw sprzymierzonych: uznanie Komitetu Narodowego jako reprezentacji Polski, oraz zasugerowany przez tenże Komitet Art. 12 rozejmu

w Rotonde, zezwalający aż do odwołania wojskom niemieckim przebywanie na terenach wschodnich. Oba te fakty utrudniły Piłsudskiemu wejście w stosunki z mocarstwami Zachodu; jego zwrócenia się, nawet adresowane w sprawach czysto wojskowych do Marszałka Focha, pozostawały bez odpowiedzi.

Niemniej trudne, a bardziej jeszcze palące zagadnienia stawały przed Piłsudskim w dziedzinie polityki wewnętrznej. Z tworzącą się wówczas administracją kraju nie miałem żadnej styczności, więc nie orientowałem się w spiętrzonych w niej przeszkodach. Natomiast cała struktura rządu wydała mi się tymczasowa i jeszcze dość luźna, na co wskazywał początek targu prowadzonego w tej sprawie z Grabskim. Z rozmów Komendanta ze mną i z konferencji zbiorowych, w jakich wziąłem udział, wylaniała się jedna kwestia podstawowa: szukanie źródła władzy. Zapamiętałem z całą wyrazistością, jeżeli nie słowa, to przynajmniej sens rozumowania Komendanta. — Najważniejszym jest, mówił mi Piłsudski, znaleźć źródło władzy, dla całej Polski, dla wszystkich Polaków nie podlegające kwestionowaniu. Źródłem władzy nie jest i nie była Rada Regencyjna gdyż była ona mianowana przez okupantów. Źródłem władzy nie są i nie mogą być żadne rady ani komitety, lub to z tegoż samego powodu, lub też dlatego, że korzystały z protekcji, a może nawet pieniędzy obcych rządów. Źródłem władzy nie mogą być stronnictwa, gdyż jutro może ktoś kwestionować obecność albo nieobecność takiego czy innego stronnictwa. Trzeba stworzyć w Polsce władzę, której podstawy nikt nie byłby w możności kwestionować. Taką podstawę może dać we współczesnym świecie tylko i jedynie głosowanie powszechne. Dlatego dążyć przede wszystkim do zwołania Sejmu na podstawie przeprowadzonych jak najprędzej powszechnych tajnych wyborów. Mówię Morawczowskiemu że potrzebny mi jest sejm wkrótce; że żądam prędkiego opracowania ordynacji wyborczej. Wszystko mi jedno, czy ordynacja ta będzie nieco lepsza czy nieco gorsza, byle była prędko i doprowadziła do odbycia się wyborów. Źródłem władzy może być tylko sam naród.

W tych warunkach, wśród pilnych i najpilniejszych spraw, kwestia delegacji do Paryża była u Komendanta odkładana, a u organów wykonawczych zbywana i dowolnie przerabiana. Nie pamiętam już nawet, kiedy i w jakich okolicznościach zapadła decyzja, sprzeczna z pierwotnymi układami Piłsudskiego z Grabskim, przewidującymi rekonstrukcję rządu, uzupełnienie Komitetu Narodowego itd. W każdym razie, leżąc chory w Polonii w decyzji tej nie miałem żadnego udziału. Dziś, po trzydziestu pięciu latach, retrospektywnie sędzę, że postanowienia dotyczące wysłania „Delegacji” i jej składu powzięte zostały w grupie mafijnych radykałów, opanowujących w tym czasie nowopowstałe Ministerstwo spraw zagranicznych. Celem ich było uniemożliwienie porozumienia z „endekami” i zapobieżenie jakimubądź układowi z Komitetem Narodowym w Paryżu. Pod tym wpływem zaniechana została myśl mojej misji do Pa-

ryża i powstała „Delegacja Naczelnika Państwa”, czteroosobowa, licząca obok mnie i Wieniawy Długoszewskiego, dra Kazimierza Dłuskiego i profesora Antoniego Sujkowskiego.

Wyjechałem z Warszawy pociągami specjalnymi Komendanta, w same dni świąt. Komendant po raz pierwszy odwiedził Kraków i byłem świadkiem, na dworcu, uroczystości przywitania i manifestacji. Tegoż jeszcze dnia, późnym wieczorem, zostałem wezwany do wagonu salonowego Komendanta. Piłsudski przepisał przy mnie, w czterech egzemplarzach, listy notyfikacyjne jakie mieliśmy wręczyć głowom państw — Francji, Wielkiej Brytanii, Italii i Stanów Zjednoczonych. Tekst był stereotypowy, przygotowany w języku francuskim w Ministerstwie i Komendant, przepisując, zżymał się na jego banalność. Potem Komendant udzielił mi instrukcji, które zawierały wskazania najbardziej ogólne. Dotyczyły one 1) poglądów Piłsudskiego na wytyczenie granic, 2) stosunku do Komitetu Narodowego. Zadaniem Delegacji, a przede wszystkim moim, miało być doprowadzenie do porozumienia z Komitetem Narodowym i działanie z nim wspólne na terenie międzynarodowym. Komendant uważał dualizm w stosunkach z „Koalicją” za szkodliwy dla sprawy polskiej. Był to więc — w sprzeczności z aktami notyfikacyjnymi — nawrót do tych koncepcyj jakie pierwotnie uzgadniane były z Grabskim.

W dniu następnym Delegacja w pełnym swoim składzie, z nielicznym personelem urzędniczym, opuściła Kraków. Zatrzymywaliśmy się w Wiedniu, Innsbrucku i Feldkirchu, gdzie musieliśmy czekać na zezwolenie na wjazd do Szwajcarii, nadchodzące z Berna.

Bern, 1 stycznia 1919.

Przyjazd do Bernu 31 grudnia o 11 wieczorem. Rozmowa w hotelu z (Augustem) Zaleskim i Wiskowskim. Starcie z Wieniawą o kwestię Komitetu Narodowego: nastrój w ogóle niechęci (do) jakiegokolwiek kompromisu; zakłopotanie z powodu mowy Pichona o Komitecie Narodowym jako „*gouvernement régulier*”. Depesze z Warszawy: pierwsza, potwierdzająca instrukcje Piłsudskiego, wysłana zapewne po raporcie Baranowskiego; druga, od Gutowskiego w sprawie czeskiej; trzecia, o Litwie. Zaleski, otrzymawszy trzeci telegram, przedstawił go w poselstwie angielskim, i poseł (Sir Horace) Rumbold, przetelegrafował tekst do swego rządu. Według panów Z. i W., Komitet Narodowy, uznany przez Francję, ale lekceważony przez opinię, uważany w krajach koalicji za ich (?) agenta, skompromitowany denuncjowaniem, przekupstwem etc.; w Anglii i Ameryce podcięty przez Żydów. Łącząc się z Komitetem prowadzamy na naszą głowę nienawiść Żydów, nieufność lewicy w krajach europejskich, niechęć Wilsona, złe stosunki ze Szwajcarią: dnia poprzedniego ponownie odmówiła dalszego wizowania paszportów dyplomatycznych; dochodzi do wzajemnych gróźb, represyj w formie utrudniania Szwajcarom wjazdu

do Polski, ewentualności wyjazdu (naszego) posła ze Szwajcarii i tp.

Dziś rano kwestie paszportowe : Zaleski telegrafował do Pichona; odpowiedzi najspokojniej nie było : tylko Modzelewski, reprezentant tutejszy Komitetu Narodowego, zawiadomił iż przejazdu będą nam udzielone. Na zwrócenie się nasze, w Ambasadzie francuskiej z pewnym ociąganiem i odwoływaniem do Komitetu Narodowego, zgodzono się wizować paszporty na podstawie otrzymanego już telegramu Pichona. Modzelewski... oczekiwał zgłoszenia się (do niego) z paszportami. Dłuski złożył mu wizytę.

Delegacja angielska do Polski składa się z pułkownika Wade i pp. Kiemensa i Kenney'a. Wade pojechał przez Gdańsk z Paderewskim, obydwa jego doradcy jutro wyjeżdżają stąd do Polski przez Wiedeń i czekali od onegdaj na spotkanie z nami. Półtoragodzinna rozmowa. Kiemens zna Warszawę, mówi po polsku, ma wyżej lat 40, spokojną i ułożoną twarz. Kenney z trudnością rozumie po francusku, młodszy, wysoki, żywy o pewnej sobie uprzejmości Anglika i ciemnych sympatycznych oczach. Rozmowa w znacznej części polegała na opowiadaniu przez nas sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej Polski. Wykazują dużo zainteresowania i sympatii. Zajęły ich przede wszystkim kwestie wojskowe, walka z bolszewizmem; pytali o drogę, środki i rodzaj potrzebnej pomocy, pytali o szczegóły cyfrowe armii. Ewentualną pomoc przeciw bolszewikom określiliśmy na sto tysięcy ludzi, udział aliantów w armii polskiej staraliśmy się ograniczyć, zgodnie z instrukcją, do spraw wyszkolenia, administracji i techniki. W sprawach społecznych wyraziliśmy osobiste swe przekonanie za daleko idącą reformą społeczną. Reasumując określili potrzeby Polski : 1. materiał przewozowy, 2. pomoc w materiałach wojskowych i aprowizację, 3. konwencję militarną, 4. poparcie (udzielone) obecnemu porządkowi rzeczy w Polsce. Na zapytanie stwierdzili charakter swych pełnomocnictw jako *mission d'études* z ramienia rządu angielskiego celem zdania relacji. O misji Johnsa i Biedermana dowiedzieli się po raz pierwszy i zaprzeczyli jej wszelkiego oficjalnego charakteru.

Misja amerykańska składa się z kilkunastu osób; na jej czele stoi prof. Coolidge.

Paryż, 6 stycznia 1919.

4 stycznia w południe przyjazd (z Genewy) do Paryża. Na *Gare de Lyon*. Na dworcu zgromadzona Polonia : Motz, Lipkowski, Curie-Skłodowska, Arctowski, Rudnicki, Szpotański, naturalnie Hubiccy i Hempel. Zaraz na dworcu, po bardzo uroczystym i serdecznym powitaniu Motz i Curie zwrócili się do Dłuskiego z najostrzejszym zastrzeżeniem przeciw Hubickim i oskarżeniem że pobierają pieniądze od Komitetu Narodowego. Z tego powodu cały szereg komplikacji. (Zatrzymaliśmy się w hotelu Lutetia na *rive gauche* : starzy paryżanie, cieszyliśmy się uczynionym dla nas wyborem tej dzielnicy.)

Po namyśle, zdecydowaliśmy się podpisać w Ministerstwie w książce Pichona; przez dwa dni na próżno oczekiwaliśmy jakiegokolwiek odpowiedzi.

Pojechaliśmy razem, całą delegacją z Hubickim i Hemplem do Mickiewiczów. Jasne że Mickiewicz nie może mi zapomnieć Legionów i ostrego mego listu, tolerował mnie tylko. Pani Mickiewiczowa opowiadała o Paderewskich, którzy nagle, bez uprzedzenia, otrzymawszy telegram od rządu angielskiego z Londynu, wyjechali do Gdańska. Miał Paderewski ewentualnie do swojej dyspozycji aeroplan wprost do Gdańska. Szczegóły te, dowodzące inicjatywy Wilsona lub Anglii w wysłaniu Paderewskiego zaprzeczałyby podejrzeniom o wyprawieniu go przez Dmowskiego z Paryża.

Wczoraj zrobił się polski bałagan : od rana dziennikarze, jacyś przemysłowcy proponujący wagony, kłótnia jak zawsze kolonia polska. Ludzie : Hubicki przyjechał tutaj pięć tygodni temu z Moskwy; doktor I Korpusu w stosunkach z generałem Raupon, od zimy 1917-1918 nawiązał łączność z P.O.W.; pojechał z Kijowa do Moskwy i Paryża wysłany przez Świtka (Bogusława Miedzińskiego), Struga i mnie jako nasz reprezentant z instrukcją nawiązania stosunków z wojskiem polskim. Spełnił to, wstępując do Komisji wojskowej, której prezyduje Haller. Z tego powodu naraził się kolonii polskiej lewicowej, szczególnie obozowi Motza. Dmowski przy wizycie Dłuskiego (6 stycznia), gdy Dłuski wymieniał członków delegacji, zdziwił się : „Hubicki przecież nasz urzędnik”. Byliśmy na tyle lekkimi, żeśmy się cofnęli i Hubicki rzekł się udziału w Delegacji. Stąd burza w Komisji, niezadowolone Wielowieyskiego iż Dmowski utracił najbardziej zgranego (z nimi) w Delegacji.

Hempel (Stanisław) został wysłany przez Komendanta w drugiej połowie listopada do Paryża w charakterze agenta prasowego i politycznego informatora. Spotkałem go jadąc ze Lwowa do Warszawy w Trzebini w towarzystwie Colleque'a i oficerów francuskich. Potem, dojechawszy do Szwajcarii, pierwszy dostał wizę na paszportcie dyplomatycznym bez wtrącania się Komitetu Narodowego. Przybył do Paryża w połowie grudnia i tu rozwinął dość energiczną działalność informacyjną w chwili zresztą przełomowej dla opinii w sprawie polskiej. Podobno w rozmowie z Komendantem i Filipowiczem kiedy go wysyłali zastrzegł mianowanie go członkiem delegacji ewentualnie jadąc jego śladem do Paryża. O tym zastrzeżeniu ja naturalnie nic nie wiedziałem, nikt zaś inny nie pamiętał i nominacji (mu) nie przywieźliśmy. W dodatku Hempelowi nie powiedziano nic o Hubickich, wobec czego nie chciał z nimi nawet gadać : nasz przyjazd, nominacja Hubickiego i zapomnienie zastrzeżeń Hempela wywołały pełny kryzys.

Motz (Bolesław, dr. med.) stoi tu na czele dawnej radykalnej kolonii polskiej złanej z resztkami starej emigracji. Obóz ten, nienawidząc Dmowskiego, przeciwstawiał kraj samowolnym reprezentacjom zagranicznym i po tej drodze doszedł do uznania

Rady Regencyjnej i jej polityki proniemieckiej. Motzowi nie wolno wyjechać z Paryża, jest notowany jak najgorzej na Quai d'Orsay i w oddziale wywiadowczym (Ministerstwu) wojny okrzyczany jako defetysta, tak iż od razu ostrzeżono nas przed jakimkolwiek oficjalnym i zbyt wyraźnym stosunkiem. Byłem u niego zaraz na drugi dzień po przyjeździe, przy czym wstawiał się bez specjalnego powodu za Hempel, czego wówczas jeszcze nie rozumiałem, ostrzegł przed „zdyskwalifikowanymi” Hubickimi, udzielił informacji o Lorecie (Macieju), raczej plotek o Dmowskim i Hallerze. Do grupy Motza należy pani Curie-Sklodowska, Lipkowski i Silberstein; z nich pierwsza szczególnie gruntownie skompromitowana przed (rządem) Francji. Rudnicki, bogaty przemysłowiec z ambicjami światowca i inspiratora polityki, wydawca „*Pologne Libre*”, człowiek dobrej woli i ostentacyjnych gestów, z mętą umysłowością; należy raczej do tej grupy ludzi, razem z Klimowiczem i Tumenem prowadząc biuro informacyjne polskie o typie dość karkołomnym (zajętym) fabrykowaniem wiadomości z Polski na miejscu w Paryżu. Od początku mało mnie nie zadreżył domaganiem się o swój przydział oficjalny. Klimowicz jest starym, dobrze mi znany (członkiem) PPS., zacny z kośćcami, a Tumen, syn wydawcy „*Wieku Nowego*”, młody Żyd o wyrafinowanej inteligencji, już z lekkim odcieniem kaboty, jest sekretarzem prywatnym Philus'a i jednym z najlepszych współpracowników „*L'Europe Nouvelle*”. Wszyscy ci ludzie, jak to zwykle w kolonii paryskiej bywa, splątani w sieci intryg, podejrzeń, potwarczych i po prostu głupich komeraży. Nim się człowiek przez te pajęczyny przedrze, wszędzie się snują one i przeszkadzają wiązaniu spraw ważnych.

Przyjechalśmy do Paryża z paszportami wizowanymi tylko przez Francję i z pozwoleniem wjazdu uzyskanym i uroczystie ogłoszonym przez Pichona w Izbie, po doniosłym oświadczeniu angielskim, złożonym nam w Bernie przed wyjazdem przez Kiemensa i Kenney'a. Przyjechalśmy w zmienionej i zdawałoby się najświetniejszej sytuacji dla spraw polskich. Po dwóch dniach, nie otrzymując odpowiedzi na zameldowanie się, 6 stycznia, poszedłem na Quai d'Orsay i zameldowałem się do Berthelot'a. Przyjął mnie wice-dyrektor Laroche. Pan Laroche wraz z referentem polskim Degrande'm są główną ostoją Komitetu Narodowego. Zacząłem, dziękując za przejazd wolny do Francji, konstatując że w tym celu zameldowaliśmy się u Pichona z *visite de courtoisie*, dziękując mu również za opiekę nad Komitetem Narodowym, w czym widzę nic innego jak tylko dowód przyjaźni Francji dla Polski. Nieporuszona twarz w monoklu, przypominająca dyplomatów na *Ballplatzu*, zdała się nieco rozjaśnić: „pan odgaduje intencje Francji, co z przyjemnością stwierdzam; byliśmy radzi przyjazdowi panów i radzi jesteśmy z powodu intencji zgody, z jaką panowie przybyli do Paryża; toteż gdy tylko nastąpi porozumienie między panami a K.N., miło będzie panu Pichonowi panów przyjąć”. Podziękowałem możli-

wie spokojnie i zaraz przeszedłem do kwestii bolszewickiej, malując jej niebezpieczeństwo i niemożność zwłóczenia; oświadczyłem gotowość ze strony Polski zawarcia konwencji wojskowej „*et qu'elle se considère dès à présent comme Etat allié*”, i wtrąciłem jakby nieumyślnie nawiązanie przez Anglię stosunków z nami. Na tym skończyła się, z wszelkimi formami, ta sztywna rozmowa.

Paryż, 8-9 stycznia.

Wczoraj popołudniu Dłuski otrzymał list od Szeffa protokołu Quai d'Orsay, odmawiający nam audiencji u Pichon'a. List nosił datę i stempel pocztowy 5 stycznia. Na tym na razie zakończyły się stosunki z ministerstwem francuskim.

W szeregu rozmów prywatnych staraliśmy się wyjaśnić cel przyjazdu, grozę bolszewizmu i krytykować dotychczasową z nami procedurę. Wieniawa zaraz pierwszego dnia odnalazł tu panią Bronkę i kapitana L. — Okazuje się, jak nam to zaraz opowiadała pani Hubicka, że pani Bronka, od dwóch tygodni będąca w Paryżu, jest jedną ze sprzężyn w Ministerstwie wojny. Przez nią zaraz 6-go podaliśmy informacje i relacje o kraju i wewnętrznych stosunkach politycznych. Cały ten kontakt pozostawiłem Wieniawie, nie mieszając się zupełnie do tej sprawy.

Przez Rudnickiego zostałem wprowadzony do redakcji „*Temps*”, do Herbertte'a i odbyłem z nim dwie rozmowy, 7 i 9 stycznia. Herbertte, spokojny i ugrzeczniony, o przenikliwych i chytrych oczach, jak gdyby ciągle rozśmieszonych. Opowiedział mi, że Pichon chciał przeprowadzić w trakcie zawieszenia broni ewakuację przez Niemców zaboru pruskiego. Poza tym rozmowa zesłała na opowiadaniu mu przeze mnie sytuacji w Polsce. Będąc powtórnie poinformowałem go szczegółowo o całym stosunku z Quai d'Orsay.

Na obiedzie u Poniańskich, 7 stycznia, książę — typ rasowego Francuza, księżna — Amerykanka z całym temperamentem i bezwzględnością swej rasy, oboje — szczególnie ona (usposobieni) wrogo przeciw Komitetowi. Na obiedzie stara hrabina de Noailles, państwo Rotschild, generał Rawlison, de Sillac z Quai d'Orsay, Hempel i ja. Tematem rozmów prawie wyłącznie sprawa polska. Miałem sposobność wypowiedzenia, jak dalece nas urażono postępowaniem Quai d'Orsay, specjalnie podkreślając: „*je ne comprends pas le but de nous avoir froissés...*” Generałowi Rawlinsonowi wyraziłem całą moją cześć dla Anglii i jej wojska i wdzięczność za nawiązanie z nami urzędowej łączności. Po tym wstąpiłem mówiąc o grożącym niebezpieczeństwie bolszewickim, żądając pomocy. „Ludzi wam nie damy... Ja sam dowodzę armią, ale nie wydam takiego rozkazu, a gdybym go wydał, nie byłbym usłuchany... Nikt z moich żołnierzy nie pójdzie na wojnę przeciw bolszewizmowi... Anglicy skończyli wojnę i chcą wrócić do domu...” (Uspokoilem gene-

rała, jak mogłem, że nie chodzi o pomoc w ludziach : — chodzi o pomoc w broni, w sprzęcie, w środkach). Rawlinson obiecał Hempłowi nawiązanie (nam) stosunków z misją wojskową angielską, a wychodząc, zapewniał Poniatowskiego, że o spotkaniu z nami opowie Foch'owi, którego miał nazajutrz spotkać. Co do *Quai d'Orsay*, obiad u Poniatowskich stał się punktem wyjścia akcji przez księcia rozpoczętej.

Sprawy Delegacji nie ułożyły się dotąd wcale. Posiedzenie codzienne o 8.30 rano, spotkania w ciągu dnia wielokrotne, co nie przeszkadza, że każdy działa po swojemu. To, i brak rzeczowych metod politycznych, odbiło się w sposób nieprzyjemny na pertraktacjach z Komitetem Narodowym. Niewątpliwie, więcej stylu, wstrzemięźliwości i opanowania było po tamtej stronie, wiele za to małostkowej uszczypliwości i niepolitycznego zawadiactwa — po naszej. To wszystko spowodowało ułożenie rozmowy we dwóch, pomiędzy mną a Dmowskim, 13 stycznia, mającej na celu redakcję układu (między Komitetem a Delegacją). Rozmowy odbyliśmy dwa razy po dwie godziny. Przyszedłem na nie z zamiarem prostego zestawienia : uznanie Piłsudskiego w Polsce, wzajemian za to uznanie Dmowskiego za granicą, z zamiarem potem postawienia jasno groźby zerwania i publicznego zdezwuowania Komitetu. Dmowski zaczął od ataku : zaczął mówić o Piłsudskim jako słabym i wahającym się człowieku, o wpływach, którym się poddaje, o jego błędach, o niepodobieństwie utrzymania przezeń dyktatury. Wytoczyłem moje argumenty w postaci prostego zagadnienia : albo się chce zgody, lub też nie. Dałem dowody że Piłsudski jej chce : „panowie, jeśli się na ten czas pogodzicie, wytworzycie pokój wewnętrzny w Polsce, zyskacie dla niej granice i siłę; potem zaczniecie znów walczyć, gdyż nie wyobrażam sobie Pana i Piłsudskiego przez dłuższy czas w zgodzie”.

Wtedy wyjechała najcięższa armata. Dmowski zaczął mi mówić szeroko o wpływach masonskich w Polsce : o Lednickim, Motzu i innych z jednej strony jako związanych z *Grand Orient de France*; z drugiej strony o rzeczy niemal dotychczas nieznaney — o oddzielnie istniejącej masonerii szkockiej, posiadającej własne rozgałęzienia w Polsce. Do I-ej zalicza się również utworzona przez Patka, Radziwiłłowicza i Chmielewskiego loża warszawska. Do drugiej, według Dmowskiego znacznie niebezpieczniejszej, należeć mieli Osuchowski i Sienkiewicz, a jedną z jej głównych sprężyn ma być w Polsce Askenazy. Dmowski jest przekonany, że masoneria, zarówno jedna jak druga, jest wędzidłem międzynarodowym na ruch narodowy taki jak polski; że nade wszystko jest organem żydostwa międzynarodowego i międzynarodowych wpływów kapitalistycznych — drogą obroną przez kapitał do opanowywania krajów, społeczeństw i warstw słabszych. Masoneria według niego przeszkadzała zwycięstwu *Entente*, ochraniała Niemcy, a przynależność Sienkiewicza do niej spowodowała, w ścisłym związku z Askenazym, jego nie-

wypowiedzenie się przeciw Niemcom. „Robiąc zgodę, trzeba wiedzieć z kim się robi”, zakończył Dmowski.

Odparłem, że śmieszne jest przypuszczenie związku naszego z masonerią. Powołałem się, dość nieostrożnie zresztą, na rozmowy „ober-mafii” w Krakowie przez ostatni rok prowadzone. Dmowski zaprzeczył kategorycznie istnieniu z ich strony mafii, mniej kategorycznie istnieniu Ligi Narodowej, zaznaczył po prostu, że istnieje porozumienie i zażyłość ludzi dawno ze sobą pracujących. Powiedziałem że myśmy byli w położeniu podobnym, a nasze porozumienie wspólnie oznaczało przeciwstawienie się nie komu innemu, jak właśnie masonerii; że Dmowski nie zdaje sobie z tego sprawy, jest jednak dowodem że w Polsce dawno nie był. Odpowiedział, że nie podejrzewa wcale Piłsudskiego o należenie do masonerii, ale za to ludzi z jego najbliższego otoczenia, których wpływowi podlega. Tych podejrzewa specjalnie o bliskość do znacznie niebezpieczniejszej, według niego, masonerii szkockiej. Stwierdziłem, że znam dobrze sprężyny działające w obozie Piłsudskiego, że żadnej sprężyny masonskiej tam nie ma. Mnie na przykład proponowano w swoim czasie przystąpienie do masonerii, jednakże nigdy do niej nie należałem, tak jak żaden z członków Delegacji, bawiącej obecnie w Paryżu.

Na tym zakończył się ten właściwie rozstrzygający epizod rozmowy, która zeszła na kwestie natury formalnej. Dmowski powrócił do istniejącej jego zdaniem *incompatibilité* pomiędzy stanowiskiem Piłsudskiego Naczelnika Państwa a Komendantą wojsk. Rozbijało się zatem znowu wszystko o kwestię uznania Naczelnika Państwa. „Pan rozumie, powiedziałem, że kompromis można ustanowić tylko na zasadzie zadowolenia stron obu : my więc gotowi jesteśmy zadowolić stronę panów i uznać Komitet ; wzajemian musimy żądać uznania Piłsudskiego i tylko za tę cenę się zgodzimy”. — „W Komitecie Narodowym, odrzekł Dmowski, przeprowadziłem moją linię, i muszę mieć gwarancję, że w dalszym ciągu będę ją sam prowadził”.

Sposób stawiania sprawy przez Dmowskiego był na ogół nieustępliwy i bezwzględny, wobec czego przeszliśmy do określenia sytuacji jaka nastąpi w razie naszego rozejścia się. Dmowski wymienił powstanie drugiego rządu w Poznańskim, złączenie armii Hallera z niektórymi innymi oddziałami jako oddzielne go wojska, zachwianie Galicji, upadek rządu w Warszawie. Odpowiedziałem, że mam jeszcze do dodania : albo oficjalne zdezwuowanie Komitetu Narodowego przez nas, lub też po prostu nasz wyjazd, z ogłoszeniem, że do zgody nie doszło i dlatego, co równa się zdezwuowaniu. Wówczas Dmowski sformułował jako podstawę porozumienia dwie naczelné jego zasady, i w chwilę potem formułowałem je na piśmie.

Na tym właściwie skończyły się nasze pertraktacje z Komitetem Narodowym. Po (mojej) rozmowie z Dmowskim 14 grudnia naznaczona została (wspólna) konferencja plenarna, na któ-

rej mieliśmy przyjąć zasady wypracowane zresztą przez Delegację z pewnym odchyleniem od formuły Dmowskiego. Tymczasem, po krótkim oczekiwaniu Dmowski przyniósł nam (na posiedzenie) telegram dopiero co nadesłany z *Quai d'Orsay* od Paderewskiego o zmianie rządu i nowej konstelacji. Dmowski odegrał tutaj niezrównaną komedię. „Przyszedł telegram, który jest prawdziwą bombą dla panów”. Po czym przez kilka minut trzymał nas jeszcze w oczekiwaniu, opowiadając różne nieważne nowinki, a wreszcie z twarzą (nieporuszoną) jak u najlepszego aktora zaczął czytać tę rzekomo groźną dla nas wiadomość. Sprowokował nas i zanadto cieszyliśmy się. Co do niego, był widocznie do głębi wstrząśnięty. „No, i niech pan powie, zwrócił się do mnie, na cośmy tak ciężko wczoraj pracowali, przynajmniej wykształciliśmy się wiele”. „Może jednak, wrócił do tego tematu po chwili, fakt żeśmy dochodzili do zgody tutaj oddziałal na przestrzeń i z daleka wywołał wypadki”.

Paryż, 20 stycznia.

W Delegacji nie było jednolitego zdania w kwestii stosunku do Komitetu, ani przed, ani po telegramie Paderewskiego. Zapominano zbyt często o sensie i literze instrukcji Piłsudskiego. Wpłynął niemało błędny sposób widzenia rzeczy, wmawiany w nas przez Baranowskiego w Wiedniu, przez Załęskiego w Bernie. W odpowiedzi na wątpliwości Piłsudski telegrafował do Berna do Wieniawy, ponawiając treść swych instrukcyj. Mimo to, niewątpliwie pod wpływem niechętniej opinii, nie zachowaliśmy form — nie zawiadomiliśmy Komitetu o przyjeździe — i niezbyt pamiętaliśmy o najważniejszym zdaniu instrukcji Komendanta: potrzebie panowania nawet nad własnym obrzydzeniem moralnym. Poza tym w walce, w dyskusjach zanadto się gorączkowano, Dmowski zbyt często umiał nas prowokować i nerwy w ogóle szkodziły polityce.

Jeszcze przed decyzją Komitetu Dmowski 14 stycznia poprosił nas o list, upoważniający go imieniem Delegacji do objęcia od razu stanowiska jednego z delegatów (na Konferencję Pokojową), ponieważ w nominacji (telegraficznej) było trzech, *Entente* zgodziła się na dwóch, i trzeba było czekać na ponowną instrukcję. Na propozycję Dmowskiego zgodziliśmy się, uważałem zresztą za niewątpliwą sukces potrzebę dokumentu takiego, wyrażoną z jego strony. Dopiero na drugi dzień wynikły z tego trudności, w których musiałem użyć wszystkich środków aby dotrzymać zobowiązania. W dniu 15 stycznia Komitet zakomunikował nam tekst swojej odpowiedzi Paderewskiemu, my zaś oddaliśmy Dmowskiemu nasz list. Na drugi dzień dopiero, kiedy przyszedł omawiać z Dmowskim sprawy praktycznych konsekwencji naszego układu, pokazał mi — 16 stycznia — list Pichona do Piltza, *représentant du Comité National à Paris*, zawiadamiający go o udzieleniu Polsce dwóch miejsc i wzywający do zakomunikowania mu nazwisk delega-

tów polskich. Czy Dmowski się przeliczył i nie wiedział o możliwości zaproszenia samego (tylko) Komitetu na Konferencję? Lub też, czy, korzystając z dokumentu od nas uzyskanego, dopiero o ten list oficjalny rządu francuskiego się starał? — nie jest dla mnie jasne.

Przyjazd Delegacji do Paryża wywołał dość duże poruszenie w prasie i mnóstwo komentarzy. Zaraz jednak, obok paru głosów przyjaznych i komunikatów naszych w *Temps*, pojawiły się inspirowane przez Komitet Narodowy wypowiedzenia wrogie Bienaimé'go w *Victoire*, Saint Brice'a w *Journal'u*, *Pertinaxa* w *Echo de Paris*. Kampania nas dotycząca a gotowa wypominać współdziałanie Legionów z *boches'*ami, nie ustawała i potem, przeszkodziła umieszczeniu artykułu i fotografii już gotowych w *Journal'u* i wywołała znaczne ostudzenie (opinii) w sprawie polskiej. Na każdym kroku spotykaliśmy odtąd konstatawanie naszej niezgody, stawianie w wątpliwość chęci porozumienia, mniej lub więcej impertynenckie rady. Już po zawarciu zgody i przyjeździe do skutku ministerstwa Paderewskiego, kampania nie ustała, w *Intransigeant*, *Echo de Paris* postawiono w wątpliwość akcję Piłsudskiego. Naturalnie, nasze stanowisko znalazło obrońców, chociaż unikaliśmy szczególnie poparcia prasy krańcowo lewej. Toteż *Populiste* zachował od początku stanowisko względem nas wrogie, *Humanité* pozostała obojętna. Będący z nami w stałych stosunkach Herbertte motywował nasze stanowisko w *Temps*, Gorin w *Journal des Débats* zaatakował Komitet Narodowy. Do Herbertte'a zwrócono się około 10 stycznia ze strony części podpór finansowych tego pisma o zaprzestanie kampanii przeciw Komitetowi. Gdy to nie pomogło, przysłano mu anonim, gdzie zaatakowano go osobiście za jego stosunki z Delegacją, specjalnie zaś ze mną (jako tym), który zawierał traktaty z *boches'*ami, a teraz udaje przyjaciela Francji. Herbertte pokazał mi ten anonim, nie chciał mi jednak go zostawić: „*je jette ceci aux ordures*”. Akcja nasza w stosunku do polityki francuskiej, mająca na celu oddziaływanie na *Quai d'Orsay*, rozwinęła się w dwóch kierunkach: jedna prowadzona w Ministerstwie wojny, druga — wśród osobistości mających możliwość oddziaływania na bieg urzędowej polityki. Briand pierwszy przyjął około 10 stycznia Dłuskiego i mnie, ze specjalnym zainteresowaniem wysłuchując szczegółów o postępowaniu *Quai d'Orsay*, obiecał mówić z Pichonem, a Filousowi po naszym wyjściu zapowiedział, że uczyni z naszej kwestii podstawę swej akcji opozycyjnej. Pichon nie zareagował, ani w tym wypadku, ani też następnie, gdy Herbertte po moim referacie zażądał od niego przyjęcia nas w Departamencie politycznym: po prostu obiecał, a potem nie dotrzymał, względnie biura go nie usłuchały. Opinia o nim wypowiedziana po paryskich salonach nie oszczędza go wcale, powtarza z upodobaniem dowcipy Clemenceau na jego koszt, lekceważy jego brak rozpoznania stosunków, rozgłasza jego niezdolność, nieogarnianie całości i nieopanowanie własnych urzędników.

Rozmowa z p. Franklin-Bouillon, 18 stycznia.

Mieliśmy się spotkać na pierwszym zaraz obiedzie u Poniatowskiego; wówczas jednak wyjechał na południe, skąd wrócił dopiero 17-go, nie był więc także na śniadaniu, specjalnie przez Poniatowskiego dla nas i dla niego urządzonym.

Rozmowa zaczęła się od exposé S(okolnickiego), opartego na następujących punktach: 1. brak reprezentacji jakiejkolwiek ze strony Francji w Polsce, 2. stosunek *Quai d'Orsay* do Delegacji i do Komitetu Narodowego, 3. związek między wewnętrznymi kwestiami polskimi a sytuacją Polski międzynarodową — potrzeba interwencji i pomocy Polsce przeciw bolszewizmowi, 4. potrzeba interwencji w Galicji Wschodniej. Jako wytyczne referatu: jednostronność *Quai d'Orsay* i przeszkadzanie przezeń w zgodzie, włącznie z listem Pichona do Piltza, zapraszającym Komitet Narodowy na Konferencję; potrzeba bezpośrednia i natychmiastowa pomocy wojskowej dla armii polskiej. F.-B. był w części już poinformowany przez ks. Poniatowskiego, szereg spraw referowanych zapisywał, m. in. list Pichona do Piltza, formę odpowiedzi udzielonej przez *Quai d'Orsay* i kwestię interwencji w Galicji Wschodniej z możliwym udziałem Rumunów; po czym, zabrawszy głos, wyraził pp. Dł(uskiemu) i S(okolnickiemu) ubolewanie (z powodu) całkowicie niewłaściwego — *inadmissible* — postępowania ministra spraw zagranicznych w stosunku do delegacji Piłsudskiego: „panowie powinni byli być natychmiast przyjęci przez Pichona” — tutaj nastąpiła dygresja o polityce francuskiej w stosunku do Komitetu, w której F.-B. miał niepośledni udział, za którą jest częściowo odpowiedzialny; zasadniczą rzeczą jest, że rząd francuski zaraz po (przełomie) powinien był wysłać Komitet Narodowy do Polski z powrotem, a nie zostawić go w charakterze rządu eksterytorialnego we Francji.

F.-B. pytywał pp. Dł. i S. o szczegóły postępowania *Quai d'Orsay* w stosunku do Delegacji, układu Piłsudskiego z Paderewskim w Warszawie, składu nowego Ministerium, negocjacji wzajemnych, stosunku Poznańskiego do Królestwa — pytanie zresztą zadawane przez wszystkich Francuzów regularnie. „Widzicie panowie, mówił, Francja w czasie wojny znajdowała się blisko przegranej. Wówczas podzieliliśmy się na dwa obozy; jeden obóz mówił, że zapewne jako naród zginiemy, ale lepiej jest zginąć aniżeli przyjąć prawo niemieckie, mamy bądź co bądź poza sobą piętnaście wieków historii musimy skończyć zgodnie z przeszłością; drudzy uważali że wobec przegranej należy jednak zachować istnienie narodu, pewne wartości rzeczywiste, część sił i praw. Przyszło potem zwycięstwo niespodziewane w niespodziewanych rozmiarach i wtedy powstała gwałtowna, sprawiedliwa czy nie, nienawiść do tych drugich. Są oni pod zarzutem niewytrzymywania sytuacji i nieodpowiedzenia stanowi sił narodu; socjaliści pozostaną pod zarzutem i długi czas bez wpływu z powodu przeciwstawienia się energii zbiorowej. Najgorszą więc

usługę oddają panom ci Francuzi spośród socjalistów, którzy jak Lafont biorą obronę Polski w swe ręce i łączą sprawę swoją (własną) z Polską...”

(W odpowiedzi Sokolnicki) zaznaczył, że Delegacja specjalnie baczna na to zwróciła uwagę, ażeby w niczym nie łączyć sprawy polskiej z lewicą, ani z opozycją przeciwko Clemenceau. To ostatnie zdanie wypowiedziane całkiem świadomie, przerwał w połowie (obecny przy rozmowie) ks. Poniatowski z lekkim zniecierpliwieniem (jako widocznie) rzecz będącą na porządku dziennym z F.-B.

F.-B. zapowiedział, że w poniedziałek rano ma rozmowę... z Pichonem, zaś tegoż samego dnia posiedzenie komisji spraw zagranicznych Izby. Tam postawi na porządku dziennym kwestię polską i zażąda formalnego uchwalenia wniosku o pomocy wojskowej dla Polski. Wniosek ten musi być uchwalony jednomyślnie i nie ze strony lewicy... Rad był zatem z poparcia zapowiedzianego delegatom przez posła prawicy Escudier. Lafonta poprosi o niewystępowanie, z powodów taktycznych, za Polską.

Paryż, 23 stycznia.

Wczoraj, we środę w południe, spotkanie z p. Gauquié, przybyłym z Odessy przez Budapeszt. Jest w łączności najbliższej z przedstawicielami Rosji. Sądzi, że między Rosją a Polską ustały sprzeczności i zdziwił się bardzo, gdy mu wspomniał o moich podejrzeniach: „może kwestia litewska”, zawahał się...

Popołudniu rozmowa z sekretarzem sir Esme Howard'a: twierdzi, że Anglia przygotowała okręty na przewiezienie (wojsk) Hallera i uwiadomiła rząd francuski; w kwestii podróży do Londynu sprawa zatrzymana aż do otrzymania (przez nas) instrukcji jakie nadejdą z Warszawy.

Rozmowa w ambasadzie amerykańskiej z (chargé d'affaires) Dawsonem. Zreferowałem mu położenie według zasad następujących: „*Il ne s'agit point d'une intervention en Pologne; il s'agit encore moins pour nous de provoquer une intervention alliée en Russie; la Pologne ne demande pas que les forces de l'Entente se substituent à elle-même dans l'oeuvre de défense de ses frontières. Tout ce que nous demandons, mais ceci nous le demandons à tous, c'est d'aider la Pologne à se défendre et à défendre la Lithuanie contre l'invasion bolcheviste; notre armée se défend avec vigueur et acharnement, mais elle ne suffit pas à cause de l'action simultanée des ennemis de la Pologne dans le sud et à l'ouest. L'aide des puissances alliées devrait consister: 1. dans l'envoi de (l'armée de) Haller, 2. envoi de munitions, armes, équipement et matériel roulant, 3. dans une aide militaire à contingents restreints*”.

Prócz tego zreferowałem porozumienie z Dmowskim, kładące nacisk na zgodę Paderewskiego i Piłsudskiego w Warszawie. Dawson specjalnie zainteresował się kwestią ewentualnej interwencji i zawieszenia broni w Galicji Wschodniej, oraz moim przedstawieniem rzeczy w sprawie pomocy aliantów Litwie. Roz-

moję zakończył prośbą o skomunikowanie się z kimś z Delegacji amerykańskiej na Kongresie. Dziś przez telefon wymienił (profesora) Lorda.

Paryż, 25 stycznia.

Onegdaj przyjechali z Warszawy Pawłowicz i Preobrażeński, wezwani telegraficznie przez Ministerstwo wojny w sprawie telegrafu bez drutu. W Paryżu nie można znaleźć wcale pokoju. Preobrażeński szukał przez 48 godzin mieszkania.

Przedpołudniem rozmowa z p. Gauquié, który przyszedł do mnie wprost od Sazonowa. Sazonow do najwyższego stopnia (oburzony) na decyzję Konferencji Pokojowej w sprawie Rosji. Gauquié jest w dalszym ciągu zwolennikiem rekonstrukcji Rosji w jej całości; pragnie zbliżenia rosyjsko-polskiego i szczerego porozumienia, które jego zdaniem jest tym potrzebniejsze, ile że Polska, choć będąca dużym państwem, znajdzie się w położeniu trudnym pomiędzy dwoma bardzo wielkimi organizmami państwowymi, Niemcami i Rosją. Odpowiedziałem zastrzeżeniami dotyczącymi Litwy i Ukrainy. Obowiązkiem Polski, moim zdaniem, jest obrona dążeń samodzielných wszystkich narodowości otaczających Polskę; inaczej będziemy mieli wszędzie na naszych granicach nieprzyjaznych nam sąsiadów, oraz wewnątrz państwa części ludności niezadowolone. Gauquié uważa, że istotnie Litwa jest przedmiotem różnic między Polską i Rosją, że jednak w interesie sojuszników leżeć będzie zawsze utrzymanie państwa rosyjskiego. Zaznaczyłem, że taktyka *Entente*, a specjalnie Francji w stosunku do Rosji była błędna, że myśl rekonstrukcji całej Rosji jest niewykonalna; wynikająca stąd myśl interwencji zbrojnej aliantów przeciw bolszewizmowi w głąb Rosji od początku była niemożliwa, a to z powodu, że w Rosji właściwej siły są pasywne i niemożliwe jest ich zorganizowanie; należało więc od razu wybrać drogę postępowania, którą obrano obecnie — poparcia Polski, względnie innych formacji państwowych na kresach; tym sposobem utworzono by krąg wkoło zarazy bolszewickiej, a ta wówczas zginęłaby sama. Co do stosunku z Rosjanami, wyraziłem gotowość porozumień, przypuszczenie, że właśnie Gauquié byłby naturalnym pośrednikiem, wreszcie gotowość spotkania. Gauquié był bardzo ostrożny, zakomunikował mi w końcu, że zostanie zapewne, po ewentualnej swej podróży do Odesy, referentem spraw rosyjskich w Ministerstwie.

Popołudniu (widzenie) z Muhlsteinem z Brukseli: stosunki z Vanderveldem, któremu Muhlstein referował ostatnio sprawy polskie. Vandervelde interpelował go w sprawie naznaczonego przez Komitet Narodowy reprezentanta w Belgii, p. Rydla. Prosiłem Muhlsteina o przedstawienie ministrowi belgijskiemu całej sytuacji naszej w związku ze sprawą notyfikacyjną. Tymczasem Vandervelde przyjechał do Paryża i wskutek tego naznaczone zostało spotkanie z Delegacją.

Wczoraj, w piątek rano, widzenie z Poniatowskim, który zakomunikował, że nastąpi decyzja naznaczenia bawiących już

w Polsce wojskowych jako delegatów w Komisji ośmiu. W południe śniadanie z Litwinami — Rybiński, Krzyżanowski, Zawadzki i Alfred Tyszkiewicz — przy czym dopiero zauważyłem istniejącą dysharmonię między właściwą delegacją litewską a Tyszkiewiczem, który reprezentuje tutaj stronnictwo odbudowy Litwy, jednak do delegacji zaliczony nie został. Tyszkiewicz prowadzi od szeregu dni akcję dość ryzykowną. Pierwszy raz będąc u mnie przed tygodniem, zakomunikował propozycję Gabrysa widzenia się ze mną i rozmówienia w kwestii litewskiej. Rozmowa miała miejsce w parę dni później; obecni byli: Gabrys, ksiądz Olszewski, Mostowski, Litwin z Ameryki i Siemiaszko, Białorusin. Rozenbaum, żydowski adwokat z Wilna, zaszedł (na chwilę), ale nie był obecny. Wszystko to przedstawicielem nowej litewskiej Taryby, powstałej w Wilnie po wyjściu Niemców, przeniesionej potem do Kowna, wrogię bolszewizmowi, stojącej obecnie rzekomo na gruncie niezawisłości historycznej Litwy. Gabrys wypowiadał się przed Tyszkiewiczem z pragnieniem ułożenia się z Polakami. Rozmowa miała miejsce w hallu Continentalu. Wszyscy ci ludzie, z wyjątkiem może Mostowskiego, to typy przedajne i do głębi przewrotne: Gabrys, znany dawniej agent moskiewski, potem pruski; Olszewski — wyrafinowanie przebiegły ksiądz, kupiony w swoim czasie agent niemieckiej Taryby; Rozenbaum — parszywiec i łgarz. Rozmowa była całkiem nieobiecująca; zaczęła się od inkryminacji z powodu wchodzenia wojsk polskich na Litwę, od gróźb reakcji ludowej przeciw Polakom. Potem Gabrys zastrzegł się przeciw Dmowskiemu. Zaraz zaznaczyłem jedność polityki polskiej; że polityka ta będzie szczerze i szeroko demokratyczną, gwarantuje to osoba Piłsudskiego; Litwa winna patrzeć z zaufaniem na Polskę. Siemiaszko, potem Olszewski, opowiadali o „gwalcie” i „gwałtach” dokonywanych przez Polskę. Zasadniczo określiłem nasze stanowisko za niepodległością Litwy i pragnienie (odnowienia) Unii. Białorusin zaraz się zastrzegł, mówiąc, że Białoruś stoi na gruncie federacji litewskiej; Gabrys na miejsce Unii postawił traktat sojuszu; Olszewski i Siemiaszko insynuowali potrzebę wpłynięcia przez nas na Polaków litewskich, by nie propagowali połączenia z Polską. Zaznaczyłem ogólnikowo, że Wilno i jego los byłyby zależne od stanowiska Litwinów względem Polski, które nie może się tylko traktatem ograniczyć.

Po tej rozmowie parę dni milczenia. Wreszcie Tyszkiewicz przyszedł zakomunikować, że bezpośrednio, następnego dnia, grozi nam zawarcie umowy litewsko-rosyjskiej, że Gabrys jest tej umowie przeciwny i chce jej przeszkodzić, że najpilniejszą wskutek tego rzeczą byłoby doprowadzenie do skutku umowy specjalnej z Gabrysem, chociażby pieniężnej, w każdym razie natychmiastowo.

Po naradzie z Delegacją odesłałem Tyszkiewicza z całą tą sprawą do Dmowskiego, ze względu na tendencję u Litwinów wygrywania Polaków jednych przeciwko drugim. Dmowski, uprzedzony, potraktował Tyszkiewicza nader niegrzecznie, jed-

nak mówił z Gabrysem i sprawa wzięta dalszy obrót. Litwini przez kilka dni, w okresie mojej z nimi rozmowy, byli całkowicie nieustępliwi i niechętni, dopiero pod wpływem nowych, nieznanym nam faktów, czy ze strony Rosjan, czy ze strony Francji, może zaś po prostu pod wpływem zbliżającej się groźby bolszewizmu, zmienili zachowanie się i powrócili do nas. W ogóle, odniosłem wrażenie, że kwestia litewska za kulisami polityki, w salonach, dziennikach, ambasadach i delegacjach, dużą w ostatnich dniach odegrała rolę.

Popołudniu wizyta u baronowej La Case. Obecni wprowadzający mnie senator Gallu, redaktor z *Journal des Débats*, Gauvain, Amerykanin Berenson i profesor geografii z Collège de France B.

(Przez) cały podwieczorek rozmowa o Polsce. Berenson przypuścił szturm o ugodę z Dmowskim i naznaczenie Paderewskiego. Jest to według niego reakcja w Polsce, wbrew woli społeczeństw Zachodu. Odparłem, że w każdym razie nie wbrew woli rządów i ich uprawnionych przedstawicieli. Gauvain interesował się specjalnie i z pewną zawziętością stosunkiem z Czechami, z Litwą. Ogólne zainteresowanie wywoływała zresztą kwestia ostatnich decyzji Konferencji i delegacji mającej być wysłaną do Polski.

Obiad u p. Honorat. Przez pierwszą godzinę, charakterystyczna rozmowa między p. Honorat a p. Sewerynem Kutnerem o bolszewizm. Kutner bronił wniosków Wilsona i decyzji Konferencji, twierdził, że nie można wykluczyć bolszewizmu z życia międzynarodowego, że tak czy inaczej przyjdzie on wszędzie, że „zdania ostatecznego o bolszewizmie mieć nie można, trzeba jednak stwierdzić, że rośnie”. Honorat jest umysłem filozoficznym (a jednocześnie o charakterze) niemal religijnym, umysłem czującym. Przypominał wymieniane już kiedyś przez niego źródła bolszewizmu w naturze człowieczej, w wojnie, „la convoitise et la rancune”. Mówił, że dopiero decyzja aliantów da ogromny rozwój bolszewizmowi na Zachodzie, dziwił się, że umysły światłe mogą powziąć wątpliwość względem tego zagadnienia, które jest dla niego moralnym. Rozwiniął swój program urzeczywistnienia idei pokoju ludzkości. Należało zacząć od wielkich spraw — belgijskiej, polskiej. Ze sprawą polską łączą się sprawy ludów dawniej ujarzmionych przez Rosję. Należało wysłuchać życzenia tych ludów, określić granice, wzajemne stosunki, wyćwiczyć na nich pokojowe współżycie z sąsiadami, oraz z góry ułożyć ich ustępstwa, przede wszystkim gospodarcze, dla Rosji. Potem przejść do Rosji, takiej czy innej, wykazać jej bilans tego, co się dla niej uzyskało, i uzyskać od niej za to zgodne załatwienie spraw zewnętrznych, sprawiedliwy pokój i ład na wewnątrz. Wtedy można by przystąpić do załatwienia spraw bałkańskich i południowych, i na tym dopiero rusztowaniu oprzeć budowę Ligi Narodów.

Przeszliśmy do sprawy polskiej. Honorat zawiadomił mię, że Komisja spraw zagranicznych postanowiła następnego dnia

we czwartek przyjąć nas i Dmowskiego dla oficjalnego interview w sprawie polskiej. Na moją krytykę postanowienia Konferencji odparł, że Francja tu nie ponosi winy, przynajmniej obecnie i spytał o konkretne sposoby zaradzenia. Wymieniłem desideraty: 1. szybką nominację, o ile możliwości, będących już w Polsce ludzi, 2. szybkie (załatwienie) raportów wojskowych z Polski, tak aby decyzje pomocy wojskowej mogły nastąpić szybko, 3. trzymanie w gotowości pomocy w materiale wojskowym i ekwipunku, 4. natychmiastowe wyekspediowanie (do Polski) armii Hallera, 5. według Dmowskiego już akceptowane — objęcie Gdańska i trójkątu Mława-Toruń.

We wszystkich powyższych rozmowach streszczałem nasze sprawy: „*Nous avons pendant vingt jours demandé à l'Entente des armes, des munitions, du matériel de guerre; nous venons de recevoir ce qu'on a pu nous donner il y a trois mois — une mission d'exploration. C'est peut-être beaucoup, mais ce n'est pas suffisant, et surtout ce n'est point réel ni immédiat, et la Conférence ne paraît pas avoir la notion du temps...*”

Paryż, 27 stycznia.

W sobotę 25 stycznia śniadanie z młodym Gasztowttm, oficerem (armii Hallera) i (Nachumem) Sokołowem, przywódcą sjonizmu. Gasztowtt, (od czasów) przed wojną propagator sojuszu polsko-tureckiego, stara się tutaj być nam pomocnym, zresztą jak wielu innych przez nienawiść do Kléber'u (Komitetu Narodowego). Na prośbę, aby mu... udzielił urlopu, Haller 28 odpowiedział odmownie... W ogóle, u Hallera, ciągłe niedomówienia wskazują na nieustające (jego) nadzieje na naczelne w Polsce dowództwo...

Sokołow od szeregu dni chciał się zobaczyć ze mną — jeszcze nie rozumiem dobrze, czemu. W czasie śniadania, na które go zaprosiłem, przez rewanż za proponowany mi przezeń obiad, skarżył się na Dmowskiego, jego rolę w Londynie; potem przeszedł do nieco skomplikowanego określania swojej własnej: nagabywała go Alliance Israélite — Salomon Reinach, Léon Say — proponując obronę interesów żydowskich w Polsce; on jednak czeka na mandaty z kraju i na określoną platformę jako dyrektywę; tymczasem reprezentuje tylko interesy państwa żydowskiego w Palestynie i będzie ich bronił na Konferencji. Poza tym mówiliśmy same złe rzeczy o bolszewizmie. Śniadanie skończyło się właściwie na niczym, i dosyć prędko.

Na mnie czekał już o 2,30 poseł Bousset z *Commission des Affaires Etrangères*, który przyszedł złożyć oświadczenie:

Komisja na swoim onegdajszym posiedzeniu zajmowała się sprawą polską i przede wszystkim wyraziła ubolewanie z powodu postąpienia *Quai d'Orsay* z Delegacją, specjalnie z powodu listu p. W. Martin — *acte incorrect et insolite*. Komisja zażądała naprawienia tego błędu i przyjęcia w najkrótszym czasie — *et M. Pichon était du même avis*. Wreszcie Komisja postanowiła prosić dwóch członków naszej Delegacji oraz dwóch

członków Komitetu Narodowego na posiedzenie dla zreferowania kwestii polskiej. Boussenot (dodaje), że to zaproszenie wykracza poza obyczaje parlamentarne, wystosowano je celem okazania Polsce szczególnej sympatii francuskiej Izby Deputowanych. Dzień przyjęcia nie został jeszcze wyznaczony.

Na zaproszenie Delegacji odbyło się posiedzenie wspólne z polską delegacją z Litwy. Obecni : Wawrzyniec hr. Puttkamer i Bronisław Krzyżanowski jako delegaci Komitetu polskiego w Wilnie, (ten drugi także) Komitetu litewskiego w Warszawie; Leon hr. Łubieński i Kazimierz Rybiński jako delegaci Polskiej Rady Kresowej na Białej Rusi; Władysław Zawadzki jako delegat Komitetu litewskiego w Warszawie.

Posiedzenie zaczęło się w nastroju nader zimnym, specjalnie ze strony Puttkamera, pana starej daty (o sympatiach) narodowo-demokratycznych. Dopiero później, pod wpływem naszego stawiania sprawy, zebranie ożywiło się i zakończyło się w nastroju żywego zainteresowania.

W poniedziałek rano, 27 stycznia, konferencja z dziennikarzami. Obecni reprezentanci *Petit Parisien*, *Echo de Paris*, *L'Heure...*, *Daily Mail*, *Manchester Guardian* i korespondent *Times'a* jadący do Warszawy. W referacie kładłem największy nacisk na udzielenie pomocy wojskowej Polsce, ze specjalnym określeniem tej pomocy nie jako interwencji, lecz tylko dania Polsce materiałów do walki. Korespondent *Times'a* po konferencji w rozmowie ze mną, (w odpowiedzi) na jeszcze raz powtórzone przeze mnie wymaganie pomocy odparł : „wszystko to dobrze, tylko że Polacy jednocześnie zaatakowali Niemców, z którymi jesteśmy (w stanie) zawieszenia broni”. Korespondent *L'Echo de Paris* przyszedł wcześniej i rozpytywał o stanowisko (nasze) wobec Komitetu, tak iż miałem sposób w ostrych słowach odeprzeć insynuacje Pertinax'a : „si nous avons changé, que dire de la France du temps de l'alliance russe?”

Poprzedniego dnia, w niedzielę, Gabrys na śniadaniu z Tyszkiewiczem i Dłuskim przedstawił projekt układu Litwy z Polską. Projekt ten w ogólnych zarysach został w poniedziałek przez Delegację przyjęty jako podstawa do pertraktacji. Krzyżanowski u nas na śniadaniu uznał za słuszne nasze stanowisko.

Paryż, 5 lutego.

W poniedziałek 3 stycznia byłem u Fredericksa na rue Pilletville. Dopiero w październiku wyjechał z Rosji, gdzie prowadzi interesy górnicze francuskie. Polecenie jakie przywozłem od Karola Poznańskiego wręczyłem dopiero teraz i za poradą kapitana Loranda z wytłumaczeniem zwleknięcia wątpliwościami względem stanowiska Poznańskiego w stosunku do Francji. Wszędzie trzeba się tu natknąć na złą opinię (Francuzów) o Lednickim. Poznański razem z Lednickim uczestniczył, wiosną 1917, w próbie Wojciecha Rostworowskiego pośredniczenia w Sztokholmie pomiędzy Austrią i Rosją. Federicks czyni wrażenie jednego z tych ludzi, którzy działalność finansów francuskich

w Rosji zamierzają przenieść na Polskę. Zaznaczył, iż wpływał wielokrotnie na zdanie sobie przez Francję sprawy z konieczności wspólnej z Polską walki przeciw bolszewizmowi.

Śniadanie z Gauquié u Larue. Gauquié chce mnie koniecznie skomunikować z Rosjanami. Uznaje za bardzo pożyteczne spotkanie z Sawinkowem i proponuje zejście się z Bazyliem, byłym sekretarzem Izwołskiego. Izwołski jest zupełnie skompromitowany, usunięty; sprawy rosyjskie załatwia rada, złożona z Sazonowa, Makłakowa posła w Paryżu, Lwowa, Sawinkowa, oraz ambasadorów Bachmietjewa z Waszyngtonu i z Londynu.

Gauquié uważa, że można i należy mówić z Rosjanami obecnie, wychodząc z punktu widzenia anty-bolszewickiego. Kwestie *sine qua non* dla Rosji są : Ukraina i dostęp do morza Bałtyckiego. W pierwszej kwestii Polska i Rosja winny być solidarne, a co do drugiej, chodzi o znalezienie kompromisu dotyczącego Litwy. Resztę rozmowy wypełniło natrącanie się nad biurami *Quai d'Orsay*. Gauquié jest *désillusionné*.

Posiedzenie w *Commission des Affaires Etrangères* (Izby Deputowanych) z *Comité Exécutif du parti radical et radical-socialiste de France*. Bienaimé, obecny na samym początku, zaraz (potem) się wyniósł. Przywitanie (przez) Ribault'a z wyrażeniem sympatii dla Piłsudskiego i życzeń Francji, by Polska była jednolitą i mocną. Po moim referacie, w którym przedstawiałem konieczność pomocy przeciw bolszewizmowi, stanowisko Polski rozwijającej się już teraz głównej potęgi na wschodzie sprawiedliwe i przyjazne (dla) otaczających ją narodowości, wreszcie sympatie całej Polski bez wyjątku dla Francji, przez Francję niewyzyskane : Ribault raz jeszcze przemówił, napadając ostro na Dmowskiego za stanowisko w sprawie czeskiej. Kramarz powtórzył mu scenę z Dmowskim na Konferencji : „pierwszy raz od czasu zbirów austriackich słyszę taką mowę”, musiał powiedzieć Dmowskiemu. — Sprawdziłem rzecz nazajutrz u Dmowskiego : gdy Kramarz powołał się na umowę z Koalicją w Pradze, Dmowski zażądał jej tekstu ; — pierwszy raz zarzucają mi tu, że kłamię”, odezwał się na to Kramarz. Scena wyglądała więc nieco inaczej. Ribault odwołał się, kończąc, do ducha tolerancji u lewicy polskiej. Zebranie zakończyło się niewątpliwym wzajemnym zbliżeniem.

Obiad z posłem Honorat : myśl Honorat, aby uniwersytet w Nancy założył placówkę uniwersytecką w Warszawie i aby zorganizowano wzajemność wykładów. Poruszam z mej strony ideę solidarności małych narodów na Konferencji jako jedyne racjonalnego wniosku z dotychczasowych narad. „*Puisque mes sympathies personnelles sont toutes pour la France, je vous dirai franchement que je suis à la recherche d'une des grandes puissances qui se chargerait des intérêts des petites, et deviendrait par cela même, sur le continent, une puissance à intérêt général, doublée de la somme des états à intérêts particuliers*”. Honorat, bardzo przejęty, prosił o możliwość zużytkowania tej idei.

Tegoż dnia rano, z powodu otrzymanej wieczorem depeszy Piłsudskiego, postanowiliśmy na posiedzeniu Delegacji, aby Dłuski poszedł do Dmowskiego. Poszedł i nic nie wskórał. Depeszę z 21 stycznia otrzymaliśmy 2 lutego. Tymczasem 26 stycznia, więc w pięć dni potem, przyszedł z Warszawy wprost do Komitetu telegram Paderewskiego, wymagający notyfikacji. Korzystając z tego, Dmowski, wiedząc zresztą dobrze o listach notyfikacyjnych przez nas przywiezionych, rozpoczął zaraz, bez zawiadomienia nas, kroki wiodące do uznania Państwa polskiego przez mocarstwa sprzymierzone. Tym samym zostaliśmy wyłączeni i listy (notyfikacyjne) Komendanta straciły znaczenie.

Paryż, 4 marca 1919.

28 lutego obiad u Poniatowskiego w gronie domowych... Poniatowski zainteresował sprawą odbudowy Polski generała Grethals'a. Jest to Amerykanin, znany przedsiębiorca i inżynier, następnie zaś główny kierownik ekspedycji wojsk amerykańskich przez ocean. Człowiek ten niebawem będzie zdemobilizowany i obecnie już wznawia swoje biuro. Poniatowski zaproponował mu zajęcie się odbudową Polski, specjalnie konstrukcjami kolejowo-komunikacyjnymi z przeznaczeniem na to (większych kapitałów) i rozpoczęcie natychmiastowe studiów w Warszawie celem zbadania terenu, warunków etc. Poniatowski chce umieścić swego najstarszego syna jako sekretarza Grethals'a i prosi o staranie przeniesienia go do Warszawy. Stąd odnowienie stosunków, nieco przedtem zaniedbanych...

Emil Carteron, współpracownik *Revue Parlementaire*: rozmowa o wewnętrznych sprawach polskich, o stosunkach czeskich i ogólnym zarysie granicy. Przysłany (był) przez Bronisławskiego z *République Polonaise*.

Zaszedłem do Steeda, który przed paru dniami został redaktorem *Times'a*. Rozmowa o Gdańsku. Steed konstatuje jako rzecz naturalną, że Polska bez Gdańska nie będzie silnym organizmem. Potem o Namier'ze, na którego Steed patrzy dziś nieco sceptycznie; ze swej strony, wyrażam zdziwienie, że pierwszy raz, rozmawiając w *Foreign Office*, trafić musiałem na przeciwnika Polski, jakim jest Namier.

Rozmowa z Seton Watson'em: wyjeżdża do Londynu, stamtąd do Pragi i do Jugosławii, na dłużej. Ogłosi sprawozdanie o położeniu Polski w *New Europe*. Rozmowa o Namier'ze: „*depuis quelques mois, il est devenu tout à fait fou*”; już z szeregu poprzednich objawów mógł sądzić, że jest przeciwny Polsce; podświadomie odzywa się w nim natura żydowska; „młdzy w swoim czasie udzielili mu poparcia i wpłynęli na utrzymanie go w *Foreign Office*”: — „my” — to chyba Watson i Steed.

Końcowe uwagi objaśniające.

Na notatce z 4 marca urywa się mój dziennik, ale właściwie przestałem go prowadzić 5 lutego 1919. W tej dacie wyjaśniło się, że „Delegacja Naczelnika Państwa” nie złoży wizyt

oficjalnych, ani nie przedłoży rządów państw „Sprzymierzonych i Stowarzyszonych” listów notyfikacyjnych Piłsudskiego. Wraz z tym skończyła się rola Delegacji. Formalnie przestała ona istnieć z chwilą wejścia w życie układu Piłsudskiego z Paderewskim i uzupełnienia Komitetu Narodowego delegatami, wyznaczonymi przez Komendanta. Zostali tedy dokooptowani w ostatnich dniach stycznia czy pierwszych lutego: z dawnych delegatów Dłuski, Sokolnicki, Sujkowski, oraz nowo przybywający Leon Wasilewski, Stanisław Patek, Stanisław Thugut, Stanisław Hempel, Władysław Baranowski, Medard Downarowicz.

Z tą chwilą skończyła się również moja na wpół samodzielna praca polityczna w Paryżu. Oczywiście, po kooptacji do Komitetu, nie mogło być mowy o reprezentowaniu na zewnątrz, czy to wobec delegacji obcych, czy wobec rządów, czy w stosunku do ciał parlamentarnych. Zresztą nasze działanie nie mogło już być w żadnym stopniu owocne: straciliśmy prestiż, spływający na nas z imienia Piłsudskiego, traciliśmy również sympatie lewicy, zyskiwaliśmy tylko odium, związane z pewnych sferach Francji i Anglii z nazwiskiem i działalnością Dmowskiego.

W ogóle, formalności związane z całą tą sprawą były załatwione źle, a nade wszystko niedbale. Komendant Piłsudski miał inne, ważniejsze i cięższe troski na głowie i odniosłem wrażenie, że poświęcił nas, zarówno jak całą akcję paryską, dla rzeczy bardzo pilnych i doniosłych w kraju. Zaważyły zapewne i inne motywy: sabotaż mniej lub więcej świadomy, uprawiany przez niektórych, lewicowych lub mafijnych, urzędników naszej młodej służby zagranicznej: niejedne jego ślady odnajduję w moich notatkach z tego czasu. Tymi tylko względami mogłem sobie tłumaczyć niektóre niezrozumiałe posunięcia, jak na przykład nominację dra Kazimierza Dłuskiego trzecim delegatem Polski na Konferencję Pokojową lub przysłanie dalszych „delegatów”, takich jak Władysław Baranowski: Dłuski był człowiekiem, który się najmniej do tej roli nadawał, Baranowski i inni nic dla sprawy polskiej w Paryżu zrobić nie mogli i nie zrobili. Pierwszy raz poznałem w naszej nowej służbie metody, które taką niszczącą rolę miały w przyszłości odegrać w naszym państwie: załatwianie personalistów z uwagi na układ wzajemny osób albo zrzeszeń, a bez żadnego względu na rzecz samą, na sprawę, jakiej dane osoby służyć miały.

Taktykę Komendanta w stosunku do misji paryskich tłumaczyłem sobie wówczas, jak to wynika z notatki o raporcie ustnym, przekazanym Komendantowi w pierwszych dniach lutego, mniej więcej w taki sposób: „...Komendant zdaje sobie sprawę, że Konferencja (Pokojowa) nie rozstrzygnie kwestyj Europy Wschodniej, że się w ogóle do pewnego stopnia skompromituje. Komendant woli, aby rozmaici (politycy) kompromitowali się w tym interesie, (zaś) abyśmy my prowadzili akcję (w stosunku do) opinii różnych krajów, specjalnie anglo-saskiej i przygotowali grunt dla zmian”. W myśl tych, otrzymanych lub przez

siebie dokończonych założeń, utrzymywałem nadal stosunki z prasą i parlamentarną opinią francuską (Herbette, Honorat, *L'Europe Nouvelle*), nawiązywałem kontakty z opinią angielską (Steed, Seton Watson, korespondenci), a wreszcie wszedłem w regularny kontakt z rzeczoznawcami delegacji anglo-saskich, w pierwszej linii z profesorem *Harvard University* R. H. Loredem, ekspertem polskim delegacji amerykańskiej, z profesorem z Oxfordu Paton'em, ekspertem delegacji brytyjskiej, a przede wszystkim z Kanadyjczykiem W. A. Rose, bliskim delegacji brytyjskiej, a od tych paryskich czasów stałem i wiernym przyjacielem Polski. Kontakty te utrzymywałem nadal w wypełnianiu mych, od połowy lutego, nowych funkcji, jako sekretarz generalny delegacji polskiej na Konferencję pokojową.

Michał SOKOLNICKI,
Ambasador R.P.

P R Z Y P I S Y

Tekst Dziennika zachowałem na ogół bez zmian, prócz drobnych poprawek stylistycznych. Słowa dodane dla jasności, lub dla uzupełnienia zdań, umieściłem w nawiasach.

Do 6. 12., ustęp pierwszy

W porozumieniu z inż. Ignacym Mościckim, którego spotkałem w obłążonym Lwowie, syn jego Michał został mi przydzielony w charakterze sekretarza; on też zameldował mi 26. 11., zaraz po przyjeździe, adiutantowi Komendanta, rotm. Bolesławowi Wieniawie-Długoszewskiemu. Z kolei Wieniawa wesoło meldował: „Komendancie, *Michel* przyjechał!”

Do „Uwag objaśniających”, ostatnie ustępy:

W zachowanym przeze mnie „Protokole Delegacji” z 28. 12. w Insbrucku znajduje się ustęp: „p. Sokolnicki komunikuje o wyborze przez Komendanta czterech delegatów; prezesem mianowany Dłuski, mamy prawo kooptować w Paryżu p. Hubickiego”.

Wynika stąd, że ostatnie i definitywne decyzje Komendanta, dotyczące ukonstytuowania Delegacji, otrzymałem ustnie w owej długiej rozmowie, odbytej w nocy, na dworcu krakowskim, w wagonie salonowym Komendanta.

Do 6. 1. ustęp trzeci:

Z p. Władysławem Mickiewiczem i jego domem łączyły mnie z poprzednich paryskich lat najmiłsze stosunki. Niechętnie wyraził o mnie, w związku z Legionami (w liście do Stanisława Zielińskiego?) wywołały ostrą moją replikę w obronie Legionów.

Ustęp końcowy:

Z inicjatywy p. W. A. Rose, Kanadyjczyka, już wówczas szczerze życzliwego Polsce, odbyło się spotkanie, na którym stronę brytyjską reprezentowali delegaci na Konferencję pokojową Sir Esme Haward i Sir Valentine Chiról, oraz dyrektor *Intelligence Department* w *Foreign Office*, J. Headlam Morley. Na zebraniu tym jasna stała się dla mnie tendencja pewnych kół angielskich wyłamania nas spod jednostronnego kręgu wpływów Francji i przeciwstawienia Delegacji Komitetowi Narodowemu. Sugrowano m. in. przyjęcie naszej Delegacji przez króla Jerzego w Londynie.

Do 8. 1., ustęp drugi:

Kpt. Lorand i „*Madame Lalande*” (pani Bronka) działali z ramienia *Deuxieme Bureau* francuskiego sztabu generalnego. Zarówno ja, jak Wieniawa, zetknęliśmy się z nimi w Misji Wojskowej generała Laverne, w lecie 1918 w Moskwie. Misja zajmowała podówczas wytworny dom na Arbacie, własność rodziny Klaczkińskich. „Pani Bronka” — Bronisława ur. Klaczkin, wówczas jeszcze za Leonem Berensonem, adwokatem z Warszawy, później druga żona Wieniawy-Długoszewskiego.

Ustęp czwarty:

Ks. Andrzej Poniąkowski, potomek z linii bocznej, ks. Kazimierza, zmarłego w 1800 brata Stanisława Augusta. Ur. w Paryżu, w 1864, żonaty z Amerykanką, Elisabeth Helen Sperry, prowadził dom otwarty i miał rozległe stosunki w świecie polityki i finansów. Por. *Prince Poniąkowski, D'un siècle à l'autre* (Paris 1948).

Do 16. 1., ustęp trzeci:

„Obermafia” nazywaliśmy potocznie w Konwencie spotkania, jakie się zaczęły odbywać wiosną 1918 (w kwietniu lub maju) między reprezentantami organizacji „a”, a bliżej niewymienioną organizacją tajną pravicową, za którą stała Liga Narodowa. W zebraniach tych przedstawicielem naszego zespołu był Leon Wasilewski, drugą zaś stronę reprezentował profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Stefan Surzycki. W ciągu rozmowy z Dmowskim nie mogłem być pewien, czy zna on te kulisy i czy rewelacja moja nie wywołał tarę w Stronnictwie Narodowym, mogących bardziej jeszcze skomplikować sytuację.

Porozumienie „Obermafii” odegrało swoją historyczną rolę. Surzycki i Wasilewski udali się latem 1918 do Pragi, gdzie odbyło się zebranie konspiracyjne z czeskiimi i serbskimi organizacjami podziemnymi. Porozumienie wówczas zawarte przyczyniło się, równoległe do słynnej akcji Clemencau przeciw Czerninowi, do ostatecznego rozbitcia monarchii austro-węgierskiej.

Do 23. 1., ustęp trzeci:

W powyższej notatce z rozmowy z *Charge d'affaires* St. Zjednoczonych, p. Dawsonem, człowiekiem interesującym i wybitnym, opuszczony został epizod o Paderewskim. Dawson radził, aby Polacy pamiętali o znaczeniu, jakie Paderewski posiada w Ameryce — jesteśmy narodem zmateralizowanym, mówili, i ludzie u nas dbają nade wszystko o swój interes; tym większą jest rola i znaczenie człowieka bezinteresownego, jeśli się taki wśród nas znajdzie; otóż Paderewski zasłynął w Ameryce jako człowiek bezinteresowny; niech panowie pamiętają o tym i doceniają ten czynnik opinii naszej.

Do 25. 1., ustęp drugi:

Reakcja Sazonowa odnosiła się do uchwały rady wielkich mocarstw na Konferencji pokojowej, powziętej 22. 1. na wniosek Prezydenta Wilsona, a dotyczącej zaproszenia wszystkich ugrupowań rosyjskich, włącznie z rządem bolszewickim na wspólną Konferencję (Prinkipo).

Ustęp czwarty:

Alfred Tyszkiewicz, zamieszkały we Francji, ordynat na Birzach, żonaty z Elżbietą ks. Radziwiłłówną, ordynatówną nieświeżką, córką Marii Róży Branickiej z domu („księżnej Bichette'y”). W Paryżu, w czasie Konferencji, odgrywał podwójną, nienaturalną rolę, z jednej strony przynajmniej na gronie swej rodziny — Branickich, Radziwiłłów, Potockich — wraz z młodą żoną towarzystwo polskie; z drugiej, występując jako pośrednik, dość lekceważony zresztą, tych bardzo nieciekawych przedstawicieli Litwy, którzy się wówczas zbierali w Paryżu.

Ustępy końcowe :

Honorat, literat i parlamentarzysta francuski, członek Komisji spraw zagranicznych, zajmował ważne stanowisko w *Grand Orient de France*. Człowiek głęboko ideowy, rozumiał swą rolę jako rodzaj posłannictwa moralnego i wyróżniał się tym samym wśród sfery polityków i publicystów francuskich. Pierwszy — równolegle z wyróżniającym się wśród dyplomatów Franklin Bouillon'em — zwrócił on moją uwagę na ciężkie wewnętrzne problemy zwycięskiej Francji : — daninę krwi — około miliona zabitych — oraz daninę duchową — utratę najlepszej młodzieży, sił intelektualnych, ludzi ofiarnych i talentów wybitnych. W tym świetle przyszłość Francji i jej rola istotna w stosunkach międzynarodowych stała dla mnie pod znakiem pytania.

Do 27. 1., ustęp pierwszy :

Tadeusz Gasztowt, syn działacza emigracyjnego we Francji Wacława, wnuk Maurycyego, powstańca żmudzkiego z 1831, wytrwały propagator przyjaźni polsko-tureckiej, autor *La Pologne et l'Islam* (1907), *La Pologne et la Turquie* (w *L'Est Européen*, 1925), zmarły w 1936 w Stambule.

Do 5. 2., ustęp drugi

Do spraw rosyjskich odnosi się również notatka o raporcie ustnym, wysłanym w początku lutego do Komendanta : „pojawiają się na Konferencji (tendencje) grupowania małych narodów, specjalnie (ze strony) Rumunów. Tendencje te Dmowski lekceważy lub psuje. Uważam za jedyną drogą politykę polską (politykę) wolnej ręki i robienie na własną rękę pewnych umów z sąsiadami w szczególności z Rumunią. Obawiam się jednak sojuszu niemiecko-rosyjskiego — i to nie tylko bolszewickiego, ale i reakcyjnego. Potwierdzenie tych obaw miałem w rozmowie z Sawinkowem... Te koła rosyjskie — Sawinkow — liczą na Syberię, nawet nie wykluczają monarchii, dla nas myślą o granicach niemożliwych do przyjęcia i prowadzą konsekwentnie do „Litwy”. W tejsze notatce wypowiadałem się zasadniczo za utrzymaniem kontaktów z Rosją i wspominam o rozmowie Hubickiego z generałem rosyjskim Gołowinym.

Ustęp trzeci :

Posiedzenie w Komisji spr. zagr. było zapewne tym, które mi zostało zaproponowane przez posła Boussonot'a (vide notatki z 27. 1.). Jednakże najwidoczniej zamierzona konferencja o charakterze oficjalnym, z udziałem reprezentantów obu odłamów polskich nie doszło do skutku i zamiast niego odbyło się spotkanie Komitetu Wykonawczego większości parlamentarnej — *parti radical et radical-socialiste* — z reprezentantami naszej Delegacji.

Ustęp końcowy :

W raporcie przekazanym 4. 2. drogą ustną przez kpt. Zbierańskiego znajduje się ustęp : „rozmowa z Dmowskim, który obstaje przy tem, że najpierw nastąpić musi uznanie państwa polskiego, a następnie dopiero można notyfikować jego istnienie. Łatwiej przez Paderewskiego niż przez Głowę Państwa; radzi nie przez listy Komendanta. Sprawa ta zupełnie zawieszona. Natomiast Dmowski zgodził się : 1) wysłać listy do czterech ministrów spraw zagranicznych w kwestii przyjęcia Dmowskiego i Dluskiego, 2) Dluski i ja będziemy przyjęci przez Komisję Ośmiu jadącą do Polski...”

Wkrótce po tym ostatnim epizodzie — zupełnym niepowodzeniu Dluskiego w rozmowie z Dmowskim — wyjechałem na krótki pobyt do Londynu. Misja moja miała jednak charakter czysto informacyjny i o składaniu listów notyfikacyjnych, ani kontynuowaniu kontaktów oficjalnych nie było już mowy. Po powrocie z Londynu objąłem w Paryżu funkcje Sekretarza generalnego Delegacji polskiej na Konferencji pokojowej.

Kronika kulturalna

O lekkości

Pierwsze lato po śmierci Dufy w Paryżu przeszło pod znakiem wystaw jemu poświęconych.

W Musée de l'Art Moderne zbiorowa wystawa rozplanowana jeszcze przed śmiercią przez samego artystę : ponad 250 płócien, tkaniny, ceramika.

W Galerie Corréa parę dziesiątków obrazów Dufy, szczęśliwie dobranych.

U Charpentier pokaz „największej w świecie” litografii-kolorowej reprodukcji jego ogromnych rozmiarów dekoracji „Wróżki Elektryczności” z Międzynarodowej Wystawy w Paryżu w 1937 roku.



„Zaczynaj zawsze od wrażenia, jest niemożliwe by było banalne*”)...” — pisze młody zakochany St.-Exupéry w mądrych, uroczych i smutnych listach do przyjaciółki, która próbuje zawodu literackiego, broniąc ją przed poprawną abstrakcją banału.

Nie ma wiedzy, nie ma rzemiosła, które by mogło zastąpić przeżycie, uratować od banału jeżeli artysta reaguje, odczuwa banalnie. Spojrzenie malarza, pisarza jest stopione z jakością jego odczuwania, odruchowe wartościowanie, doświadczenia życiowe, męka i radość — wszystko *działa* na spojrzenie. Sam akt pisania, malowania jest już zagadnieniem wtórnym, może on wrażliwość pogłębić, nawet wobec takiego czy innego faktu czy przedmiotu wywołać, ale na dnie arcydzieła jest zawsze przeżycie intymne. To przeżycie poprzez „form czary” do nas dociera i to jest cud sztuki. Dlatego St. Exupéry tak nalegał na to, że artysta musi przede wszystkim *żyć* a potem dopiero pisać, dlatego patrząc na obrazy przedśmiertne Dufy'ego, tego pół sparaliżowanego starca, jestem pewny, że żył pięknie. Nie

*) Antoine de Saint-Exupéry : *Lettres de jeunesse*, 1923-1931 (Gallimard, 1953).

w znaczeniu które temu słowu nadałby esteta. Pięknie w znaczeniu odwagi, świadomości, intensywności, w sensie *amor fati*, przyjętego i przezwyciężonego cierpienia. Inaczej czyżby doszedł do takiej radości?



— Niech pani idzie na wystawę Dufy'ego. Zobaczy pani piękne obrazy — mówię pani Verdurin, mecenasce.

— Chce pan powiedzieć „ładne” — poprawia mnie mecenaska.

— Nie, *piękne* — nalegam.

— Niech pan nie przesadza, wdzięk Dufy'ego jest bardzo... lekki — mówi dama kategorycznie.

Lekki! Ten stary człowiek latami ciężko chory na deformujący artretyzm, wożony w wózku, przerzucający pędzle podczas malowania z ręki do ręki (już za czasów akademickich nauczył się w obronie przed własną wirtuozją malować lewą ręką), bo ręce tak bardzo go bolały, leczony Cortisoną w Bostonie dwa lata przed śmiercią, zdążył jeszcze dać nam notatki magiczne swych wrażeń niebieskich, różowych mostów i drapaczy w New Yorku i statków w czarnych i zielonych zatokach portowych.

Lekkość, drogocенność jego barw, jego arabeski, uśmiech i radość młodzięcza. Lekceważenie takiej lekkości ma oznaczać głębie?

Jak długo Dufy szukał, pracował aż doszedł do tego radosnego wyrazu świata, widzimy na jego zbiorowej wystawie. Ile wpływów, które przeżywał i wyżywał: fauvizm, cézannizm, kubizm. Dorival, w katalogu wystawy w Musée de l'Art Moderne, pisze o wielkim obrazie z 1914 roku (kobieta w czerwonym kostiumie kąpielowym na szafirowym tle), że jest to ostateczne jego osiągnięcie okresu cézannowskiego. Kreska i jakby mechaniczna kompozycja, zestawienia kolorystyczne wymuszone — ani rysunek ani kolor nie stwarzają uczucia, że powodem tego obrazu było żywe, bezpośrednie wrażenie, czy długo wynoszona wizja. Jeżeliby taki jedynie był wpływ Cézanne'a — byłby opłakany. Ale wpływ ten widzę w prymacie plamy barwnej, w konstrukcji obrazów artysty. U Dufy'ego jak i u Cézanne'a barwa nigdy nie jest osłabiona przez konstrukcję płótna, przez arabeskę, wszystkie inne elementy obrazu jedynie ją wzbogacają; nie rysunek przy tym, nie walor, ale barwa są zawsze nie tylko punktem wyjścia ale i dominantą obrazu. To budowanie plamą właśnie ma źródło chyba cézannowskie.

Ale w obrazach Dufy'ego rysunek postaci, drzew, domów przeważnie nie zbiega się ściśle z plamą. Dufy sam twierdził, że widzi *przedtem* plamę, potem kontur i dlatego zaczyna od plamy barwnej. Arabeska rysunku była jakby dalszym opowiadaniem o tym co widział. W tym nakładaniu rysunku na plamę, w tej autonomii plamy i rysunku Dufy zrywa z Cézanne'm, staje się za to bliski rysunków dziecka.

Tego lata nie mogłem w żaden sposób wytłumaczyć pięcioletniemu Bertrand, gdy malował kolorowe samochody, konieczność z przyczepką („avec une remorque”), że kolor nie powinien wylewać się poza kontur. Uznał to z mojej strony za jeszcze jedno nieistotne czepianie się dorosłych. U Bertrand, jak u Dufy, plama i kreska grały na równi i jakby wcale nie potrzebowały pokrywać się bez reszty.

U Dufy'ego na płaszczyznach zielonych mamy niezliczone listki drzew i nawet żółtą trawę, na różem i żółcią zalanych polach widzimy później dorysowane pędzlem kłosa. Na brązowe czy kobaltowe tło rzuca Dufy plamę różową, a na niej dopiero rysuje pędzlem akt kobiecy. Tak samo maluje portrety wielkich ludzi na przestrzeniach różnobarwnych i śpiewnych swej potężnej wielometrowej „Elektryczności”. Część tylko tego kolosalnego fresku zmieściła się w ogromnym hallu Musée de l'Art Moderne. Ta dekoracja zmusza do zastanowienia. Już nie mówię o nowoczesnej przeważnie okropnej dekoracji teatru w Palais Chaillot, ale nawet dekoracje Vuillarda w Théâtre des Champs Elysées robią wrażenie malarstwa stalugowego, przeniesionego na ścianę i niedekoracyjnego w porównaniu z Dufy. Ta dekoracyjność, w znaczeniu już z daleka działających bogactw, śpiewnych płaszczyzn barwnych, jest połączona z jedynym w swoim rodzaju w naszych czasach darem *opowiadania*, z najbardziej swobodnym powrotem do tego co moja generacja z lekceważeniem, jeśli nie pogardą nazywała „literaturą”. Kiedy Dufy nam pokazuje pędzlem jaką w Deauville miał pracownię zalaną ultramarynowym blaskiem morza, jak nad zielonymi kasztanami prowincjonalnego placu fruwają białe i czarne gołębie, jak dotarli ludzie poprzez wieki nauki do odkrycia elektryczności, jak pięknie i zabawnie wyglądają pod żyrandolami panie w brylantach i trenach kolorowych, a panowie w szafirowych frakach (Cassou mówi o ironii, nie widzę jej śladu) — Dufy naprawdę *opowiada*. W tym opowiadaniu jest wiele wesołości i, o zgrozo, nie ma śladu motywów socjalnych, dydaktycznych, czy nawet dramatycznych. W tej swobodzie i maestrii opowiadania Dufy jest znowu bardzo daleki od Cézanne'a.

Mieliśmy u nas jednego malarza, który miał podobnie świeży i autentyczny dar opowiadania pędzlem, był nim Zygmunt Waliszewski. Nawet ówczesny „nacisk opinii” jego najbliższych przyjaciół-malarzy, wrogich wszelkiej „literaturze” w malarstwie, nie zdołał — na szczęście — go od tego opowiadania powstrzymać. Opowiadał o aniołach, podających mu wśród kwiatów paletę, o wozach z Żydami jadącymi na jarmark na tle ceglanych domów, o pierzynach wywieszonych na parkanach wsi polskiej, o przygodach Don Kichota, czy o łowach Artemidy.



Sądząc z retrospektywy zdaje mi się, że dopiero koło 1925 roku Dufy staje się naprawdę sobą (ma on wówczas około 50 lat) i do ostatnich dni przed śmiercią wyraża coraz bezpośredniej,

ściślej i może coraz pogodniej wizję życia którą w sobie nosi. Wśród pejzaży z morzem i palmami, orkiestr, portretów, wyścigów i statków mamy także martwe natury, chociaż jest ich względnie niewiele. Pamiętam szczególnie jedną z nich: na pozłacanej, rzeźbionej konsoli Louis XV leżą dwie cytryny na talerzu. Rysunek cytryn znowu się nie zbiega z plamą. Cóż za dźwięczna szlachetność żółci i chińska lekkość i świetność arabeski rysunku! Nawet martwe natury Matisse'a w tymże Musée de l'Art Moderne zdały mi się przy niej ciężkawe.



Tak się zdarzyło, że po obejrzeniu wystawy wróciłem po raz któryś na wystawę witraży o której w n-rze 71 „Kultury” pisał Jan Torosiewicz.

U dołu witrażu w Reims (1190 r.) jest kielich i czaszka — zestawienie kolorów czerwieni, ultramaryny, butelkowej zieleni i czerni do tego stopnia rouault'owskie, że cały Rouault zdał mi się pastiszem. Wrażenie niesłuszne, bo pokrewieństwo tego malarza ze światem tamtych witraży jest głębokie, wyrasta z pokrewnych wizji życia. Ale uderzyło mnie nagle — to nie paradoks — że blask kolorytu Dufy'ego jest bliższy witrażowi niż u Rouault. Dufy nigdy, jak Rouault, nie powtarzał witrażowej gamy, jego opowiadanie niewymuszone i pogodne nie ma wagi surowej rzeczywistości opowiadań religijnych na witrażach, ani takiej logiki kompozycji witraży z Bourges, Reims, St. Rémy czy Walbourg. Czyż muszę dodawać, że wizja świata Dufy'ego jest powierzchowniejsza, bardziej naskórkowa, ale cóż, jeżeli wbrew temu podobieństwo efektów barwnych widzowi się narzuca.

Na małym witrażu Zestania Ducha Świętego (Bourges 1406 r.) postacie są narysowane z tą ekspresyjną „dziecinną” rzeczywistością Dufy'ego, i tu (z powodów wynikających prawdopodobnie z samej techniki witrażowej) rysunek jest na plamie kolorowej i z tą plamą, która go opływa, nie zlewa się. Strugi czerwonych promieni świecą nad twarzami Apostołów w skrótach, narysowanymi na jasnych plamach szkła.

Profil Marii Magdaleny klęczącej u stóp Krzyża (Walbourg 1406 r.) to znów efekt czarnej kreski rysunku na bladej żółci szkła. To znowu wrażenie jak u Dufy'ego podstawowej kompozycji plamą, na której potem rysunek został nałożony by opowiedzieć nam treść.



Wrażenia, przeżycia swego długiego i radosnego życia Dufy nam opowiedział z siłą i blaskiem takim, że wspominając witraże zdają się nam malowane na szkle prześwieconym słońcem.

Czy wolno lekceważyć taką lekkość?

Józef CZAPSKI

Wystawy paryskie

Po wystawie architektury brazylijskiej w Muzeum Sztuki Współczesnej oto znów przyjechała z Brazylii wielka wystawa: arcydzieła malarstwa z muzeum w Sao Paulo. Ta zresztą nie pokazuje nam nic specyficznie brazylijskiego, jej przedmiotem są arcydzieła europejskie od 16-go wieku (Memling i Montegna) począwszy a na impresjonistach i Modiglianach skończywszy. Na wystawie pokazano „wszystkiego” 64 obrazy. Dla ludzi lubiących oglądać obrazy nawet tego jest oczywiście za dużo; na dobrą sprawę wystawy powinny się składać z jednego jedynego obrazu, wtedy tylko można by sobie powiedzieć, że ma się o tym obrazie jakie takie pojęcie. Ewentualnie można by dozwolnić wystawy zawierające dzieła jednego artysty. Z tym wszystkim takie konfrontacje przeszłości z teraźniejszością (lub prawie-teraźniejszością) nie są niepożyteczne. Przeszedłszy przed portretem pędzla Jean-Marc Nattier (1685-1766) zatytułowanym „Madame Infante, Louise Elisabeth de France figurująca żywioł ziemi”, a obok tegoż malarza „Madame Henriette figurująca żywioł ognia”, „Madame Adelaide figurująca żywioł powietrza” i wreszcie „Madame Victoire figurująca żywioł wody”, a następnie przed obrazami Delacroix „figurującymi” różne boginie antyczne i przed portretami Cézanne'a nie figurującymi już nawet osób portretowanych tylko bryły, wpadłem nagle na żywą ludzką twarz, w berecie jakim nosili żołnierze dywizji pancernych, perkaty nos, zadowolona mina, i ze zdziwieniem (acz nie bez pewnej satysfakcji) stwierdziłem, że jest to autoportret Rembrandta (miał wtedy lat 28). Ten kontrast nigdy dotąd nie uderzył mnie z taką siłą; toteż obejrzałem raz jeszcze całą wystawę pod tym właśnie kątem widzenia: jest w tym coś zastanawiającego, że w epoce w której człowiek nie jest jeszcze centrum świata (jest nim Bóg) malarstwo jest ludzkie, a przestaje nim być w miarę jak człowiek staje się centrum świata. Może ktoś odpowiedzieć, że Memling, Holbein i Mantegna (by przytoczyć tylko malarzy pokazanych na wystawie) to przedstawiciele renesansu, a więc epoki gdzie człowiek gra już pierwsze skrzypce. To uproszczone pojęcie renesansu jest rozpowszechnione ale niesłuszne. Epoki nie urywają się raptownie, z uderzeniem godziny dwunastej. Średniowiecze trwało jeszcze w wieku 16-ym i 17-ym, a średniowieczny mnich Luter jest równie charakterystyczny dla renesansu jak humaniści zajmujący się... czarami. Bardzo ciekawym przykładem średniowiecznej kompozycji obrazu jest „Markiza Lomellini” Van Dycka na omawianej przez nas wystawie. Obraz ten, namalowany między 1621 a 1626, przypomina owe obrazy późno-średniowieczne, na których ofiarodawca gra coraz większą rolę, ale których cel jest

wciąż jeszcze religijny : ofiarodawca klęczy i ma oczy zwrócone ku niebu. Być może to właśnie decyduje o pokrewieństwie portretu Van Dycka z malarstwem średniowiecznym, byłoby to pokrewieństwo „ideologiczne” : Van Dyck przedstawia modlącą się rodzinę (a przynajmniej modlące się dzieci, markiza Lomellini z tyłu za nimi przypomina raczej owe święte patronki polecające Bogu Ojcu lub Chrystusowi swego protegowanego).

Po przeczytaniu obszernej przedmowy do katalogu doszedłem do przekonania, że ten kontrast, o którym mówiliśmy wyżej, nie jest może przypadkowy. Na 64 obrazy pokazane na wystawie blisko połowa to impresioniści (poza nimi są zresztą wspaniałe obrazy takich mistrzów jak Goya, Velasquez, Tycjan, Poussin, Franz Hals i inni wymienieni już wyżej). Otóż muzeum, które posiada wszystkie te skarby i zajmuje 4 piętra ogromnego bloku — odpowiednika nawiasem mówiąc naszego „Domu Prasy” — zostało założone w roku 1947 ! Założył je zaś dyrektor owego 15-piętrowego domu prasy, senator Chateaubriand odstępując na ten cel najpierw jedno a potem trzy dalsze piętra. Przyjaciele senatora z całej Brazylii (jak dobrze jest mieć tylu przyjaciół !) ofiarowali — jak dowiadujemy się z przedmowy — dalsze dzieła. Lista około 300 ofiarodawców zawiera też dobrą czterdziestkę różnych banków i przedsiębiorstw przemysłowych.

Muzeum więc wzrosło w prawdziwie amerykańskim tempie ; dzieją się też w nim rzeczy iście amerykańskie : obok wystaw, w muzeum mają miejsce kursy malarstwa, rzeźby itd. dla dzieci i dorosłych, dwuletnie kursy filmowe, prezentacja mód, koncerty a nawet balet, wszystko w salach zawierających ponadto obrazy czy rzeźby, a urządzonych, jak można sądzić z fotografii, z gustem i z fantazją nie przypominającą niczym naszego starego Luwru. „Muzeum huczy w dzień i do późnego wieczora jak ul”, a huk maszyn rotacyjnych na sąsiednich piętrach bynajmniej w tym nie przeszkadza, jakoby.

Profesor Bazin, który jest autorem katalogu, zauważa, że podobnie jak w swoim czasie wielkie kolekcje amerykańskie tak i muzeum w Sao Paulo nie zawiera wielu pejzaży. Amerykanie — zdaniem jego — poznawszy naturę tamtejszą, która zawsze grozi wyrwaniem się z korbów, nie reagują na naturę „oswojoną” i uporządkowaną, którą widzimy na naszych pejzażach. Być może jest w tym nieco prawdy — przypominam sobie dwa krajo-brazy brazylijskie na wystawie pejzażu niderlandzkiego, malowane zresztą przez drugorzędnego malarza holenderskiego z 17-go bodaj wieku. Uderzyło w nich przede wszystkim oszołomienie i zachwyt wobec wszystkich nieznanych dotychczas dziwów przyrody i próba umieszczenia ich, przynajmniej częściowo, w ramach znanych autorowi kategorii formalnych. Na wystawie nie pokazano zupełnie malarstwa brazylijskiego, choć muzeum w Sao Paulo posiada ten dział — a szkoda, bo takie na przykład malarstwo meksykańskie (które mieliśmy okazję oglądać przed półtora rokiem) jest ciekawe przez cały czas swego istnienia od 16-go wieku począwszy i wykazuje obok łączności ze sztuką pre-kolumbij-

ską ciągłość filiacji europejskiej. Dopiero obejrawszy malarstwo brazylijskie można by osądzić czy Brazylijczycy przerazili się nieokiełznanej przyrody i uciekli przed nią do portretu (taki wniosek zdaje się nasuwać z tego co mówi prof. Bazin zaznaczając predylekcję Brazylijczyków dla postaci ludzkiej, dla portretu, a jednocześnie brak zainteresowania dla naszej „uporządkowanej” natury). Ale jak wytłumaczyć wtedy, że większość portretów, którymi zainteresowali się twórcy muzeum w Sao Paulo, jest tak nie-ludzka ? I czy jest tylko przypadkiem, że jedyne pejzaże pokazane na wystawie to dwa pejzaże Cézanne’a, gdzie natura nie jest już ani okiełznana ani nie, bo już nie jest naturą, tylko abstrakcją natury ? Wydaje mi się, że trzeba szukać głębiej niż Bazin i że wystawa z Sao Paulo jest wcale niezłą ilustracją tego, co można by nazwać dla uproszczenia „wyjaśnieniem psychologicznym” : starając się uciec od koszmara otaczającej ich dżungli w uporządkowany świat postaci ludzkiej Brazylijczycy odnaleźli dżunglę w człowieku. Co dziwniejsze i co bardziej niepokojące, odnaleźli ją w malarstwie europejskim. Ale może nie jest to takie dziwne, a w każdym razie nie przypadkowe. Dżungla, od której uciekali Cézanne i Van Gogh w „uporządkowany” świat malarstwa i którą nieświadomie w nim odtwarzali, to była dżungla stosunków ludzkich w pozytywistycznej Francji końca 19-go wieku. Prof. Bazin podkreśla w przedmowie, że Brazylia zachowała nietknięty ów „progressisme militant” — bojową wiarę w postępek, która charakteryzowała „wielki wiek pozytywizmu”, wiek 19-ty. To że ojcowie abstrakcjonizmu podobają się pozytywistom nie jest już chyba przypadkiem i nie dziwi. Należy zresztą być wdzięcznym, że pozytywiści brazylijscy zatrzymali się na owym stadium dziewiętnastowiecznym, stadium „sztuki dla sztuki”. Następne bowiem stadium pozytywizmu : dwudziestowiecze, to jak wiadomo owo, w którym „les positivistes désabusés” albo już niczego nie chcą albo wymagają od swych malarzy oficjalnego optymizmu wyrażającego się w równie nie-ludzkich portretach generalissimów o złotych pagonach i radosnych robotnic.

Jan TOROSIEWICZ

“Odmrożenie” skarbów wawelskich

Mieszkam w Hôtel Lambert. Przeszło sto lat i kilka tysięcy mil dzieli nas wprawdzie od paryskiej kwatery księcia Adama, ale przypadek zrządził, że nazwa hotelu w Quebecu pisze się tak samo. I może dla tej nazwy, mimo, że hotel nie grzeszy wykwinem, zatrzymują się w nim Polacy, których przywołuje do tej prowincjonalnej stolicy publiczna sprawa wielkiej wagi.

Jest nią opieka nad skarbami zbiorów wawelskich. Jak wiadomo bowiem po „Szalonej ewakuacji” z Polski w 1939 roku znalazły one tymczasowe schronienie na ziemiach Kanady. Zaraz po wojnie rozpoczęła się o nie walka między uznanym przez rząd kanadyjski reżimem warszawskim, a przedstawicielami wolnej Polski na emigracji. Ten rozdział powojennych dziejów skarbu czeka jeszcze na pełne opracowanie.

Dzięki osobliwości federalnego ustroju Kanady i autonomii władz prowincjonalnych premier Quebecu, który jest zarazem naczelnym prokuratorem tej prowincji, był w możności rozstrzygnąć bezapelacyjnie problem, grożący komplikacjami międzynarodowymi. Gra o tytuł do opieki nad skarbami wawelskimi obfitowała w niejeden podstęp.

Szybka akcja i śmiała przedsiębiorczość byłego posła w Ottawie, Wacława Babińskiego i wiernego kustosa zbiorów, Józefa Polkowskiego, uniemożliwiła reżimowi warszawskiemu położenie ręki na tych zbiorach. Nieuznawani oficjalnie, ale tym niemniej faktyczni przedstawiciele rządu na emigracji pełnią nadal swój obowiązek opieki nad tym reprezentacyjnym obiektem narodowego posiadania, podniesionym w ten sposób do symbolu insygnii polskiej suwerenności.

„Walka była długa, podstępna i gorzka”, pisze kanadyjski tygodnik MACLEAN's w niedawno ogłoszonym artykule o polskich skarbach. „Została ona zakończona niespodzianą interwencją premiera Quebec'u. Oficerowie jego policji wzięli w posiadanie skarb z miejsca, gdzie był schowany przez Polaków londyńskich i pod nosem federalnej policji przenieśli go do Muzeum Prowincjonalnego. Duplessis, nacjonalista quebecki, upiera się przy zbiorach w szczęśliwym przekonaniu, że jego wrogowie w Ottawie wzmocniliby tylko jego pozycję, gdyby ośmielili się nakazać mu wydanie skarbów...”

Z polskiej strony kulisy dyplomatycznych, politycznych i personalnych zabiegów jakie doprowadziły do wyżej opisanej sytuacji nie były dotąd ujawniane. Nie chciano przedwczesnym odsłanianiem rąbek tej pasjonującej historii narażać kanadyjskich władz na dodatkowe kłopoty. Skoro jednak prasa kanadyjska sama dzisiaj występuje z rewelacjami na ten temat, dotychczasowe względy dyskrekcji przestały obowiązywać. Mamy obecnie swobodę otwartego mówienia o tym co się działo i dzieje. Całą sprawę otaczał dotąd mur ciemności i tajemnicy, równie szczelny jak grube ściany i pancerne drzwi schowka, w którym skarby zostały zamknięte. Obecnie po raz pierwszy dokona się wylotu w murze, który odgradzał zbiory od wolnego świata. Będzie to dziełem i zasługą fotografa, który uzyskał od premiera Duplessis pozwolenie na zrobienie zdjęć. Dobijali się o to prawo bezskutecznie zarówno amatorzy sensacji jak i znawcy sztuki.

Tyle wiemy. Powołanemu do Quebecu Polkowskiemu, bez którego obecności nikt polskich zbiorów tutaj nie ruszy, towarzyszył od długiego już czasu w okresowych jego lustracjach i pracach konserwacyjnych, artysta-malarz Stefan Kątski, ten

sam który zdobył sobie ostatnio szeroki rozgłos swoją niezwykłą i piękną polichromią kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej w Montrealu. Jedzie z nim także i dzisiaj.

Jako jedyny spoza grona stróży i opiekunów wawelskich skarbów otrzymałem zaproszenie, by być dodatkowym świadkiem pierwszego ich odsłonięcia w celu dokonania zdjęć fotograficznych.



Szef prowincjonalnej policji, p. Walter Duchesnay, robi na pierwszy rzut oka wrażenie dobrodusznego jegomościa po sześćdziesiątce. Ale jego dobrodusznosc nie idzie w parze z „pocziwością” w przyjętym znaczeniu tego słowa. Wprost przeciwnie. Posiada on filozoficzną pogodę w ocenie zjawisk, intryg i ludzi a chociaż wykształcenie dała mu raczej praktyka życia niż szkoły, wrodzone poczucie humoru pozwala mu dostrzegać także śmieszność zjawisk i zdarzeń, w których grał nieobojętną rolę. Te cechy czynią z pana Duchesnay doskonałego kompana, gotowego dziś jeszcze do bitki czy do wypitki, zależnie od okoliczności.

W ostatnim etapie kanadyjskich dziejów skarbów wawelskich grał on ważną, żeby nie powiedzieć decydującą rolę. Znajdują się one dzisiaj pod jego bezpośrednią ochroną w Quebecu. Sam je ze swoimi ludźmi przenosił i sam zabezpieczył. Przyjechał po nas jego samochód; jego oficerowie będą nam towarzyszyć przez cały czas pobytu w Quebecu; oni też pomagają w rozpakowywaniu skrzyń, w noszeniu i rozkładaniu ich zawartości; oni wreszcie dniem i nocą stoją na straży zamkniętych dla publiczności sal Muzeum, tak długo dopóki każdy przedmiot należący do zbiorów nie zostanie znowu zapakowany i przeniesiony z powrotem do zabezpieczonego schowka.

Duchesnay z ramienia premiera Duplessis pełni funkcję naszego gospodarza w Quebecu. Sam zawsze po cywilnemu, w świącie ośmiu oficerów w mundurach, wprowadza nas do Muzeum. Z dolnej sali ciasny korytarz prowadzi do wnęki w której dalsze przejście zagrodzone jest stalowymi drzwiami. Jeden Duchesnay zna kombinację zamku, otwierającego ten sezam. Ceremoniał tego otwarcia odprawia zasłaniając plecami kółko z podziałką, którego odpowiednie nastawienie spuści ciężkie zasuwę. Trwa to długą, skupioną chwilę. Nagle z brzęknięciem spustów ciężkie drzwi stają otworem.

Zaglądamy do środka. Schowek jest stosunkowo nieduży, zastawiony z jednej strony aż niemal po sufit kuframi, tworzące one na całą szerokość i długość podstawę, na której złożono arrasy.

Ten schron, otoczony dzisiaj legendą, przypomina nastrojem i charakterem grobowiec. Autor artykułu w MACLEAN's, który miał tak znaczny wpływ na ruszenie z miejsca sprawy skarbów, pisze, że chociaż fizycznie skarby zostały zabezpieczone, kulturalnie są na razie — martwe. Są odcięte od kon-

taktu ze światem, od życia. Tym pilniej należy im się zmartwychwstanie.

Zaczyna się teraz żmudna i mozolna praca wynoszenia sztuka po sztuce na salę centralną dolnej części Muzeum, gdzie rozkłada się najpierw zwoje i złożone olbrzymie płachty na ziemi. W miarę jak je z pomocą Polkowskiego, Kątskiego a czasem i moją przenoszą przebrani w robocze fartuchy oficerowie policji, oceniamy ciężar każdej sztuki. Największe ważą chyba do 150 funtów. Zasiały całą podłogę. Patrzą z niej jakże znajome treści, jak dobrze pamiętane ze ścian wawelskich sceny biblijne, opisywane tylokrotnie i wplecione już nie tylko motywami, ale także bogactwem osobliwych, przyblakłych nieco a mimo to jeszcze żywych barw, w dzieje Polski. Oglądamy każdy z osobna, próbując od razu wybrać najbardziej odpowiednie dla fotografii, bo wiemy z góry że w ciągu tych trzech dni, przeznaczonych na zdjęcia, nie podobna będzie sfotografować wszystkich. Jawią się po kolei motywy grotesek, zwierząt, herbów i monogramów królewskich, tkanych przed blisko czterystu laty a ciągle jeszcze urzekających oko świeżością koloru, śmiałością rysunku i kompozycji, nieopisanym bogactwem różnorodnego ornamentu.

Pochylamy się nad tymi arrasami: można ręką wyczuć absolutną płaskość tych misternych wiązań wielokolorowej przędzy, dobywającej światła i głębie, obrysowującej mocnymi konturami kształty, zscapającej wszelkie subtelności odcieni i barw nitką tylko, wplecioną w osnowę. Jedną z reguł ówczesnego cechu tkaczy, jako świadectwo ich mistrzostwa, był zakaz używania w robocie innego barwnika niż ten, którym była nasycona nitka. Poprawianie czy podfarbowywanie tkaniny było w tych warunkach wykluczone. Kopiowali nitkami kolory wzoru, posuwając kunszt ich doboru i ich użycia do absolutnej doskonałości oka i ręki. Ta wełna i jedwab, to złoto i srebro odwijane z tysięcy kłębków i wplatane mozolnie w osnowę, bywa nieraz niczym lekkie dotknięcie pędzla, albo znowu układa się w smugę jednego koloru, aby w dalszym fragmencie centkami czy też plamami barw budować świetne malarskie efekty. Jak ów refleks na przykład, lśniący na nosie Noego, z arrasu przedstawiającego scenę jego pijaństwa, który całą postać zanurza w cień, a tylko właśnie na nozdrzach jego jednolicie zamroczonej twarzy, gra odblaskiem żywego światła. Przetrwały te tkane odpowiedniki malowideł ówczesnych mistrzów dzieła ich, tworzone jako wzór dla brukselskich i antwerpskich rękodzielników-artystów, którzy żmudnym wysiłkiem całych lat pracy tkali z nich olbrzymie płachty wiązań, rosnących w majstersztyki, olniewające dotąd zarówno sztuką jak i techniką roboty.

Podpisy ich, czyli gmerki, odczytuje się na granatowych pasmach marginesów, okalających arrasy. Przypominają trochę gotycką cyfrę Wita Stwosza. Jeśli przyłożyć dłoń do tych obszarów arrasu w których użyto nici srebrnej lub złotej, bije z nich chłód metalu.

Póki leżą na ziemi można każdy szczegół studiować dokładnie. Chodzi się po nich w skarpetkach, jak po mozaice. Ślady uszkodzeń z czasów rosyjskich zacerowane są i podmalowane nie bardzo szczęśliwie.

Oglądamy ślady bezwzględnych cięć, rejestrowanych jeszcze przez Feliksa Koperę w Gątczynie, kiedy odwiedzał je tam na początku bieżącego stulecia. Skracano je od góry, z brzegów i boków, gdy arras mający zdobić jakąś ścianę carskiego pałacu nie całkiem na niej się mieścił; gdy natomiast w drogę wchodził jeszcze kominiek, nie robiono sobie skrupułów, aby wyciąć odpowiedni kwadrat.

Kiedy teraz z otwartej na oścież kryjówki skarbów wyciąga się je po kolei, aby zrobić dostęp do kufrów, zawierających mniejsze tkaniny, rzędy, siodła, zbroje i miecze, korzystam z wolnej chwili, aby porozmawiać z szefem Duchesnay. Niechże opowie jak się dokonało to słynne „przejęcie” skarbów spod straży policji federalnej i przeniesienie ich do tego Muzeum, znajdując się w jurysdykcji już tylko władz prowincjonalnych. Ostatnim bowiem miejscem ich ukrycia był szpital Sióstr Szarytek, Hôtel Dieu, w Quebec'u, gdzie po paru latach wysłedziła je policja federalna, tzw. Mounties (Royal Canadian Mounted Police). Duchesnay nie wiedział że skarby przeniesiono tam cichaczem z klasztoru Redemptorystów w St. Anne de Baupré. Stało się to po rozmowie obu kustoszy, Świerz-Zaleskiego i Polkowskiego z posłem reżimowym Fiderkiewiczem, która to rozmowa upewniła Polkowskiego w przekonaniu, że Świerz zdecydowany jest przejść na stronę warszawską i że zdradzi dotychczasowe miejsce przechowywania Skarbów. Rozmowa ta odbyła się w Ottawie w dniu 16 maja 1946, a już tego samego wieczora Polkowski z ministrem Wacławem Babińskim, jako przedstawicielem rządu emigracyjnego w Kanadzie, wyjechali samochodem do Quebecu, aby wobec grożącej skarbom sekwestracji ze strony czynników reżimowych, usunąć je pośpiesznie z miejsca, gdzie były dotychczas ukryte i przewieźć, nic nikomu nie mówiąc, gdzie indziej. Akcja ta dała spodziewany rezultat i 23 maja dokonano przeniesienia do Hôtel Dieu w Quebec'u. Kufrы z klasztoru ottawskiego zabrała w tym samym czasie inna zaufana osoba i ukryła je, zacierając za sobą ślady.

Gdy więc, jak należało się spodziewać, Świerz z nowymi swoimi mocodawcami zjawił się po odbiór skarbów w wymienionych dwóch miejscach, już ich tam nie znalazł. Ponieważ dwie walizy z najcenniejszymi insygniami i rękopisami złożone zostały w Bank of Montreal w Ottawie jeszcze w marcu 1945, to znaczący zaraz po Jalcie, jako depozyt prywatny na nazwisko obu kustoszy, Świerz z „posłem” Fiderkiewiczem zgłosił się po ich odbiór. Dyrektor Banku, Watt Creighton, pozwolił im wprowadzić na obejrzenie, a nawet otwarcie tych kufrów, przy czym Fiderkiewicza sfotografowano ze Szczercbem w rękę, sprzeci-

wił się jednak wydaniu ich za jednym tylko podpisem Świerza. O uzyskaniu drugiego podpisu w tej sytuacji nie mogło być mowy, więc i tym razem nie udało się warszawskiemu poselstwu próba położenia ręki na skarbach.

Długo trwały usiłowania policji federalnej, nim trafiono na ślad uwiezionnej reszty zbiorów. Ówczesny minister spraw zagranicznych, dzisiejszy premier Louis St. Laurent, zarządził wszczęcie tych poszukiwań pod wpływem propagandowej i dyplomatycznej presji czynników warszawskich. Osiemnaście miesięcy po ich zniknięciu, w styczniu 1948 federalna policja odkryła obecność dwudziestu trzech kufrów i jednego pudła w podziemiach szpitala klasztoru Hôtel Dieu w Quebec'u. Ówczesny wiceminister spraw zagranicznych, Lester Pearson, poinformował o tym fakcie poselstwo warszawskie w Ottawie z propozycją, aby podjęło przez swoich adwokatów kroki w tej sprawie. W dyspucie na temat skarbów rząd kanadyjski stał reprezentował punkt widzenia, że jest to sprawa prywatna między dwoma ugrupowaniami polskimi, chcąc w ten sposób uniknąć konieczności zajęcia własnego w tym sporze stanowiska i wynikających z tego komplikacji.

Z. R. Bielski, który był w tym czasie w poselstwie jako chargé d'affaires, otrzymawszy wiadomość, że skarby zostały znalezione, napisał do siostry przełożonej Szarytek, siostry Henryki, dając jej cztery dni czasu do wydania skarbów i grożąc w razie odmowy, poważnymi konsekwencjami nie tylko dla jej klasztoru, ale „dla całego kościoła katolickiego”.

Szpital od chwili zlokalizowania w nim skarbów był pod stałym nadzorem federalnej policji. Siostra Henryka znalazłszy się w poważnym kłopotcie napisała do premiera Duplessis, przedstawiając sytuację i prosząc o radę. W tym miejscu zaczyna się opowieść szefa policji, p. Duchesnay. Reprezentuje ona swoisty epilog kryzysu i konfliktu, jaki wytworzył się w związku z umiejscowieniem skarbów w Hôtel Dieu.

— Było to 25 lutego rano — opowiada Duchesnay — premier Duplessis wezwał mnie do siebie, wręczył zapieczętowany list do Siostry Henryki i kazał mi go natychmiast zanieść do niej osobiście i zastosować się do wszelkich jej instrukcji. Nie wiedziałem zupełnie o co chodzi — przyznaje Duchesnay. — Pierwszy raz premier w stosunku do mnie zastosował zabieg ostrożności, dając mi list zapieczętowany i nie mówiąc nawet, co się w nim znajduje. Pojechałem do Siostry Przełożonej. Przeczytała list i zażądała abym jej pokazał papiery osobiste. Dopiero przekonawszy się kim jestem, zawołała inną siostrę i poleciła jej zaprowadzić mnie w podziemia szpitalne. Są to stare podziemia Quebec'u, istne katakumby. Na końcu długiego korytarza trafiliśmy na dwadzieścia kilka ciężkich kufrów i jakieś blaszane pudło. Obejrzałem te przedmioty, po czym wróciliśmy do Siostry Przełożonej. — „Czy może pan usunąć te rzeczy niespostrzeżenie i dobrze je ukryć jeszcze dziś przed godziną czwartą popołudniu?”, zapytała. Rozumiałem, że chodziło

o sprawę, na której bardzo musiało zależeć premierowi. Nie ma oczywiście rzeczy niewykonalnych. Przed wejściem do szpitala stali na straży Mounties, ale siostry pokazały mi tylne wyjście na podwórze szpitalne, które nie było strzeżone oraz bramę, nieotwieraną chyba przez ostatnich 25 lat, prowadzącą do ogrodu, którego można było podejść aż pod drzwi, prowadzące bezpośrednio do podziemi. Zorientowałem się szybko w topografii i zapowiedziałem powrót ciężarówką, którą należało wpuścić i która miała podejść pod owe drzwi. Po powrocie na moją kwaterę zmobilizowałem ośmiu zaufanych oficerów, kazałem im się stawić do służby w ciągu krótkiego czasu po cywilnemu jednocześnie dając rozkaz aby była gotowa do wyjazdu kryta ciężarówka z naszego taboru. Wiedziałem o schowku w Muzeum Prowincjonalnym, więc i tam trzeba było przygotować przyjęcie tego ciężkiego bagażu, którego zawartość stanowiła dla nas wszystkich zupełną tajemnicę. Kazałem stawić się ciężarówce z oficerami w pobliżu szpitala w małej, bocznej uliczynie; przekonawszy się, że nikt za nami nie jedzie, poprowadziłem ją sam pod wiadome drzwi. Było tego dnia śniegu na trzy stopy. Wjechaliśmy w obręb szpitala bez przeszkód. Oficerom przykazałem najwyższy pośpiech. Kazałem wynieść wszystkie kufrы z podziemi pod samo wejście, ale nie ładować ich na ciężarówkę, dopóki wszystkie nie będą na miejscu. Udzwigali się chłopcy zdrowo, ale poszło to wszystko piorunem. Gdy raz już mieliśmy cały bagaż przy drzwiach, przeniesienie go na ciężarówkę nie zajęło nawet dziesięciu minut. Zamknęliśmy szczelnie samochód z tajemniczą zawartością i zaraz ruszyliśmy krętymi drogami w kierunku Muzeum. Jechałem z nim w pewnej odległości, dobrze rozglądając się czy nikt nie zauważył naszego manewru i czy nikt za nami nie jedzie. Miałem instrukcję od Premiera, aby natychmiast po wykonaniu zadania zawiadomić go, czy wszystko jest w porządku. Umieściliśmy wszystkie kufrы w schowku w Muzeum, okazało się jednak, że zamek od drzwi pancernych posiada kombinację, której nikt nie zna. Nie otwierano ich przez ostatnich dziesięć lat. Musiałem wyznaczyć dwóch oficerów aby zostali w Muzeum na noc i pilnowali otwartych drzwi, dopóki na drugi dzień nie przyjdzie specjalista, aby je zamknąć. W międzyczasie zatelefonowałem do Premiera. Odbывała się właśnie sesja parlamentarna, nie chciano go więc wywoływać, ale na moje żądanie podszedł jednak do telefonu. Zameldowałem, że wszystko jest w porządku. Zdaje się, że przyjął tę wiadomość z uczuciem ulgi.

Na drugi dzień technik nasz ustawił nową kombinację zamku w pancernych drzwiach schowka; zatrzasnęliśmy je, odcinając jego zawartość od reszty świata. Dopiero w parę tygodni później dowiedziałem się z gazet, co zawierały te kufrы...

Zawartość ich nie stanowi już teraz żadnej tajemnicy. Duchesnay z ramienia premiera jest ich opiekunem, dogląda ich, jak swojego gospodarstwa. Stałe bywa obecny przy lustracjach

oficjalnych, a w czasie długich miesięcy jakie mijają między jedną lustracją a drugą odwiedza schowek, otwiera go, i jak sam mówi — wietrzy.

Pokazuje mi także zasypane już wejście do tunelu, który tyle wywołał rozgłosu. Policja nakryła osobnika, który w podsypane okalającym Muzeum od strony parku wykopał już około piętnastu stóp ganku, prowadzącego prosto w stronę podziemi Muzeum. Dla Duchesnay'a nie ulega wątpliwości, że osobnik ów, chociaż w oficjalnych zeznaniach podawał iż szuka korzonków na chorobę skórą, która go od długiego czasu prześladowuje, działał z ramienia jakichś niewykrytych dotąd czynników i kopał na podstawie dostarczonych instrukcji. Przypadek naprowadził na wykrycie jego roboty, a zamieszanie zrobione przy tej okazji skutecznie przepłoszyło wszelkie inne zaplątane w ten spisek osoby.

Duchesnay skończył relację o swojej roli w ratowaniu skarbow, a choć ma w pogotowiu i inne opowiadania z repertuaru policyjnych przygód i chętnie się nimi dzieli, pora nam teraz pomóc w dalszym rozkładaniu arrasów. Przerywa tę robotę gwałtowne pukanie do drzwi. Policjant w kitlu roboczym uchyla je, aby zobaczyć kto się do nas dobija. Wchodzi trzech gentlemanów, których Duchesnay wita serdecznie. Jeden z nich to fotograf. Nazwisko: Jusuf Karsh.

Wymowne doprawdy nazwisko. Karsh bowiem uchodzi za najlepszego dzisiaj i najbardziej wziętego fotografa-portrecistę w świecie. Z pochodzenia Ormianin, stale mieszka w Ottawie. Rozgłos i aura tajemniczości otaczająca polskie skarby dawno już fascynowała Karsha, który mając dzięki sukcesom swojego obiektywu uprzywilejowaną w Kanadzie pozycję, już nieraz próbował uzyskać od premiera Duplessis pozwolenie na dokonanie zdjęć zbiorów, choć ich Bogiem a prawdą nikt właściwie od wywieżenia z Polski nie widział. Uzyskał je dopiero ostatnio i przyjechał samochodem, wyładowanym po brzegi ekwipunkiem fotograficznym. Obchodząc arrasów jak pogromca zwierzę wspaniałe a trudne do opanowania, studiując najlepszy sposób i kąt trafienia do nich obiektywem swoich kamer. Nie obywa się to oszukiwanie bez wyrażania zachwytów nad barwnym przepychem owych pamiątek — te karminy, te zielenie, te błękity po raz pierwszy dostępują teraz kolorowych odbić na błonach i płytach. Ponieważ jednocześnie dobywa się już z czeluści kufrów nowe obiekty i cuda, każdy stawia odmienny problem techniczny. Nie posiadamy ani odpowiedniego tła, ani olbrzymich sztalug, czy rusztowań, na których można by rozwiesić arras. Wszystkiego razem mamy trzy dni na zdjęcia — a są różne problemy, np. jak najlepiej wyzyskać dla fotografii rękojęści ozdobnych szabl, koncerzy, karabel, jak sfotografować miecz Innocentego XI, ofiarowany Sobieskiemu, który ma ponad 7 stóp długości, na czym ustawić rzędy i siodła, porozbierane zresztą i podobnie jak zbroje, zakonserwowane smarami.

Nie spodziewał się Karsh zastać tutaj aż takich bogactw. Widać jak w nim rośnie zapał i entuzjazm odkrywcy, a zarazem apetyt aby tę sposobność wyzyskać, jak tylko można najobficiej. Wysłał już swojego pomocnika aby uzupełnić zapas przywiezionych filmów kolorowych, ale okazało się że cały Quebec nie posiada wystarczającej ilości.

Zaczyna więc pracę od telefonu do New Yorku i zamawia potrzebny materiał. Organizuje się jednocześnie wyprawa po odpowiednie tła aksamitne i kolorowe dla mniejszych obiektów, które ustawiamy na kufrach.

Autorytet premiera pomaga w uzyskaniu współpracy głównego budowniczego prowincji, który daje do dyspozycji materiał i ludzi, mających zbudować rusztowanie odpowiednie dla zawieszenia arrasów. Dolna sala nie jest dość wysoka. Rusztowania muszą stać w górnej sali, gdzie mieszczą się wystawy malarstwa i rzeźby.

Pierwsze próbne zdjęcia zrobił Karsh tego popołudnia. Poznaliśmy go coraz lepiej. Pedantycznie studiując ustawienie przedmiotów, aparatu i światła. W blasku jego reflektorów inkrustacje tarcz wschodnich, rękojęści koncerzy, hafty czapraków i barwy tkanin rozkwitają blaskami, których wieki całe nie potrafiły przyćmić ani ugasić. Trwa to próbne pozowanie bez końca — wydaje się że nigdy w tych trzech dniach nie zmieścimy ani dziesiątej części tego czarodziejskiego inwentarza.

Karsh zapala się do swojej roboty coraz bardziej. Wice-prezydent Stanów Nixon telefonuje z Waszyngtonu, że potrzebuje na gwałt portretu przed wyjazdem w oficjalną podróż na Daleki Wschód i prosi Karsha o przybycie. Odpowiedź brzmi, że zajęty do końca tygodnia. Z Texasu żona milionera, który bawi przejazdem w Kanadzie zaklina Karsha, aby zrobił zdjęcie małżonka. Obiecuje każdą sumę. Karsh odpowiada że owszem, ale nie w tym tygodniu. Niech mąż-model przyleci kiedy indziej.

O Karshu mówimy między sobą, biorąc asumpt z podobieństwa nazwiska Karszo-Siedleski, dla ukrycia że to o nim mowa: Siedleski *tout court*. Przewijają się przez te rozmowy różne aspekty sprawy i historii skarbow, z ostatnich lat zwłaszcza. Więc na przykład zagadnienie ich materialnej wartości, a także kosztów ich ratunku i konserwacji.

Punktem wyjścia tej dyskusji był rozłożony na ziemi olbrzymi arras, przedstawiający stworzenie i historię Adama i Ewy. Wymiar 8.54 m. na 4.68 m. Raj, w przeciwieństwie do innych z biblijnego cyklu, objętych mianem Potopu, wykonany został nie w Brukseli, ale w warsztatach antwerpskich. Wyobraża siedem osobnych scen, wkomponowanych w panoramę raju, każda dająca inny obraz rozwijający opowieść techniką ilustracyjną. Pośrodku, około drzewa wiadomości dobrego i złego stoją dwie nagie postaci bohaterów tego opowiadania, mające za cały strój liście, nietyle zresztą figowe, co winne. Te liście wydają się przymuszoną nieco ochroną ich nagości, zwłaszcza że pozoruje ich obecność przypadkowe, ale zupełnie nie tłumaczące się artystycz-

nie, przegięcie pnąca winorośli ku biodrom obu postaci. Szczegółowa dopiero inspekcja tych liści wykazuje, że w przeciwieństwie do zupełnie płaskiej tkaniny samego arrasu, liście te objawiają się drobnym niby, ale wyczuwalnym pogrubieniem materii. Spostrzeżenie to rozwija Polkowski w historyczny komentarz, który brzmi jak następuje:

Wkrótce już po zawieszeniu Raju na Wawelu (rzecz dzieje się przecież za Zygmunta Augusta) spostrzeżono, że dworzanie poczęli wystawać przy Ewie, dworki zaś przy Adamie i przysłuchiwać się posiadaczom tych pierwszych kształtów ludzkiej anatomii z niespotykanym dotąd zainteresowaniem. Publiczność ówczesna nie była przyzwyczajona do realizmu w sztuce; były to czasy kiedy nagość osłaniały fałdziste szaty.

Pospieszna ponoć interwencja duchowieństwa sprawiła, że przyczyny owych szczególnych zainteresowań zasłonięto dostrzeganiem tradycyjnych liści, które tu teraz oglądamy niczym wspomnienie owych jakże dawnych zdarzeń.

Wspomina Polkowski przy tej okazji, że za ten właśnie arras Ameryka proponowała umorzyć dług państwa polskiego przed wojną, ale się na tę transakcję rząd Polski nie chciał zgodzić. Nie mam pod ręką rocznika statystycznego, aby w zestawieniu z tą cyfrą wycenić wartość tego arrasu w dolarach. Mówiono przed wojną, że cała kolekcja warta jest co najmniej 15 milionów dolarów.

„Szalona ewakuacja”, czyli wrześniowe wywiezienie skarbow wawelskich z Polski w roku 1939, zważywszy, że transport i eskorta były albo przydzielone urzędowo, kosztowała wszystkiego razem, aż do góry Homora w Rumunii — 370 złotych.

„Rozliczenie na tę sumę wydatków złożyłem w Ambasadzie w Bukareszcie i zwrócono mi ją tamże w złotych polskich. Mam je do dziś dnia” — opowiada Polkowski.

W Aubusson we Francji okazało się, że jedna ze skrzyń z arrasami zamokła w czasie podróży morzem, a wiezione potem na mrozie arrasy doznały poważnych uszkodzeń. Eksperci francuscy podjęli na miejscu naprawę uszkodzonych sztuk.

Jako pierwszy poddano zabiegom ekspertów arras tzw. tro nowy, z napisem SCABELLUM PEDUM TUORUM, z orłem, datą 1560 oraz herbem Komorowskich, którzy ofiarowali go królowi. Reperacje w warsztatach Mobilier National w Aubusson wykonywane są tą samą techniką, co oryginalna robota arrasów. Zamiast podcerowywać zniszczone miejsca i domalowywać kolory, jak to widoczne jest na wielu innych, uszkodzonych w Rosji, a naprawianych w Polsce, technicy w Aubusson rekonstruują zniszczone fragmenty tak umiejętnie, że dziś na arrasie Komorowskich nie ma dosłownie najmniejszego nawet śladu naprawy.

Podobnym rekonstrukcjom poddanych miało być jeszcze pięć werdiur ze zwierzętami, na których deszcz i mróz uszkodziły nici tkaniny. Konieczność gwałtownego ewakuowania skarbow z

Aubusson po inwazji Hitlera w roku 1940 uniemożliwiła wykonanie tego projektu. Reperacja arrasu Scabellum kosztowała 5 tysięcy franków francuskich, co w przetłumaczeniu na dolary po ówczesnym kursie wynosiło circa 100 dolarów.

W okresie wojennym przez jakiś czas maksymalny roczny budżet opieki i konserwacji wawelskich skarbow wynosił 4 tysiące dolarów. Suma ta obejmowała utrzymanie dwóch kustoszy po 100, a przez jakiś czas po 150 dol. miesięcznie. Na farmie eksperymentalnej pod Ottawą, gdzie były złożone arrasy, w ramach wspomnianego budżetu przeprowadzono też pewne prace konserwatorskie, do których należało np. obszycie arrasów płótnem, aby ciężar tkaniny przenieść na podbicie tak, by nie naciągał nici osnowy.

Obliczamy ile te wszystkie drobne wydatki związane z transportem, przechowywaniem, opieką, naprawami i konserwacją skarbow, a nawet utrzymywaniem dwóch kustoszy przez pewien okres czasu kosztowały skarb państwa polskiego na emigracji, licząc od roku 1939. Okazuje się, że licząc bogato i rozkładając te koszty na 14 lat, jakie nas dzielą od wywiezienia skarbow z Polski, wydano na te cele nie więcej niż 1.200 dolarów rocznie. Zważywszy, że wartość skarbow ocenić można na dwadzieścia do trzydziestu milionów dolarów, okaże się że są to w rocznej proporcji jakieś setne ułamki jednego procentu.

Kolekcja tego rodzaju wymaga stałej, a nie tylko dorywczej opieki.

Zagranicą kolekcja wawelska powinna była od dawna stać się ośrodkiem studiów i zainteresowań, wykraczających daleko poza polskie opłotki. Można było gromadzić przy niej dokumentację, potrzebną do naukowych opracowań, bibliotekę dotyczącą historii polskiej. Dołączono do skarbow niektóre pamiątki, pozostałe z pawilonu polskiego na wystawie nowojorskiej. Przy odpowiednim zakrzętnięciu się można było wzbogacić te zbiory innymi jeszcze pamiątkami i wartościami, jakie znalazły się zagranicą.

Spóźnione to w tej chwili żale, bo od zakończenia wojny sytuacja nie sprzyjała inicjatywie w tym kierunku. Trzeba to było uczynić wcześniej. Nie było jednak pomysłu, planu, ani wizji co z tą popisową kolekcją narodową uczynić i jak jej użyć dla celów polskiej propagandy, zwłaszcza w Ameryce. Tym to dziwniejsze, że przecież mieliśmy na czele tej propagandy, która nazywała się skromnie „Informacją i Dokumentacją” ludzi biegłych, jeśli idzie o znajomość i chyba także ocenę wagi tego dobytku kulturalnego z punktu widzenia interesów Polski na Zachodzie. Cóż, kiedy zdobyto się ledwie na zapewnienie im najprymitywniejszej opieki. Nie myślano o takim ich wykorzystaniu na amerykańskim kontynencie. Może teraz wreszcie, po długich latach bezpłodnego zamrożenia (od roku 1940) dojdzie ono do skutku.

Z góry mogę przewidzieć odpowiedź na te uwagi: były ważniejsze i pilniejsze rzeczy.

W perspektywie historycznej okaże się jednak, że skala ważności polskich zadań oceniana była, zwłaszcza na odcinku propagandowym, fałszywie. W ślad za tym szła błędna dyspozycja środków finansowych, których szerokie szafowanie nie potrafiło zapewnić pojęciu polskości tej wysokogatunkowej pozycji kulturalnej, o jakiej zdobyć nadal dziś, choć najczęściej nieskutecznie, próbujemy zabiegać.

Jest noc. W górnej sali Muzeum na olbrzymiej tablicy rusztowania zamówionego przez Karsha i zbudowanego w kilka godzin, Stefan Kątski z policjantami rozwiesza arras, jeden pod drugim. Nacelowane już lampy wielu reflektorów nasycają światłem te tkaniny o pysznych barwach, a my, widzowie tego przedstawienia, siedząc z tyłu, aż oczy mrużymy, tyle tu blasku, takie pyszne sceny i tła. Dekoracja z łaski pracujących pilnie pomocników i fotografa zmienia się ciągle. Karsh interesuje się nie tylko całością każdej tapiserii, ale także robi zbliżenia fragmentów jak np. ten wykrój globusu pod monogramem SA, na którym przedstawiono nie tylko bardzo zbliżony do rzeczywistego zarys kontynentu Euro-Azji, ale także naniesiono już fantazyjny nieco kształt Ameryki. Pół wieku dzieli nas dopiero, jeżeli idzie o datę i czas roboty tego arrasu od odkrycia Ameryki.

Fotografowanie arrasów będzie trwało ze dwie noce i to nie wszystkich przecież; wybrane znosi się tutaj, jeden po drugim, i zaraz znowu składa z powrotem na dolnej sali, gdzie już czekają swojej kolei zbroje, buńczuki, szable i koncerze, a wreszcie także wspaniała kapa płaszcz orderu Świętego Ducha i kapelusz, ofiarowany przez Innocentego XI — Sobieskiemu. Płaszcz, dar Ludwika XIV, nosi haftowane po brzegach cyfry Henryka III, fundatora tego orderu, a choć czarny aksamit tła już się wytarł, nadal zachwyca oko srebrnym ciężkim haftem, przedstawiających gęsty wzorec języków ognistych. Próbuje go udrapować na jednym z policjantów, żeby zobaczyć jak leży i jak wydobyc najlepszy efekt dla zdjęcia. Ten rosty chłopak prawie że się ugina pod ciężarem tej wspaniałości. Olbrzymi kapelusz, papieski dar dla króla, z wyszywaną perłami gołębicą, niepodobny jest do żadnej kreacji dzisiejszych czasów. Miał kiedyś czub sadzony rubinem. Kiedy powrócił z Rosji, rubin zastąpiono na nim kropką czerwonego laku, który zdążył się zresztą wykruszyć w częstych od czasu Września przeprowadzkach.

Chorągwie dawne przechowywane są w długim, okrągłym pudle zrobionym z puszek blaszanych. W dziejach szalonej ewakuacji z września 1939 roku kłopotliwą rolę odegrała chorągiew turecka, zdobyta pod Parkanami. Nie mieściła się bowiem w żadnym pudle i stanowiła osobny a niewygodny pakiet wśród reszty bagażu. Przy wywożeniu skarbów z farmy eksperymentalnej pod

Ottawą, niepraktyczny kształt tej chorągwi przesądził o jej losie. Postanowiono nie zabierać jej i wobec tego dostała się czynnikom reżimowym razem z kilku innymi, mniej wartościowymi przedmiotami. Stare polskie dywany dzielą dziś jednak los arrasów, schowane w Muzeum Quebecu.

Karsh choć zajęty i zaabsorbowany interesuje się żywo inwentarzem także tych skarbów, które znajdują się dotąd w dwóch walizkach, zdeponowanych w Bank of Montreal w Ottawie. Chciałby również sfotografować ich zawartość. Tym bardziej, że w czasie kiedy pokazywano je posłowi warszawskiemu, był przy tym prasowy fotograf i zdjęcie Szczereba w rękach Fiderkiewicza ilustruje niedawny artykuł w Macleans's. Z punktu widzenia propagandy kultury polskiej obiekty należące do tej właśnie części skarbów stanowią najcenniejsze i najbardziej sensacyjne wartości. Opowiadamy Karsh'owi o zawartych tam Kronikach Kadłubka i Galla, rękopisie Szamotulskiego, Kazaniach Świętokrzyskich, modlitwniku Księżny Anastazji, żony Bolesława Kędzierzawego (XII wiek), Psalterzu Floriańskim, Biblii Królowej Bony. To inkunabuły i rękopisy. Z druków natomiast jest tam Pepliński egzemplarz biblii Gutenberga, dwa tomy w oryginalnej oprawie, szósty egzemplarz tego pierwszego wydania za który Metropolitan Museum w Nowym Jorku dawało przed wojną milion dolarów. Zważmy, że prawie żaden z tych unikatów nie posiada dotąd fotograficznego czy fotostatycznego odbicia, który by umożliwił uczonym i artystom studiowanie tych pomników kultury.

Posłuży nam ta uwaga do powiedzenia raz jeszcze o niewyżyłskanej dotąd możliwości sporządzenia takich odbitek od czasu kiedy skarby znalazły się na Zachodzie.

Dzieli dziś ten sam los również Szczerebiec, berło i łańcuch Orderu Orła Białego z czasów Stanisława Augusta, a także rękopisy Chopina, największy ich zbiór na świecie.

Podkreślaliśmy już olbrzymie ryzyko ewakuacji skarbów w czasie wojny. Faktem jest jednak, że zostały uratowane.

Karol Żbyszewski rzucił na łamach „Wiadomości” hasło, że nie wywozi się „Kraju” na emigrację.

Argumentowi temu, choć trafia może do przekonania emigracyjnym patriotom, przeciwstawić chciałbym opinię Feliksa Kopery, który omawiając próby ratowania insygniów królewskich przed Prusakami w roku 1794, pisze:

„że Skarbiec mógł być łatwo przed Prusakami uwięziony — tego nawet należałoby się domyślać — skoro to praktykowano nieraz np. w czasie napadu Szwedów aż po dwakroć. Co więcej, byłoby nawet błędem nie dającym się wytłumaczyć, gdyby tego nie uczyniono. Wszak nie tylko u nas, ale powszechnie od najdawniejszego średniowiecza korony, np. korona węgierska w r. 1846, uwięziona przez Koszuta i zakopana pod Orsową, podobnie w niebezpieczeństwie ukrywano były...”

Jeżeli wspomnieć smutny los zbiorów Rapersvillskich bezpiecznie przez długie lata gromadzonych w Szwajcarii, a które w latach niepodległości przywiezione do Polski, w czasie wojny uległy zniszczeniu — zasada rozproszenia po świecie artystycznych i kulturalnych pamiątek naszej historii okaże się być może słuszną i pożyteczną.

Nie sprzeciwiamy się przeto losowi, który sprawił że Wawelskie Skarby znajdują się dzisiaj w Kanadzie, ale raczej wyteżmy siły i wyobraźnię, aby fakt ich obecności na tym kontynencie wykorzystać nie jako mijającą sensację ale jako dokument dziejów Polski i jej miejsca w kulturze.

Aleksander JANTA

Prof. Władysław Konopczyński

(Wyjętek z większej całości.)

Władysław Konopczyński, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezydent Polskiej Akademii Umiejętności, był — jedyny z Polaków — członkiem zagranicznym słynnej Królewskiej Akademii Literatury Pięknej, Historii i Starożytności w Sztokholmie.

Jakkolwiek w nawiązywaniu i podtrzymywaniu dobrych stosunków Polski ze Szwecją miał profesor i wielkich poprzedników — wśród nich dawniej nawet kierowników obydwu narodów oraz uczonych polskich i szwedzkich — to na polu nauki osiągnięcia jego noszą wszelkie cechy pionierstwa.

Jest to dział pracy i życia nie do pominięcia w opracowaniach poświęconych Konopczyńskiemu, czy w badaniach historii polsko-szwedzkiej.

Wybuch pierwszej wojny światowej zaskoczył profesora Konopczyńskiego z żoną nad Bałtykiem. W sierpniu 1914 r. władze pruskie wydalły go jako obcego poddanego z Sopot, gdzie spędzał wakacje. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, udało mu się w ostatniej chwili przedostać przez Bałtyk i wylądować w Skanii (Skåne), w Szwecji.

Tu, bez specjalnego studium przygotowawczego do badań i prac w Szwecji i w Danii w zakresie stosunków polsko-szwedzkich i częściowo polsko-duńskich w latach od 1660-1795, bez znajomości języka szwedzkiego, który dopiero później opanował, rozpoczął badania archiwalne. I w ten sposób nawiązał pierwsze kontakty z krajem jego przypadkowego wychodźstwa, kontakty, które nigdy nie miały być przerwane.

W r. 1916 profesor powrócił do kraju, gdzie pozostając

w ciągłym kontakcie z uczonymi szwedzkimi, prowadził dalsze studia nad historią stosunków polsko-szwedzkich.

W rezultacie profesor Konopczyński wydaje w r. 1924 jedyne w swym rodzaju dzieło: *Polska a Szwecja od pokoju oliwskiego do upadku Rzplitej 1660-1795*. Warszawa, Pałac Staszica. Praca ta była w głównej mierze podstawą powołania profesora Konopczyńskiego na zagranicznego członka Królewskiej Akademii w Sztokholmie. Z niej do dziś korzystają polscy i szwedzcy uczeni, zaś poszczególne jej rozdziały przełożono na język szwedzki.

Z biegiem czasu zacieśniają się węzły łączące profesora ze Szwecją, o czym świadczą osobiste kontakty i korespondencja; rośnie również koło jego przyjaciół i znajomych, a potwierdzają tę więź i dalsza praca i artykuły profesora Konopczyńskiego publikowane w czasopiśmie szwedzkich, zwłaszcza w *Historisk Tidskrift* w Sztokholmie.

W tymże 1924 r. ukazują się w szwedzkich czasopiśmie artykuły profesora: „Lars von Engstroems politiska mission i Polen 1787-1791”, i „Karl XII och Polen” — „Polityczna misja hr. Larsa Engstroema w Polsce 1787-1791”, i „Karol XII a Polska”; w r. 1925, w *Hist. Tidskrift* „Polen och Sverige i det adertonde orhundradet”, s. 101-131, „Polska i Szwecja w 19 w.” i następnie w tym samym piśmie, w r. 1926, „Karl XII och Polen”, — „Karol XII a Polska”; w r. 1931 „Dwie próby pacyfikacji między Polską a Szwecją, po wojnie północnej”, *Przegląd Dyplomatyczny*, 42, 329, Sztokholm, i w tymże roku „Le problème baltique dans l'histoire moderne”, *Revue historique* 1929, s. 305-320; w r. 1935 rec. rozprawy: Gorny A. i Piwarski K., „Kraków w czasie drugiego najazdu szwedzkiego 1702-1709”, w *Kwart. Historycznym* 48 (1934), s. 672-675, Kraków 1932, 85, (2) s. I portr., *Bibl. Krakowska*; w r. 1936, Brandt, Caspar von Saldern. Rec. 1920 — Poland and Sweden 155; Edén, *Den svenska riksdagen*, (szwedzki parlament), Rec. 1931, Polska a Szwecja 158.

Należy tu również wymienić z „Biblioteki Bałtyckiej”, opracowanie profesora *Polska a Szwecja*, Instytut Bałtycki, Toruń, (brosz. str. 50), popularne, zwięzłe ujęcie zagadnień polsko-szwedzkich od początku do r. 1935, którego celem jest przedstawienie zgubnych skutków niezgody i wykazanie koniecznej przyrodzonej, sąsiedzkiej współpracy i porozumienia.

W późniejszych latach, kiedy los tak ciężko go doświadczał (wojna, prześladowania, aresztowanie, obóz koncentracyjny), profesor Konopczyński nigdy nie zapomniał o Szwecji. Wiedział, że nad Melaren ma przyjaciół.

W zimie r. 1946-1947 znów odwiedził Szwecję. Przybył na zaproszenie Królewskiej Akademii. Był witany gorąco i przyjęty serdecznie przez przyjaciół, znajomych, prasę.

Na specjalną uwagę zasługuje powitanie profesora W. Konopczyńskiego, w dniu 14 stycznia 1947 r. przez wówczas następcę tronu i prezydenta Akademii, a dziś króla szwedzkiego, Gustawa VI Adolfa.

Podkreślając znaczenie prac profesora Konopczyńskiego dla nauki, dla badań stosunków polsko-szwedzkich, jego zasługi dla podtrzymania więzów polsko-szwedzkich, król Gustaw VI Adolf powiedział do niego:

„Do członków tej Akademii należał hr. Lars Engeström — postać, która na połowie 18-go i 19-go wieku uosabiała kontakty Polski ze Szwecją. Pan sam w jednej ze swych prac opisał misję Engeströma jako posła Gustawa III do skazanej na zagładę Rzeczypospolitej Polskiej i zna Pan dobrze wkład jego i jego rodziny w podtrzymywaniu związków polsko-szwedzkich. Otóż gdy się myśli o wielu wspólnych tematach badań jakie łączą historiografię szwedzką i polską, właśnie zdaje się godne uwagi, że jest Pan polskim uczonym powołanym na członka Akademii. Wybór uzasadniono głównie pracą o Polsce i Szwecji od pokoju oliwskiego do upadku Rzeczypospolitej, wydaną w r. 1924. Obszerne to dzieło niestety nie zostało jeszcze przełożone na szwedzki, tylko niektóre ważne rozdziały, np. o Karolu XII i Polsce oraz o polskiej polityce Gustawa III, ukazały się w szwedzkich czasopismach. W ojczyźnie swej był Pan czynny jako recenzent szwedzkiej literatury historycznej; oceniał Pan w polskich czasopismach liczne szwedzkie rozprawy i wielkie dzieła zbiorowe, jak np. wielką szwedzką historię sejmu i historię szwedzkiego urzędu spraw zagranicznych, a teraz zamierza Pan ogłosić dużą pracę obejmującą całość walk politycznych w obrębie rejonu bałtyckiego...

„Szesnaście lat temu został Pan wybrany do naszej Akademii, ale dopiero dzisiaj mamy sposobność powitać Pana w naszym gronie. Gdy otrzymał Pan wiadomość o naszym wyborze, Polska, wyzwolona z wiekowej niewoli, weszła już w nową, obiecującą epokę swych zmiennych dziejów. Dane Panu było oświadczyć, jak zło moce próbowały zniszczyć tę „Polonia Restituta”, ale Pan przetrwał na szczęście czas ciężkich i długich prób. I gdy Pan wreszcie przybywa do nas, widzimy w Panu godnego przedstawiciela dostojnej polskiej spuścizny cywilizacyjnej, której przemoc nigdy nie zniweczy”.

W Królewskiej Akademii, której członkiem zagranicznym był od r. 1931, profesor Konopczyński wygłosił w czasie tej ostatniej swej bytności w Szwecji odczyt w języku szwedzkim pt.: „Svensk-polska analogier po det foerfattningshistoriska oumrodet” (szwedzko-polskie analogie ustrojowe).

W r. 1948 zaś ukazał się w *Hist. Tidskrift* jego artykuł pt.: „Den polska historie-forskningens oede och framtid” (Los i przyszłość polskich badań historycznych).

W maju 1952 profesor Konopczyński pisał do profesora Nils Ahnlunda(1):

(1) Znany historyk szwedzki w Stockholmie, członek Akademii, kolega zmarłego. Pamięci Konopczyńskiego poświęcił artykuł w *Hist. Tidskrift*, H. 4, s. 373.

„Właśnie w kwietniu ukończyłem pięćdziesięciolecie mej pracy naukowej. Ażeby „uczcić” tę rocznicę, obliczyłem i zestawiłem całą moją produkcję: wynosi ona 62 voluminów.

„Przesyłam Panu to zestawienie, ponieważ może ono interesować Akademię po mej śmierci”.

Profesor Konopczyński zmarł dnia 13 lipca 1952, w 72 roku życia.

Królewska Akademia w Stockholmie uczciła pamięć swego zasłużonego członka zagranicznego na specjalnym zebraniu. Przemówienie o życiu i twórczości Konopczyńskiego, podkreślając poniesioną przez Akademię stratę, wygłosił prezydent Akademii, Sigurd Curman.

Zgodnie z życzeniem prof. Konopczyńskiego ostatnie jego opracowanie znajduje się w posiadaniu Królewskiej Akademii. Obejmuje trzy strony maszynopisu, z podaniem N-ru porządkowego, tytułu dzieła, miejsca i roku wydania oraz ilości stron; przy nieopublikowanych zaznaczono: „niedokończone”, względnie „maszynopis”, czy „rękopis”.

Znajdują się tu takie między innymi pozycje:

Konfederacja w rozwoju dziejowym, cz. I., kraje obce (masz.).
Konfederacja w rozwoju dziejowym, cz. II., Polska (rękopis).
Dwudziestopięciolecie 1914-1939, (maszynopis).
Piłsudski a Polska, t. I., (niedokończ.).
Piłsudski a Polska, t. II., (niedokończ.).
Polscy pisarze polityczni XVIII wieku, I., (maszynop.) ok. 320.
Polscy pisarze polityczni XVIII wieku, II., (maszynop.) ok. 320.
Kiedy nami rządziły kobiety (maszynop.) ok. 300.
Traktaty międzynarodowe polskie, IV., (maszynop.) ok. 500.
Artykuły dla Polskiego Słownika Bibliograficznego, na dalsze litery po „G” (maszynop.) itd.

Nie ulega wątpliwości, że i to opracowanie wymagałoby osobnego omówienia, jakie jeszcze jedno, a ostatnie za życia, świadectwo więzi profesora — ze Szwecją.

Franciszek OLIPRA

Z działalności Kongresu Kultury

Komitet dla spraw Europy środkowo-wschodniej
przy Kongresie Wolności Kultury

Przy Kongresie Wolności Kultury (Sekretariat Międzynarodowy: 104, Bld. Haussmann, Paris 8) został utworzony komitet dla spraw Europy Środkowo-Wschodniej, złożony z przyjaciół Kongresu spośród pisarzy, artystów i uczonych na uchodźstwie.

Członkami Komitetu są pp.: Jurgis Baltrusaitis, historyk sztuki, były profesor Uniwersytetu w Kownie (Litwa); Jan Cep, pisarz (Czechosłowacja); Pierre Christoforow, b. profesor literatury francuskiej na uniwersytecie w Sofii (Bulgaria); Józef Czapski (Polska); Mircea Eliade, historyk religii i pisarz (Rumunia); Matila Ghyka, historyk sztuki i pisarz (Rumunia); Karel Kupka, filozof (Czechosłowacja); Czesław Miłosz (Polska); Harald Perltz, profesor fizyki na uniwersytecie w Sztokholmie (Estonia); Pierre Sergesco, historyk nauk, sekretarz generalny Międzynarodowej Unii Historii Nauk (Rumunia); Arved Svabe, historyk (Eotwa); Virgil Veniamin, b. profesor prawa międzynarodowego na uniwersytecie w Bukareszcie (Rumunia); Józef Wittlin (Polska); T. Zavalani, historyk i ekonomista (Albania).

Nazwiska przedstawicieli węgierskiego świata kulturalnego nie zostały jeszcze ustalone.

Komitet dla spraw Europy środkowo-wschodniej przy Kongresie Wolności Kultury nie jest organizacją reprezentującą poszczególne grupy narodowe czy polityczne uchodźców. Członkowie jego (podobnie jak członkowie komitetów narodowych Kongresu) występują wyłącznie w swoim własnym imieniu. Ale ten różnorodny zespół ludzi, przeważnie już dość silnie wdrożonych w zachodnie życie kulturalne, może w ten sposób doradzać Kongresowi w sprawach związanych z Europą środkowo-wschodnią, i współpracować na tym terenie z członkami Kongresu we wszystkich krajach wolnego świata.

AUDYCJE RADIOWE

Jednym z pierwszych planów Komitetu było wprowadzenie audycji radiowych Kongresu Wolności Kultury skierowanych do krajów Europy środkowo-wschodniej. Audycje te zostały już zapoczątkowane w porozumieniu z Radiodiffusion Française w programie „Danube-Balkans” (w języku francuskim), zwróconym do Europy środkowo-wschodniej. Audycje Kongresu mają miejsce w każdą sobotę od 20,30 do 21.00 (czas francuski) na falach 30, 42 i 50 m.

Celem tych audycji jest przedstawienie słuchaczom za żelazną kurtyną obrazu życia kulturalnego w wolnym świecie. Poruszane są tematy literackie, społeczne i naukowe. Każda audycja zawiera przegląd ważnych książek wydanych na zachodzie. W audycjach Kongresu brali dotychczas udział osobiście: Raymond Aron, François Bondy, Jan Cep, Józef Czapski, Julian Gorkin, Salvador de Madariaga, Thierry Maulnier, Czesław Miłosz, Mikołaj Nabokow, Michael Polanyi, André Prudhommeaux, Raja Rao, Armand Robin, Fernand Turret, Virgil Veniamin. Wśród licznych tekstów przyjaciół Kongresu wykorzystanych w tych audycjach należy wymienić teksty następujących autorów: Samuel Allison, John Baker, André Breton, Jean Cassou, James Franck, André Malraux, Herbert Read, Bertrand Russell.

(n)

Der MONAT

MIĘDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKY'EGO
Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.

Cena egzemplarza — 1 DM.

Książki

Więzienne “Noce i dnie”

Z wyjątkiem książki Herlinga-Grudzińskiego, wspomnienia z sowieckich więzień i obozów koncentracyjnych najpierw ukazywały się po polsku, choć były z reguły przeznaczone dla ewentualnego obcego czytelnika i pisane z myślą o możliwościach przekładu. Może właśnie dlatego autorzy tak uparcie trzymali się pierwszej osoby. Autobiograficzna forma jakby poręczała każde zdanie ich sprawozdań osobistym podpisem, stwierdzającym ścisłość i wiarygodność obrazu nieprawdopodobnego świata.

Wobec polskiego czytelnika było to zbyt uczucie. Prawdopodobnie ci, którzy przeżyli wojnę pod okupacją niemiecką czytali owe opowieści równie chciwie jak dawni więźniowie Syberii pochłaniali wszystko, co mówiło o walce podziemnej w Polsce i o stosunkach w Generalnym Gubernatorstwie. Te dwa prądy pamiętnikarstwa i reportażu idące z dwóch przeciwnych źródeł przypominają przyjaciół spotykających się po długiej rozłące i opowiadających sobie swoje losy. Jak każde odtwarzanie przeżyć ściśle osobistych, są one bardzo subiektywne, jeszcze ciepłe życiem wypełniających je ludzi, drgające okrzykiem walki albo wołaniem protestu. Rzeczywistość dostarczała tylu fascynujących faktów, że nie szukano fikcji — wystarczyło posłuszne przyjęcie chronologii i autentyczności wypadków.

Cykl Herminii Naglerowej *Za zamkniętymi drzwiami* (*) jest przejściem z reportażu do świadomej, celowej kompozycji, wyjściem ze wspomnień jeszcze nabrzmiałych bólem ku trzeźwemu nazywaniu rzeczy po imieniu.

Dwutomowa powieść Naglerowej o grupie kobiet w sowieckim więzieniu rozpoczyna się przed aresztowaniami we Lwowie, a nawet przed wybuchem wojny, starając się tym spojrzeniem w przeszłość uzyskać dla książki charakter powieści, ogarniającej coś więcej niż tylko więzienie i przebieg śledztwa. Mimo jednak początkowych rozdziałów, zaopatrujących centralną po-

(*) Herminia NAGLEROWA, Cykl „Za zamkniętymi drzwiami”. Tom I.: *Sprawa Józefa Mosta*. Część 1. „W inne czasy”, Część 2. „Czerwona linia”, Część 3. „Gromada”. Str. 301, 4 nłb. Gryf Publications Ltd., London 1953.

stać Marii w społeczny i psychologiczny paszport, nad całością panuje atmosfera czterdziestej szóstej zamarstynowskiej celi — jej duszny, zatłoczony świat pochłania Marię, stającą się tylko jedną z aresztowanych kobiet. Prawdziwym bohaterem więziennych miesięcy będzie mikrokosmos społeczeństwa, jakim bywa aresztancka cela. Maria, sprowadzona tam z karceru i bestialskiego śledztwa, milczy i trzyma się na uboczu; wyosobniona z otoczenia, zatopiona w transie powtórnego przeżywania, rozliczania i sądzenia swoich uczynków, działa jak medium poprzez które porozumiewamy się z duchem pozornie nieobecnej autorki.

Naprawdę zaś Naglerowa, sama mająca za sobą więzienie, wyrok i zsyłkę, patrząc jej oczami na mieszkanki celi, w stosunku do tej najbliższej sobie postaci zmienia się we współczującego sobowtóra. W momentach cierpień fizycznych i ostrego doznawania więziennego koszmaru podchodzi do niej tak blisko że prawie powitalibyśmy życzliwie zamianę powieści na pamiętnik, kiedy indziej znów rozwija życie wewnętrzne Łużyńskiej i wzbogaca jej przeszłość, walcząc dla niej o niezależne istnienie we wrażeniach czytelnika, a dla książki o przekroczenie „pogranicza powieści”. Nie znaczy to, że Marię trzeba utożsamiać z autorką — falowanie narracji jest tylko odbiciem ciągłego ścierania się między zamierzeniem powieściowym, wyraźnie utwierdzonym w pierwszych dwóch częściach, a instynktowną chęcią odtwarzania faktów w części trzeciej, nazwanej „Gromada”. Tam, w celi, pamięć własnych doświadczeń i obserwacji tak mocno domaga się wyrazu, że niknie akcja, Maria zamienia się w ciemny krąg wśród błyskających światła życia i powieść, zmieniwszy tor, zbliży się do utajonej dokumentacji, rozszerza się w drobiazgowę, wnikliwą, o rezultatach świetnie zanotowanych, studium więziennego bezruchu, zewnętrznego rozkładu, wewnętrznych dojrzewania.

Część pierwszą *W inne czasy* otwiera zdanie, oznaczające pisarską determinację zachowania równego, spokojnego głosu, gdy będzie mowa o naiwnościach niedoświadczonej konspiracji i jej ostatecznych rezultatach na Zamarstynowie. Kiedy Naglerowa stwierdza iż „dzieje Marii były wypadkową warunków, w jakich się wychowała, kształciła, pracowała zarobkowo i wyszła za mąż”, ekonomiczno-socjalna precyzja tego początku ma od samego progu powieści zabrać Marii to, co potocznie nazywamy indywidualnością. Każąc Marii zaczynać od bezbarwności, od braku samodzielności, autorka przedstawia ją jako uosobienie wielu przeciętnych, spokojnych kobiet, aby tym bardziej podkreślić jej nieprzygotowanie, a razem z nią i tysięcy innych Marii, do odegrania roli niespodzianie narzuconej i przez obcy los i przez własny, nagle obudzony, instynkt. Posługując się psychologicznymi podziałami, można by Marię umieścić wśród kobiet podświadomie ulegających fascynacji ojca, stale szukających mężczyzny, który przewodzi i dyktuje. Marii jest zawsze najłatwiej w uległości, choć wygoda przenoszenia odpowiedzialności na innych wciąż łączy się z utajoną reakcją niechęci do

samej siebie. Na dnie bowiem psychiki leży chęć oporu, niezrealizowana odwaga bycia sobą, sycająca się niespełnionymi odwetami, jątrząca niewypowiedzianymi oskarżeniami.

Wybór tak banalnej bohaterki jest świadomy. Dla pokazania czym jest sowieckie więzienie i ile się w nim może pomieścić człowieczeństwa, Naglerowa stawia wobec dylematów znanych z literatury francuskiego egzystencjalizmu istotę arcypospolitą. Chłodem introdukcji, tak opanowanej jakby wprowadzała numer z więziennego spisu, a nie żywego człowieka, chrzci autorka swój pierwszy większy utwór po „Krauzach”, wyrzekając się grzechu uniesień, pokusy dźwięcznego patriotycznego frazesu, obiecując aż do końca pozostać przy małych, niepozornych kobietach zmuszonych przez los do mozolnego stawiania się pełnymi ludźmi.

Sama *Sprawa Mosta*, łudząca zapowiedzią politycznych wydarzeń, jest tylko pretekstem kompozycji, tylko nicią i szwem, a nie materiałem. Większość uwięzionych spod czterdziestego szóstego numeru brała skromny udział w prowadzonej przez Mosta akcji wysyłania przez granicę ukrywających się polskich żołnierzy. Inne znów kobiety dostały się na Zamarstynów wskutek lekkomyślności czy przypadku ale współzycie z oskarżonymi z grupy Mosta wciąga je w obręb tej fantastycznej afery, podsycają sowiecką psychozę wężenia wszędzie buntu i kontrrewolucji. Od chwili uwięzienia Marii, Most znika z pola widzenia, wchodząc w sferę zamarstynowskiej legendy; w końcowych scenach słychać jego głos śpiewający kołody, do karceru dochodzi kilka urwanych słów przestekanych przez mur i, być może, kiedyś przesunęła się pod ścianą jego nieszcześna postać. W ten sposób człowiek, którego los zadecydował o losie trzech młodych łączniczek, cień, którego nigdy nie widziały, jest zarazem chimera wyobraźni i kimś wszechobecnym. I „Sprawę” i książkę Most przenika jak duch coraz bardziej oddalający się od świata, niby duchy umarłych w „Naszym Mieście”, w miarę mijania miesięcy od daty aresztowania.

II.

Zachowanie się Marii i postawa Mosta są wynikiem okresu poprzedzającego wojnę oraz atmosfery dwóch środowisk: pro-rządowej inteligencji i radykalnego nauczycielstwa, w jakich żyli przed wojną. Most, gdyby mu postawić przed oczy wręcz kryminalną szkodliwość jego lekkomyślnej konspiracji, byłby równie zaskoczony i oburzony jak Maria, gdyby jej powiedzieć iż żona wyższego urzędnika ma swą małą część w moralnej odpowiedzialności za atmosferę panującą w sławojowej Polsce. Zanotowanie przez autorkę charakterystycznych szczegółów epoki „sprzed potopu” świadczy, że trzeźwe spojrzenie na kwestię więziennego bohaterstwa obejmuje także i szersze tło zamarstynowskich wydarzeń. Jeżeli pamiętać jak oszczędne jest epitafium łączniczki Hanki w zakończeniu trzeciej części, wiele wcześniej-

szych epizodów stanie się wtedy gorzką, krytyczną oceną, podaną bez ostentacji, jako już nieuniknioną część naszego odczuwania tamtych czasów.

Mimo ideowych przeciwieństw między byłym mężem Marii a Józefem Mostem, obie postaci łączy nieprzygotowanie do spełnianych zadań i groteskowe ich pojmowanie. Starostę pochłania przede wszystkim umacnianie wpływów rządu wśród zamożnego ziemiaństwa, co prowadzi do traktowania przyzwoitego wierzchowca i psów do polowania jako niezbędnych instrumentów pracy administracyjnej. W wrześnieowej ucieczce wypowiada on swoiste „jeszcze Polska nie zginęła”, ciesząc się, że nie wszystko stracone póki tytuł wicewojewody umie wycisnąć benzynę dla dygnitarskich samochodów. Tak samo frazesem przyjmuje katastrofę Most, również jej nie ogarniający swoim zakresem politycznego myślenia, rozgrzeszający siebie i towarzyszy opinią, że programy polityczne nie mogą brać pod uwagę katastrofy państwa.

Od tego zdania prosta droga wiedzie do ślepoty na niebezpieczeństwa grożące robocie prowadzonej we Lwowie. Most wciąga do niej ludzi, upajając się możliwością tragicznych następstw — za lata spędzone w opozycji bierze odwet w napawaniu się wielkością dramatu. Im zaś dramat ma większe wymiary, tym bardziej Most przejmując się swą rolą, tym gorliwiej wzywa innych do absolutnej ofiary na ołtarzu ojczyzny. Chwilami niemal podejrzewa się u tego zacnego socjalisty absurdalną reakcję psychologiczną: tamci umieli uciekać, my zaś będziemy umieli ginąć. Tworząc sieć konspiracyjną i otrzymując pieniądze zza granicy, Most pobiera imienne pokwitowania i całą tę szczegółową buchalterię trzyma dla bezpieczeństwa w wezglowie łóżka. Jak wicewojewoda przeniósł w pandemonium ewakuacji kryteria sławojowskiej sprawności administracyjnej, Most w konspiracji przenosi zapas swoich doświadczeń — skrupulatność nauczyciela szkoły powszechnej, odpowiedzialnego za składki zbierane od dzieci. Ten jeden więcej przykład oderwania od rzeczywistości, zaskoczenia przez pierwszy i siedemnasty wrześnie, załudnił w rezultacie kilkanaście cel więziennych.

Powieść Naglerowej słusznie notuje to bez komentarzy i wnoszenia oskarżeń. Były to przecież błędy bardzo częste. Zwłaszcza w pierwszym roku okupacji, przy masowym odejściu z kraju ludzi doświadczonych i braku jakiegokolwiek sieci podziemnej, przygotowanej na wypadek ewakuacji, zbyt trudne zadania musiały spadać na istoty dobrej woli, ale często niewielkiej wyobraźni i energii. Z biegiem lat podziemie wychowało własne kadry i wykształciło przywódców, początek jednak był widownią wielu aresztowań spowodowanych lekkomyślną brawurą.

Mimo to coraz nowi ochotnicy garnęli się do „roboty”. Działal tu instynkt oporu i wewnętrzna konieczność odzyskiwania czynnego miejsca w życiu przez przeciwstawianie się najeźdźcy. Zwłaszcza młodzież ślepo szła do wszelkich tajnych związków, nie zdając sobie sprawy z grożących następstw. Trzy młode łącz-

niczki ze „Sprawy Mosta” bez słowa przyjęły propozycję Marii, tak jak Maria bez namysłu przyjęła zlecenie Mosta. Cokolwiek zdarzy się później w więziennej celi, ta instynktowna gotowość konspiracyjna ma swoją wymowę i Naglerowa trafnie uchwyciła atmosferę w której w walkę rzucono się na oślep. Otaczał ją zresztą romantyczny nimb, tradycja powstań i nadzieja sprostania bohaterstwu.

Nie wiele z tego zostaje po kilku przesłuchaniach u „śledczego”, gdy więzienie przyniesie ocenę nieodwracalności faktu aresztowania. „Gromada”, której ewolucja wypełnia trzecią partię powieści, składa się z kobiet, wpędzonych przez przypadek w sferę bohaterstwa. Przywykłe do powszednich trosk i radości, do flirtów, zbierania kulinarnych przepisów albo towarzyskiej gry w posiedzenia i prezesostwa, przykładały naiwnie stare normy do niebywalej sytuacji.

Do indywidualnej niepozorności aresztowanych dołącza się czynnik zaskoczenia psychicznego. Gdyby kobiety w celi 46 dokładnie wiedziały co je czeka, prawdopodobnie cofnęłyby się przed krokiem, który zaprowadził je do więzienia. Trudno tylko odpowiedzieć czy cokolwiek zmieniłaby w swoim postępowaniu Maria; ta niepewność czyni jej postać interesującą i jeszcze ostatecznie nie sformowaną.

Znalazłszy się pod kluczem, aresztowane mogły już tylko albo skarcić i poniżyć się albo dorosnąć do swego losu. Psychologia owego „dorastania” wypełnia rozdziały „Gromady” a przypadkowy dobór uwięzionych jest częścią pisarskiego planu pokazania czym jest więzienie i tortura dla zwykłych ludzi. Przed wojną był w literaturze okres „szarego człowieka”, Naglerowa nawiązuje do niego w tym znaczeniu, że pisze powieść o szarych ofiarach prześladowań, o cierpliwych więźniach.

Wojna namnożyła naocznych świadków potworności i piękne słowa połączone z romantyczną fikcją stały się niemożliwe. Przy powszechnym poznaniu nieszczęścia i granic ludzkiej odporności na cierpienie, tylko realizm pisarski mógł podejmować tę sprawę. Jeżeli pisanie o takim temacie ryzykował człowiek, który sam nigdy nie przeżył podobnej sytuacji i dzielił ludzi swojej powieści na dobrych i złych, słabych i mocnych, piekło brukowały dobre intencje jak np. w wypadku powieści Remarque’a o niemieckich obozach koncentracyjnych*). W tym też leżała główna literacka trudność tematu, że człowiek z zewnątrz nie mógł uchwycić stanu ostatecznej szczerości wobec samego siebie powstającego w więzieniu, uczestnik zaś nie mógł oderwać się od relacjonowania faktów.

Czas więzienny jest powolny, ale wytrwały i nieustępliwy jak rdza. Przeżera wszystko co nie jest z najszlachetniejszego kruszcu. Na Zamarstynowie więzienie odziera nie tylko z normalnego wyglądu i pozycji społecznej, ale także z ról, które każdy przywykł grać przed sobą i przed innymi, w pracy i w do-

*) REMARQUE Erich-Maria, *L'Étincelle de vie*, Plon, Paryż, 1953.

mu. Przesypując skrupulatnie piasek drobnych więziennych epizodów, Naglerowa pokazuje, jak ludzie muszą stopniowo zbliżyć się do prawdy o sytuacji i o sobie. Jest to ciężki przymus przed którym ofiara broni się ucieczką w przeszłość i powtarzaniem zwrotów i gestów, obowiązujących na wolności. Wieczny niepokój kobiet stanowi kontrast ze spokojem Marii. Mimo milczenia i rezerwy Maria tworzy ośrodek celi. Otacza ją pewien nimb dotkliwego śledztwa, dla dziewcząt jest oparciem psychicznym przez sam fakt dawnego zwierchnictwa z konspiracji, ale istota rzeczy polega na podziale na nieuświadomionych oraz — istotę świadomą. Wszyscy wyczuwają poznanie przez Marię tajemnicy więzienia. Maria bowiem skosztowała już z drzewa „świadomości złego” i znalazła się poza zasięgiem frazesu. Narodziła się na nowo, gdy zerwała się nitka łącząca z przedwojenną przeszłością, a szesnastolatek ze „sprawy” zajął chyba więcej miejsca w jej sercu niż własny syn. Od falowania nadziei i rozpacz, a także od złudzeń o bohaterstwie odziela ją ostra, czerwona linia prawdy.

III.

W powieści Naglerowej mickiewiczowski symbol przemiany — „obiit Gustavus, natus est Conradus” — sprowadza się do pierwszej części; druga pozostaje pamiątką z czasów kiedy nie znano obozów koncentracyjnych. Nie znaczy to jednak, aby rozplynięciu się cienia jakim jest dawne istnienie, miała towarzyszyć zupełna klęska. Pojęcie klęski i zwycięstwa zmieniło się wśród ciągłych śledztw, przeplatanych lodowatym karcerem. Nikną tak absolutne kategorie jak zacięte, wzgardliwe milczenie, albo przyznanie się do winy. W nieustannej walce, toczonej przez fizyczną bezsilność więźnia z wypróbowanym aparatem przemocy, wartości sukcesu nabiera nawet częściowe zatajenie informacji, albo opóźnienie jej wyznania. Miarą wyniku zmagania nie jest już obiektywny fakt rezultatów osiągniętych przez śledztwo, ale samopoczucie więźnia, którego sumienie staje się najwyższym sędzią.

Maria, osadzona w karcerze, przekonywa się, że bohaterstwo, niezależność osobista i wierność dla Mosta mierzą się odpornością ciała na bicie, zmiany temperatury i światło elektryczne. Pożegnanie się z niepowrotną przeszłością pozostawia jej jedyne pole działania — każdorazowe najbliższe śledztwo. Na poprzednim doprowadzono ją do stanu, w którym wybełkotała wszystko czego od niej chciano, a okres przerwy nie pozostawiał wątpliwości, że poddana temu samemu zabiegowi znów się zmieni w skatowane zwierzę. Czerwona linia prawdy o więzieniu odcięła nawet moc modlitwy, przynoszącej może ulgę po przesłuchaniu ale nie zmieniającej momentu składania zeznań.

Mimo to, kiedy więzienie pokazało słabość skrupułów moralnych i kiedy w myślach pozostał tylko nagi szkielec konieczności, Maria, przegrywając „sprawę Mosta”, nie przegrywa własnej. Doszedłszy do dna więziennego życia i znajomości samej siebie,

trafia na jakieś jądro osobowości, ostateczny ośrodek indywidualnej woli, na instynkt, który jej każe nie popełniać świadomie tego, co popełni z pewnością w stanie zamroczenia. Przy następnym przesłuchaniu wróci do taktyki: „nie wiem”, „nie pamiętam”, trzeźwo przewidując że po którymś tam uderzeniu powie z ulgą „kłamalam” i wróci do swej naturalnej uległej natury. Osiągnięcie tego dualizmu, pogodzenie się ze słabością ciała, które zawsze zdradzi i oparcie się o wolę, która zawsze będzie wierna dopóki czuwa nad nią świadomość — ocala Marię.

Przeciwieństwem Marii jest rozmodlona, rozżebrana Jadwiga, uciekająca przed rzeczywistością swej więziennej sytuacji. Nie znalazłszy owego jakby archimedesowego punktu oparcia dla poniewieranego człowieczeństwa kradnie chleb; znowuż inna schlebia sędziemu śledczemu i zostaje donosicielką. Tak więc cała gra sprowadza się do dostrzegania w ciemności czerwonego sygnału granicy upadku, dopóki bowiem nawraca się do jego światła, dopóki w błysku świadomości odwołuje się zeznania, dopóty udaje się uratować osobowość od rozkładu.

Większość ludzi nie wytrzymuje tortur. Jest to jednak tylko sprawa ciała, sprawą duszy — jest decyzja zaryzykowania tortury wtedy, gdy zna się jej działanie.

IV.

Prozaiczną prawdę o więzieniu Naglerowa odśladania oględnie, stworzywszy intymny kontakt z myślami Marii.

W ślimaczących się dniach i tygodniach celi 46., inne kobiety zbliżają się powoli do rezultatów Marii, aczkolwiek nie każda zdobędzie się na tyle szczerości i wyrzeknie się kłamliwego frazesu, nakładanego jak plaster na nieuleczalną ranę. Działaczka Droszowa zdaje sobie sprawę przy konfrontacji z bratem, że dzielny oficer zmienił się w łachman człowieka i wszystko powiedział. Mimo to, nie potrafi potępić jego słabości — w myśl zasad głoszonych przez nią w celi — odwróceniem głowy. Ten moment jest krótką chwilą jej więziennej dojrzałości. Wróciwszy do współwięźniarek, znów będzie rozpowiadać o bohaterstwie brata, szukając bezpieczeństwa i pociechy w romantycznym frazesie własnych kłamstw i narodowej grandilokwencji. Zaczynamy wtedy podejrzewać jej przedwojenną działalność społeczną, dzielącą ludzi na tych, którzy zawsze będą potrzebowali pomocy i tych, którym dobroczynny fakt cudzej biedy pozwala na praktykowanie cnoty i częste okazje prezesowania.

Najdzielniejsza z łączniczek, Hanka Korcówna, zadufana w niezwykłej młodości, też nie zdobyła się na stanięcie twarzą w twarz z niebohaterską prawdą więzienia. Dopiero po wigilijnej demonstracji, kryzys przeżyty we wspólnej nędzy karceru wyjawia, że i buńczuczna Hanka w końcu „sypnęła” na śledztwie. Nie godząc się z porażką, zepchnęła jej fakt w wewnętrzny tajemnicę. Zaprzeczyła mu sama w sobie. Odtąd trzęsły nią nerwy, dręczyła złość, że „przeliczyła się z siłami” i rósł w niej bunt przeciw nikczemności zdradzającego ciała. Mógł go

uspokoić powrót do uwznioślającego frazesu, do — tak drogiego naszemu sercu — pozoru wyższości i zwycięstwa. Hanka znalazła to w manifestacji wigilijnej, polegającej na zbiorowym odśpiewaniu kolęd przez wszystkich więźniów. Odważna, wyzywająca, brała w niej odwet na własnej słabości. Koniec tej pomyłki był tragiczny: tortura niszcząca kobiecość dziewczyny doprowadziła do gangreny i śmierci. Dopiero w śmierci została pogodzona z rzeczywistością więzienia, gdy ją zabierali „jeszcze ciepłą, miękką i jakby żywą w swej uległości”.

Jest głęboka konsekwencja artystyczna w torturze i śmierci Hanki, będącej poniekąd symbolem odkupienia przez ciało dawniejszej słabości poddania się razem i symbolem rozgrzeszenia dziewczyny z jej kompleksu bohaterstwa. Tak samo konsekwentne jest wprowadzenie motywu prowokacji. Kiedy bowiem strażnicy złamali wigilijną manifestację, mężczyźni skatowali a część kobiet znalazła się w obłodzonym karcerze, rozeszła się pogłoska, że wieczór kolęd był zorganizowaną prowokacją. Najmocniej podtrzymują to łączniczki Marii; czy nie dlatego tak skwapliwie chwyciły się tej plotki, że zobaczyły smutny wynik jednego więcej nieprzemyślanego, romantycznego gestu? Naglerowa zostawia ten znak zapytania...

Do więzienia, oprócz Marii, naprawdę dorosła tylko Elżbieta, matka dzieci wywiezionych do rosyjskiego sierocińca. Zdobywając się na życzenie, aby mogły jak najrychlej zapomnieć o matce, zadaje truciznę swemu macierzyńskiemu sercu.

Pozostaje intrygujące pytanie, co nie pozwalało kobietom, więzionym w celi 46., ulec pokusie i zeznawać dobrowolnie, unikając bicia. Jeżeli to był instynkt, ten sam instynkt kazał uparcie odwoływać zeznania i powtarzać udrękę, choćby i bezcelowo, skoro wydobyta informacja i tak już uruchomiła dalsze kółka śledczego mechanizmu. Instynkt jednakże działa ślepo i ma korzenie w warstwach psychiki, leżącej głębiej niż podświadomość. Jung nazywa je „podświadomością zbiorową” — powieść Naglerowej oświeśla je przelotnym światłem, trafiając na przekazywany krwią instynkt polskości.

V.

„Sprawa Józefa Mosta” mogła się stać powieścią bardziej dramatyczną i szerzej wykroczyć poza transpozycję więziennych obserwacji autorki. Na zajmowanie się światem o węższym widnokręgu skazywał ją zamiar dotarcia do jakiejś nieodwołalnej reakcji na najazd i niewolę, oraz ambitne w swej skromności postanowienie śledzenia tego odruchu u ludzi zwykłych i zazwyczaj małego serca. Uczciwość wobec materiału i tematu dyktowały rytm narracji — sylwetki postaci z wolna wyłaniają się z więziennego mroku, wątle odbłaski rozjaśniają poszczególne sceny i przygasają cicho jak dzień za mętną szybą więzienia. Życie celi, gdzie w monotonii czterech ścian prawie ten sam wydźwięk mają rzeczy ważne i nieważne, podlega ogólnemu osłabieniu reagowania i zmęczeniu, a książką oddaje tę atmosferę

z sugestywnością, przypominającą chwilami rozlewne wiejskie opowiadania Hamsuna, gdzie ładunek burzy zbiera się tak leniwo, że pozornie nic się nie dzieje. W oszczędności tego sposobu pisania o czymś nieszczęściu można znaleźć szacunek wobec cudzego bólu, nie pozwalający na dotykane drażliwego miejsca niepotrzebnymi słowami. W związku z tym „Sprawę Mosta” trzeba postawić obok „Medalionów” Nałkowskiej i więziennych opisów Marty Rudzkiej, jeśli idzie o styl i słowo, na zupełnie zaś osobnym miejscu — jako polską powieść o więzieniu.

Wśród kobiet, przegaszonych mrozem i głodem, nie zjawia się dość ostry konflikt, aby wzmocnić emocjonalne napięcie powieści. Rutynę celi przerywają tylko śledztwa, podobne do siebie i — z wyjątkiem badania Marii i konfrontacji Droszowej — zaznaczone wzmianką. Nie mogło być inaczej, jeśli i sama sprawa Mosta była raczej pospolita i typowa i jeżeli udział w niej kobiet z „Gromady” ograniczał się do rzeczy zwykłych w takich wypadkach. Istotna akcja polega na wewnętrznych zmianach w osobowości aresztowanych, ale na ten prawie nieuchwytny ruch psychiczny trzeba czekać długo i cierpliwie, jeśli się chce go uchwycić *in statu nascendi*. Toteż zrozumiałe że pisanie o wewnętrznym wzrastaniu Marii, kontrastowanie tego procesu z reakcjami innych kobiet, szkicowanie gromadzkiego życia, prosiło się o podporę, o obręcz kompozycyjną ze strony samej sprawy Mosta, ale czekamy na moment kiedy powieść obejdzie się już bez tego dodatkowego wytyczania drogi. Mimo jednak pozorów bezruchu jest to intensywny skrót życia, tak jak okres ciężkiej choroby, w którym może się decydować sprawa życia i śmierci, a równocześnie trwać na wpół letargiczny stan, wypełniony odruchami instynktu i wizjami przeszłości oglądanej już teraz z innej perspektywy. Na tle odbicia w literaturze przeżyć, związanych z ostatnią wojną i Sowietami, „Sprawa Józefa Mosta” jest pozycją uderzającą przez szeroki powieściowy zakrój, ascetyczne — choć i niebezpieczne — rezygnowanie z węzłów akcji, problemy polityczne i głębszego indywidualizowania postaci, poza jedną Marią Łużyńską.

Tylko doświadczone pióro było zdolne do przyjęcia tylu ograniczeń. W ich ramach cykl „Za zamkniętymi drzwiami” jest pisany z dojrzałością i opanowaniem, godnym podziwu wobec świeżości i patosu faktów, jakie dostarczyły materiału powieści. Dystans od świetnego, w swoim rodzaju, stylu „Krauzów” znaczy choćby ten niezapomniany opis więźnia: „Widocznie zeznał wszystko, bo głos mu się zapodział i tak samo zapodziały się oczy, usta wciągnął w głąb, w pustą jamę i zakaszał. Chyba już tylko w ten sposób potrafił płakać”.

Suchy opis ograniczony do obserwacji, uwolniony od sentymentalizmu, daje wstrząsający obraz, streszcza całe więzienne dzieje dawnego oficera. Z tym szczytowym momentem wolno zestawiać tragiczne piękno „Apelu” Andrzejewskiego.

Zdzisław BRONCEL

Pamiętniki Hoovera

Obok Prezydenta Wilsona, H. Hoover należy do najbardziej znanych i cenionych osobistości amerykańskich okresu I-ej wojny światowej. Już sam ten fakt rodzi zrozumiałe zainteresowanie jego wspomnieniami (*The Memoires of Herbert Hoover*, 3 vol. 1952) jakie niedawno ukazały się w druku. Jeśli idzie o nas, Polaków, pamiętać winniśmy, że Hoover był jedynym z prezydentów Ameryki, który kilkakrotnie odwiedził Polskę.

Obszerne wspomnienia Hoovera rozpadają się na dwie części. Pierwsza obejmuje okres do końca wojny, innymi słowy pierwszych 40 lat życia późniejszego prezydenta Stanów. Czas ten, poza wiekiem szkolnym, spędził Hoover prawie w całości zagranicą pracując jako inżynier górniczy w Australii, N. Zelandii, Chinach, Burmie, Rosji, Meksyku i W. Brytanii. Z wybuchem wojny porzucił swoje dawne zainteresowania i przeszedł do pracy społecznej organizując dożywianie okupowanej Belgii i Francji. Po wejściu Ameryki do wojny Hoover stał się swego rodzaju dyktatorem żywnościowego obozu zachodniego, później sekretarzem handlu Harding'a i Coolidge'a w końcu zaś w 1928 r. prezydentem Stanów. Pobity przez Roosevelta w 1932 r. osiadł w Palo Alto w Kalifornii, gdzie dotychczas przebywał. Drugą część pamiętników poświęcona jest generalnej rozprawie pokonanego republikanina z jego następcą w Białym Domu.

Hoover pochodzi z rodziny Kwaków. Urodził się (1874) w stanie Kansas, stanowiącym „Kresy” ówczesnej Ameryki i od wczesnej młodości okazywał duże uzdolnienie do techniki, co znalazło swój wyraz w wyborze zawodu inżyniera górniczego.

Jako duchowy potomek Williama Penn'a, Hoover nienawidził wojny. Jest to zrozumiałe i dlatego że „Towarzystwo Przyjaciół” (nazwa pod którą występują Kwakrzy) oznacza nie tylko pewną doktrynę ewangeliczną ale przede wszystkim atmosferę, postawę wobec życia oraz sposób i metodę podchodzenia do zagadnień życiowych. Stąd pacyfizm Kwaków, który w wydaniu amerykańskim objawił się w różnych odmianach izolacjonizmu.

Istnieje pogląd wyrażony po raz pierwszy pod koniec XIX w. przez historyka harwarskiego F. Turnera, a przyjęty ogólnie w nauce amerykańskiej, wedle którego „granica” czyli kresy były decydującym elementem we wzroście republiki i formowaniu narodowego charakteru jej mieszkańców. Hoover był kresowcem i pewne elementy jego charakteru jak konserwatyzm, stosunek do ubóstwa, itp. nosiły piętno pionierskiego okresu jego młodości. Ojciec jego, kowal z zawodu, odumarał go wcześniej. Dzięki pomocy rodziny mógł młody Hoover ukończyć szkołę elementarną po czym, po przerwie, spowodowanej koniecznością pracy zarobkowej, dostał się do świeżo założonej szkoły górniczej, którą chlubnie ukończył.

Hoover kopał złoto w Australii, ołów i srebro w Burmie, cynk i węgiel w Chinach, miedź w Rosji, turkusy na półwyspie synajskim, diamenty w Afryce itd. Kopał z takim powodzeniem, iż po kilkunastu latach pracy był zamożnym człowiekiem. Gdy w 1914 r. zwrócili się do niego Belgowie, z prośbą o zorganizowanie dożywiania okupowanej przez Niemców ich ojczyzny, Hoover zgodził się od razu, stawiając jako warunek, iż nowe swe obowiązki pełnić będzie honorowo i żadnych poborów, czy zwrotów kosztów nie przyjmie. Na analogicznych warunkach angażował później do Komisji zamożnych Amerykanów, którzy, jako obywatele państwa neutralnego stanowić musieli trzon organizacji.

Komisja dożywiania Belgii (*The Commission for Relief in Belgium*), która stała się tytułem do późniejszej sławy i wpływów Hoovera, nie była ani organizacją charytatywną ani komitetem pomocy ofiarom wojny, jakie istniały niemal we wszystkich państwach wojujących. Już pierwsze odwiedziny Hoovera w okupowanej Belgii i w niektórych departamentach Francji przekonały go, iż jego akcja objąć musi całość żywienia ludności. Organizacja, którą dla tego celu stworzył nie ma dotychczas precedensu ani w prawie ani w praktyce międzynarodowej. Komisja belgijska była nie tylko neutralną oazą w morzu walczących, ale państwem w państwie, organizacją posiadającą wszelkie znamiona suwerenności, jak prezydent, rząd, ambasadorów, oddzielną flagę, własną flotę, duży budżet, policję itd. oraz, co może najważniejsze, sporą życzliwość obu stron walczących. Nie sposób ani rozmach, z jakim Hoover zabrał się do dzieła, zasługuje na podkreślenie, ale odzew, jaki znalazł po drugiej stronie oceanu wśród milionów podobnie myślących i czujących Amerykanów, którym wskazał drogę „czynienia dobrze”. W Białym Domu zasiadał wówczas człowiek o formacji duchowej zbliżonej do Hoovera. Gorące poparcie prezydenta Stanów było samo w sobie zwycięstwem też Hoovera, reszty zaś dokonała opinia amerykańska, dla której nieznany nikomu młody inżynier, stał się w krótkim czasie jedną z czołowych postaci nowej rzeczywistości wojennej.

Początki Komisji belgijskiej były trudne ze względów politycznych. Po uzyskaniu zgody W. Brytanii — co bynajmniej nie poszło łatwo — Hoover udał się do Paryża i przedłożył swój plan rządowi francuskiemu w osobie ministra spraw zagranicznych T. Delcasse'go. Hoover apelował nie tylko o zezwolenie na działalność Komisji ale i o fundusze na dożywianie Francuzów, zamieszkałych w kilkunastu departamentach, zajętych przez Niemców. Audjencia zakończyła się zupełną klęską Amerykanina. Delcasse oświadczył kategorycznie, iż Francja nigdy nie zgodzi się na to, by komisja swą działalnością kryła barbarzyństwo, jakich dopuszczają się Niemcy wobec ludności cywilnej. „Opuściłem — pisał Hoover — pokój ministra z uczuciem poniżenia i postanowiłem po powrocie do Londynu złożyć prezesurę Komisji. Stało się jednak inaczej. Hoover nie zdążył bowiem jeszcze spakować walizek, gdy mu zameldowano wizytę nieznanego starszego gentlemiana. Był to M. Homberg, prezes jednego z wielkich banków paryskich, który poprosił o finansowe szczegóły planu, dodając, że zobaczy czy i co da się w tej sprawie zrobić. Na drugi dzień w Londynie wręczono Hooverowi czek na 7 mil. dolarów, i odąd regularnie co miesiąc ten sam bank francuski przekazywał mu sumę 3 mil. Do końca wojny Hoover nie mógł się dowiedzieć skąd pieniądze pochodziły, gdyż bank zasłaniał się zawsze tajemnicą handlową.

Fikcja, którą zainicjował Delcasse utrzymała się do końca wojny. Formalna szlachność była po stronie Quai d'Orsay, merytoryczna po stronie Hoovera. Po uruchomieniu w Londynie Komisji dla Belgii, rząd francuski nie mógł nie finansować odżywiania swych obywateli, gdy sąsiednia Belgia z pomocy takiej korzystała.

Wynowne są cyfry czteroletniego istnienia Komisji. Wydano w tym okresie okragło miliard dolarów. Na sumę tę składają się następujące sub-sydia, awanse i pożyczki: Anglia 10 %, Francja 20 %, Stany Zjedn. 40 %, Belgia 0,7 %, różne operacje 17 %, reszta w wysokości 53 mil. dolarów pochodziła ze składek publicznych, zebranych w lwiej części przez Amerykanów. W tym samym czasie tj. pod koniec 1918 r. zebrano na pomoc Polsce kwotę nie przekraczającą 25 mil. franków szwajcarskich, czyli 10 razy mniej, nie należy jednak zapominać, że Belgia była wówczas beniaminkiem Zachodu i że w zbiorcach publicznych brał udział cały Zachód łącznie z narodami neutralnymi.

W pamiętnikach Hoovera wzmianek o Polsce jest sporo, zwłaszcza z okresu konferencji pokojowej.

W połowie 1915 r. zwrócił się do Hoovera Paderewski z prośbą o uzyskanie zgody państw wojujących na zorganizowanie pomocy dla Polski na zasadach Komisji belgijskiej. Niestety, tak Niemcy jak i Anglia sprzeciwili się w zdecydowany sposób temu projektowi. W ostatnim roku wojny Paderewski odwiedzał często Hoovera w Waszyngtonie i informował go o pracach Komitetu Narodowego. Przed wyjazdem do Polski Paderewski zaapelował o pomoc fachową prosząc o wysłanie amerykańskich ekspertów. Misja Hooverowska pod przewodnictwem Dr Vernon Kellogg'a przybyła do Warszawy 4 stycznia 1919 r. W skład jej wchodził „that most invaluable person” Maurice Pate. Ponieważ alianci nie posiadali w Warszawie swoich reprezentantów (polityczna misja międzysojusznicza pod przewodnictwem amb. Noulens'a przybyła później) Dr Kellogg, w ciągu kilku dni, na tyle zorientował się w sytuacji, iż doradzał Hooverowi utrzymanie Piłsudskiego na czele państwa z tym, że stanowisko premiera winno zostać powierzone Paderewskiemu, który wówczas, po triumfalnym przejeździe przez wyzwolony Poznań, przybył do stolicy. W depeszy swojej prosił Kellogg o upoważnienie go do oświadczenia Piłsudskiemu, iż Amerykanie nie udzielą żadnej pomocy Polsce, jeśli koncepcja ta nie zostanie zrealizowana. Stanowisko to zaaprobował Hoover, dodając w depeszy de Kelloga, że Wilson popiera tę koncepcję. Wkrótce potem, Paderewski został premierem a 30 stycznia 1919 r. Stany Zjednoczone uznały rząd R. P. Kolejne uznania zachodnie nastąpiły w ciągu następnych kilku tygodni.

Podczas konferencji wersalskiej Paderewski bezpośrednio oraz przez Hoovera i House'a zachęcał do odwiedzenia Polski Wilsona, który dla jej niepodległości uczynił więcej niż jakikolwiek inny zachodni mąż stanu. Wilson jednak do Polski jechać już nie mógł. W sierpniu 1919 r. Hoover w charakterze zastępcy Wilsona przybył do Polski, witany ze szczerym entuzjazmem ludności która widziała w nim nie tylko pierwszego przedstawiciela szlachetnego narodu amerykańskiego ale i wielkiego filantropa i dobrego człowieka. Obecnie z dystansu 30 lat można bez żadnej przesady stwierdzić, iż spośród wielu Amerykanów, którzy w różnych czasach Polskę odwiedzali, żadna z ekip nie wzbudziła tyle sympatii i szczerzej życzliwości jak grupa hooverowska. Wielu z jego współpracowników doszło później do najwyższych stanowisk w kraju. L. Strauss, obecny prezes komisji atomowej, jest b. sekretarzem Komisji, a niedawno zmarły senator R. Taft był jej doradcą prawnym.

Specjalne miejsce należy się Hugh Gibsonowi, jednemu z najbliższych ludzi Hoovera. Był on w czasach belgijskich *sui generis* ministrem spraw zagranicznych Komisji a w 1919 r. na wniosek Hoovera został pierwszym pośtem Stanów w odrodzonej Polsce. Inny członek Komisji Edwin Shattuck był przez cały czas naszej niepodległości doradcą prawnym ambasady i współnegocjatorem wszystkich trudniejszych umów, jakie nasz rząd zawierał. Pierwsza gruntowna, obszerna i rzetelna książka o Polsce, jaka po wojnie ukazała się na zachodzie wyszła spod pióra jednego z członków Komisji. Była to „New Poland” Kap. C. Philipsa.

Choć pamiętniki Hoovera o tym nie mówią, godzi się wspomnieć o jego ostatniej inicjatywie związanej z pomocą dla Polski. Po kampanii wrześniowej, Hoover przybył z Kalifornii do N. Yorku z zamiarem uruchomienia pomocy dla naszego narodu. Myślał wówczas o powołaniu do życia organizacji neutralnej, która opierając się o doświadczenia belgijskie, objęłaby, choć w mniejszym zakresie niż poprzednio, uruchomienie pomocy dla najbardziej wojną dotkniętych Polaków w kraju. Korzystając z dobrego imienia, jakim cieszyli się u Niemców Kwakrzy, Hoover wysłał w październiku 1939 r. misję do Warszawy i Krakowa. Misja wróciła do N. Jorku wysoce zniechęcona postawą Niemców i chociaż Kwakrzy nie tracili nadziei, plany Hoovera zaczęły napotykać na coraz większe trudności już nie tyle w Niemczech co

w samej Ameryce. Gdy w 1914 r. czynnikiem decydującym była postawa narodu amerykańskiego oraz Wilson, w 1939 r. wszystko wyglądało inaczej. Ustawodawstwo dotyczące zbiorów pieniężnych było surowsze niż dawniej, Polska była Łazarzem w porównaniu do zasobów belgijskich w 1914 r., rządy zaś alianckie — poza polskim — były albo niechętne tej myśli albo wręcz wrogie. Churchill miał znacznie większy głos niż w r. 1914 a Roosevelt stał osobiście i politycznie tak daleko od tego, co myślał i czuł Hoover, iż trzeba by było jakiegoś cudu, by plan taki mógł być, choć w części, urzeczywistniony.

Na zakończenie, parę słów o Hooverze jako polityku.

Obok Waszyngtona i Eisenhowera, Hoover był jedynym szefem państwa, który — poza prezydenturą — nie ubiegał się nigdy o żaden urząd z wyboru. Nie był więc nigdy politykiem w normalnym tego słowa znaczeniu. Jego mocną stroną była nie polityka lecz administracja.

Prezydentura jego wypadła w parę miesięcy po słynnym krachu nowojorskim, w okresie największego nasilenia izolacjonizmu amerykańskiego, który trwałby do dzisiaj, gdyby nie Hitler. Do drugiej wojny światowej dwie trzecie narodu amerykańskiego hołdowało bezwzględemu izolacjonizmowi, pozostała zaś reszta dzieliła się na zwolenników Ligi Narodów z wynikającą z jej statutu koniecznością interwencji oraz na takich, którzy wypowiadając się za czynną polityką zagraniczną kraju i sympatyzując z Ligą, możliwość interwencji zbrojnej czy choćby zagrożenia wojną — odrzucali. Hoover należał do tej ostatniej grupy a myśląc o ponownym wyborze, musiał się liczyć z sentymentem większości. Dziś, jak miliony Amerykanów, musiał i on swe poglądy poddać daleko idącej rewizji.

S. GRUSZKA

Zapomniane prace historyczne

W roku 1926 zawiązany został „Comité International des Sciences Historiques”, który w dwa lata później, na wniosek belgijskiego uczonego Henri Pirenne, postanowił założyć kartotekę naukowych wydawnictw jubileuszowych krajów europejskich oraz opublikowanych w tych wydawnictwach prac o międzynarodowym znaczeniu historycznym. Kartoteka ta miała służyć za podstawę projektowanego wówczas pod egidą Komitetu wydawnictwa, obejmującego bibliografię wszystkich tych prac. Uchwalono, że każdy kraj sporządzi u siebie „fiszki” wydawnictw i artykułów i prześle je do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie pod nadzorem prof. Marcelego Handelsmana miała być dokonana praca przesegregowania i zestawienia do druku całego materiału.

Zbieranie fiszek z różnych „Mélanges” przedłużyło się do końca 1938 r., kiedy to wszystkie państwa, reprezentowane w Komitecie, dostarczyły wreszcie mniej lub bardziej uporządkowane zestawy kart, tak, że można było rozpocząć prace redakcyjne, które prof. Handelsman powierzył p. H. Bachulskiej.

Napad niemiecki na Polskę, klęska wrześniowa i okupacja przerwały te prace. Międzynarodowy Komitet Nauk Historycznych nie wiedział co działo się z jego własnością, zdeponowaną w Warszawie. Po wybuchu powstania w r. 1944 i spaleniu stolicy sądzono, że ofiarą barbarzyństwa padła również mozolnie gromadzona kartoteka jubileuszowych wydawnictw naukowych.

Kartoteka jednak nie zaginęła i w r. 1950 odnalazła się... w Berlinie, dokąd została przewieziona przez Niemców w początkach okupacji, a więc najprawdopodobniej nie dlatego, aby uchronić ją od zniszczenia. Jeden z historyków niemieckich, członek Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych, odnalazł około 40 pudełek z kartkami w Bibliotece Państwowej w Berlinie i powiadomił o tym fakcie prezesa Komitetu, którym był wówczas prof. Uniwersytetu Zurychskiego Hans Nabholz. Na skutek energicznej interwencji prof. Nabholza, kartoteka została odzyskana i przewieziona do Szwajcarii. Znajduje się ona obecnie w Archiwum Państwowym w Zurychu, gdzie pod nadzorem prof. H. Nabholza podjęto prace redakcyjne, przerwane w czasie wojny w Warszawie.

Kartoteka zawiera m. inn. dział polski, któremu warto poświęcić nieco uwagi, charakteryzuje on bowiem w dużym stopniu wielką twórczość naukową w kraju przed pierwszą wojną światową i następnie, między dwiema wojnami. Dział ten zawierał niestety duże luki w kartach prac opublikowanych w wielu najpoważniejszych wydawnictwach jubileuszowych, które najprawdopodobniej zaginęły w czasie wojny w Warszawie lub w Berlinie. Zachowały się jednak, na szczęście, karty tytułowe ksiąg. Po przesłaniu ich do Warszawy, prof. J. Manteuffelowi udało się w dużym stopniu uzupełnić luki.

Po wyeliminowaniu wydawnictw o znaczeniu lokalnym i drugorzędnym, jak liczne księgi pamiątkowe szkół, towarzystw, straży pożarnych itp., zestawiono w Zurychu 67 polskich Ksiąg Jubileuszowych o charakterze naukowym, w tym 46 tzw. „Mélanges” obejmujących prace na różne, choć pokrewne, tematy, którym towarzyszą karty bibliograficzne opublikowanych w nich prac, mogących interesować historyków, oraz 21 ksiąg, poświęconych w całości jednej osobistości lub jednemu przedmiotowi (np. A. Mickiewiczowi, Vergiliuszowi, zjazdowi historyków polskich etc.) Po kilkakrotnej selekcji uwzględniono około 430 prac, które wejdą z nazwiskami autorów i tytułami artykułów do projektowanego wydawnictwa Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych. Niestety, z braku wielu kart bibliograficznych, nie wszystkie prace, nawet o znaczeniu międzynarodowym, będą mogły być uwzględnione.

Najstarszą księgą pamiątkową, figurującą w kartotece działu Polskiego, jest książka zbiorowa ofiarowana Kazimierzowi Władysławowi Wójcickiemu, wydana w Warszawie w r. 1862. Następnie idą — z wydawnictw XIX w. — księga ku uczczeniu pracy dziennikarskiej Pawła Stalmacha (Kraków 1873),

księga dla uczczenia 50-letniej działalności literackiej J. I. Kraśzewskiego (Warszawa 1880), Księga w 300-tą rocznicę Jana Kochanowskiego (Kraków 1884), Pamiętnik Słuchaczy Uniwersytetu Jagiellońskiego na uroczystość otwarcia „Colegii Novi” (Kraków 1887), dwie księgi dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza (Warszawa 1898 i Petersburg 1898), księga dla uczczenia Aleksandra Świętochowskiego (Lwów 1899) oraz dwie księgi pamiątkowe dla uczczenia 500-nej rocznicy Uniwersytetu Jagiellońskiego, jedna wydana przez uczniów tegoż Uniwersytetu (Kraków 1900), druga przez Uniwersytet Lwowski (Lwów 1900).

Od roku 1901 do końca pierwszej wojny światowej polska praca naukowa na polu historycznym i literackim rozwija się coraz bardziej intensywnie. Ten okres figuruje w kartotece Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych ilością 15-tu poważnych wydawnictw jubileuszowych polskich. Ukazuje się więc Pamiętnik Kielecki ku uczczeniu A. Mickiewicza (Kielce 1901), Księga ku uczczeniu Ludwika Cwiklińskiego (Lwów 1902), „Myśl”, księga zbiorowa wydana staraniem redakcji „Ogniwa” (Warszawa 1904), księga dla uczczenia Jana Karłowicza, wydana staraniem redakcji „Wisła” (Warszawa 1904), dwie księgi poświęcone pamięci Mikołaja Reja (Warszawa 1905 i Lwów 1906), księga wileńska poświęcona pamięci A. Mickiewicza i T. Zana w 50-tą rocznicę ich zgonu (Wilno 1906), Studia Historyczne ku czci prof. Wincentego Zakrzewskiego (Kraków 1908), Pamiętnik Zjazdu Historyczno-Literackiego im. Mikołaja Reja (Kraków 1910), Pamiętnik podobnego zjazdu im. J. Słowackiego (Lwów 1910), księga ku uczczeniu Bolesława Ulanowskiego (Kraków 1911), Księga obchodu 100 rocznicy Fr. Chopina (Lwów 1912), Księga pamiątkowa 250-tej rocznicy założenia Uniwersytetu Lwowskiego (Lwów 1912), Księga ku uczczeniu 100-nej rocznicy narodzin Zygmunta Krasińskiego (Lwów 1912), Księga „Z dziejów Ukrainy” poświęcona pamięci Włodzimierza Antonowicza, Paulina Święcickiego i Tadeusza Ryłskiego, wydana w Kijowie (1912), Księga ku uczczeniu Bolesława Orzechowicza (Warszawa 1916).

Polska naukowa praca wydawnicza odżywa jednak dopiero na dobre po pierwszej wojnie światowej, z chwilą odzyskania niepodległości. Znajduje to swój dobitny wyraz m. in. w liczbie 41 ksiąg zbiorowych uwzględnionych w okresie od 1920 do 1936 r. w omawianej kartotece. Oto spis tych wydawnictw, których opublikowanie, wobec nienormalnych warunków w jakich żyjemy, może mieć znaczenie dla historii nauki i kultury polskiej okresu międzywojennego (podaję tylko tytuły w skrócie):

1. Książka ku uczczeniu pierwszej rocznicy Uniw. Poznańskiego (Poznań, 1920),
2. Książka poświęcona pamięci Wilhelma Feldmana (Kraków 1922),

3. La Pologne au V^e congrès intern. des sciences historiques (Warszawa 1924),
4. Księga ku czci Oswalda Balcera (Lwów 1925),
5. Studia społ. gospodarcze ku czci Ludwika Krzywickiego (Warszawa 1925),
6. Pamiętnik IV powsz. zjazdu historyków polskich w Poznaniu (Lwów 1927),
7. W 900-tną rocznicę koronacji Bolesława Chrobrego (Poznań 1925),
8. Książka poświęcona Ignacemu Chrzanowskiemu (Lublin 1926),
9. Pamiętnik 30-lecia pracy Przem. Dąbkowskiego (Lwów 1927),
10. Księga ku czci Stanisława Dobrzyckiego (Poznań 1928),
11. Volume commémoratif du congrès intern. des Missions (Poznań 1928),
12. Pamięci Andrzeja Gawrońskiego (Lwów 1928),
13. Księga poświęcona Stanisławowi Dobrzyckiemu (Poznań 1928),
14. Studia staropolskie poświęcone Aleksandrowi Brücknerowi (Kraków 1928),
15. Księga ku czci Marcelego Handelsmana (Warszawa 1929),
16. Księga Akad. Koła Pomorskiego przy Uniw. Poznańskim (Poznań 1929),
Pamiętnik drugiego zjazdu numizmatyków i medalografów polskich (Poznań 1930),
17. Księga Wergiliuszowa (Wilno 1930),
18. Księga ku uczczeniu Włodz. Demetrykiewicza (Poznań 1930),
19. Pamiętnik V powsz. zjazdu historyków polskich (Lwów 1930),
20. Księga ku czci Władysława Abrahama (Lwów 1930-31),
21. Księga dla uczczenia 350-letniej rocznicy założenia Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie (Warszawa 1931),
22. Pamiętnik zjazdu naukowego im. Jana Kochanowskiego (Kraków 1931),
23. Pamiętnik kursu duszpasterskiego w sprawie sekciarstwa i innowierstwa (Poznań 1931),
24. Księga Polsk. Tow. Filozoficznego we Lwowie (Lwów 1931),
25. Księga ku czci Wacława Sobieskiego (Kraków 1932),
26. Studia Lwowskie (Lwów 1932),
27. La Pologne au 7-e congrès intern. des sciences historiques (Warszawa 1933),
28. Księga pamiątkowa Koła Historyków Słuch. Uniw. Stefana Batorego (Wilno 1933),
29. Charakteria Gustavo Przychocki (Warszawa 1934),
30. Zbiór prac poświęcony Eugeniuszowi Romerowi (Lwów 1934),

31. Prace historyczne poświęcone Stanisławowi Zakrzewskiemu (Lwów 1934),
32. Pamiętnik VI. powsz. zjazdu historyków polskich (Lwów 1935),
33. Księga ku czci Oskara Haleckiego (Warszawa 1935),
34. Księga ku czci Leopolda Caro (Lwów 1935),
35. Księga ku uczczeniu czterechsetnej rocznicy wydania pierwszego statutu litewskiego (Wilno 1935),
36. Księga ku czci superintendenta gen. kościoła ewangelicko-augsburskiego, Juliusza Burschego (Warszawa 1935),
37. Księga pamiątkowa międzynarodowego kongresu filozofii tomistycznej (Gniezno 1935),
38. Księga ku czci Mojżesza Schorra (Warszawa 1935),
39. Księga referatów zjazdu naukowego im. I. Krasickiego (Lwów 1936),
40. Prace historyczno-literackie księga ku czci I. Chrzanowskiego (Kraków 1936),
41. Księga ku czci Leona Pinińskiego (Lwów 1936).

Spis ten jest niekompletny albowiem: 1) uwzględnione zostały w kartotece Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych tylko wydawnictwa mogące interesować historyków i pominięte zostały wydawnictwa z innych dziedzin (np. ku czci prof. prof. medycyny) lub wydawnictwa nie zawierające artykułów i prac o większym znaczeniu międzynarodowym (np. księgi zbiorowe niektórych kół uniwersyteckich lub wydawnictwa ekonomiczne o znaczeniu wewnętrznym); 2) uwzględniono tylko te księgi zbiorowe, dla których zachowane zostały karty tytułowe w kartotece Komitetu; najprawdopodobniej wiele wydawnictw o wartości naukowo-historycznej nie zostało uwzględnionych i byłoby rzeczą pożądaną, aby historycy polscy uzupełnili tę bibliografię; 3) nie włączono do kartoteki wydawnictw z lat 1937-1939 i późniejszych, z czasów wojennych, których spis należało by ustalić.

Nawet jednak z powyższymi lukami, spis podany według omawianej kartoteki uderza w oczy wielką i stale rosnącą pracą naukowo-wydawniczą w niepodległej Polsce między dwiema wojnami, pracą, zahamowaną znów przez drugą wojnę światową i nowy zabór ziem polskich. Wkład polski do nauk historycznych, mierzony tylko choćby tą zewidencjonowaną bibliografią i załączonych do poszczególnych ksiąg pamiątkowych uzyskać można ciekawy materiał, świadczący o dokonaniu przez naukę polską wielu bardzo interesujących przyczynków lub opracowań we wszystkich dziedzinach nauk historycznych. Pierwsze miejsce zajmują, rzecz oczywista, badania dziejów dawnej i nowej Polski w aspektach: politycznym, ustrojowo-prawnym, gospodarczym, społecznym i religijnym. Wiele miejsca poświęcono naświetleniu przebiegu stosunków politycznych z wschodnimi i zachodnimi sąsiadami ziem polskich. Obok tego działu opracowań

znajdujemy jednak liczne prace badawcze z zakresu prehistorii, dziejów narodów dawnego Wschodu, historii starożytnej Grecji i Rzymu, historii kościoła, stosunków politycznych, prawnych, społecznych i kulturalnych średniowiecza i czasów nowych. Nie brak też licznych prac z zakresu pomocniczych nauk historycznych, jak geografia historyczna, archiwa, bibliotekarstwo itd. Szereg opracowań specjalnych, jak historia nauczania czasów dawnych i nowożytnych (uniwersytety, pedagogika, dziennikarstwo, literatura), historia religijna, historia wojen, historia gospodarcza i społeczna, historia prawa, obok rozważań z zakresu historiozofii ścisłej i metodologii historycznej — uzupełniają tę bogatą tematykę autorów ksiąg jubileuszowych. Nazwiska tych autorów, wśród których często powtarzają się sami jubilaci, wymienieni w podanych powyżej zestawieniach, mówią najlepiej o poziomie opracowań.

Na zakończenie jeden bardzo interesujący szczegół. Na 67 zewidencjonowanych ksiąg jubileuszowych o znaczeniu historyczno-naukowym przypadło według miejscowości wydania, pokrywających się z reguły z miejscowościami opracowań:

Miasto: Wydawnictwo:

Lwów	— 22
Warszawa	— 16
Kraków	— 12
Poznań	— 8
Wilno	— 4
Gniezno	— 1
Kielce	— 1
Lublin	— 1
Petersburg	— 1
Kijów	— 1

Trudno o lepszy i bardziej przekonujący argument, uzasadniający rolę Lwowa, tego nawskroś polskiego miasta, w polskim życiu kulturalno-umysłowym, jak fakt, że na to jedno miasto przypada największa ilość wydawnictw naukowych.

Janusz RAKOWSKI

Notatki wydawnicze

Zbiorowe i powierzchowne sądy „elity intelektualnej” szybko przesiekają w głąb społecznej gleby i żyją dziarsko w metrach, salonach hrabin i poczekalniach dentystów jako banalne, uniwersalne „clichés”. Należy dziś do tych „sądów” pogarda dla surrealistów, lekceważenie surrealizmu w malarstwie i literaturze. Z surrealizmu zapamiętano (i zdeformowano w pamięci) obrazy Salvadora Dali, absurdalne przedmioty, pewien styl wizji (i życia) oparty na nieoczekiwanych zestawieniach. Nie pamięta się (czy nie

chce się pamiętać), że surrealiści pierwsi doszli do pewnej syntezy współczesnej wizji świata i że chcąc nie chcąc każdy jest dziś trochę surrealista (choćby o tym nie wiedział, jak pan Jourdain nie wiedział że mówi prozą). Surrealiści pierwsi zrozumieli przewrót dokonany przez Marksa i przez Freuda, pierwsi zdali sobie sprawę że żyjemy w epoce rewolucji. Ale rozumiejąc rewolucję ku której idziemy, zrozumieli również i mit z którego powstał i pierwszy doprowadzili do mitycznej interpretacji życia, bez której nie można dziś myśleć ani o psychologii, ani o antropologii, ani nawet o polityce. Surrealiści dali nam nowe odczucie dzieła sztuki, nie tylko a może nawet nie tyle poprzez własny wkład, ile również, i przede wszystkim, poprzez zrewidowanie przeszłości i właściwą ocenę współczesnych. Surrealistom w znacznej mierze zawdzięczamy Sade'a i Lautréamonta, Raymond Roussela i Antonin Artaud, Klee i Picassa. Należy o tym pamiętać czytając artykuły André Bretona zebrane w *La Clef des Champs* (Ed. du Sagittaire, Paris, 1953). „Papież surrealizmu”, jak nazwano Bretona, jest dziwną postacią. Na pewno mniej utalentowany od plejady która krążyła wokół niego od czasu wydania „Manifestu” aż do ostatniej wojny, jemu jednak należy zawdzięczać jedno z najtrafniejszych sformułowań wizji świata współczesnego człowieka, sformułowanie w którym intuicja graniczy z jasnowidzeniem. Ta intuicja, w połączeniu z pasją prawdy i sprawiedliwości, uchroniła go od losu najbliższych przyjaciół: Salvadora Dali-Avidy Dollars, Paul Eluarda — stalinisty. Ten pruderyjny, niemal ascetyczny wielbiciel Sade'a, ten prorok wolności, który tak pilnie strzegł dyscypliny swej własnej grupy, jest dziś postacią niemal osamotnioną. Ale nawet z pustelni głos jego jest pełen autorytetu: ile gniewnej pasji, ile pogardy w *La Clef des Champs* dla stalinistów którzy zdradzili rewolucję, dla nikczemnych adeptów „socjalistycznego realizmu”. I co za poczucie odpowiedzialności „strażnika poezji”: najlepsze artykuły, to może denuncjacja fałszu w „Chasse Spirituelle” pseudo-Rimbauda na którą dał się nabrać Maurice Nadeau i gniewna, złośliwa nauka dana Camusowi za powierzchowną i niesprawiedliwą interpretację Lautréamonta w „L'Homme Révolté”.

Historycy masonerii — to zazwyczaj ofiary obsesji, zapamiętałe wietrzacy diabła i traktujący loże jako rodzaj europejskiej „Czarnej Ręki”. Profesor K. M. Morawski przypisywał masonerii odpowiedzialność za rozbior Polski i rozglądał się na ulicy obawiając się zemsty mafii której, jak myślał, wydał pilnie strzeżoną tajemnicę. Bardziej jeszcze popularne (może dlatego że nasza wizja panowania Ludwika XVI oparta jest bardziej na powieściach Dumasa niż na dokumentach historycznych) jest twierdzenie że masoneria powzięła około roku 1750 decyzję przeprowadzenia rewolucji we Francji i że tron został podważony kielnią. Tradycja ta została zresztą ogólnie przyjęta przez koła masońskie, które uważały się poniekąd za strażników Deklaracji Praw Człowieka. Stąd dość sensacyjny charakter książki Roger Priouret, *La Franc-Maçonnerie sous les Lys* (Grasset, Paris, 1953). Priouret twierdzi że masoneria osiemnastowieczna nie była bynajmniej kolebką, nacjonalizmów i tworem encyklopedystów, ale przeciwnie — schronieniem irracjonalizmu; że charakter jej nie był antyreligijny, a krypto-religijny; że była to jedyna siła, która w okresie racjonalizacji samego kościoła zdołała przechować formy mistycyzmu, magii i ezoteryzmu, które zasiłały później romantyzm.

Na podstawie szeregu nieogłoszonych dotychczas dokumentów dowodzi Priouret że masoneria częstokroć występowała w obronie monarchii, że wśród ofiar rewolucyjnej gilotyny był ogromny procent masonów. Książka Priouret obfituje w zabawne paradoksy — i tak Chateaubriand i Joseph de Maistre, te dwie podpory ultramontanizmu i reakcji, nie tylko wyrosli

z masonerii i z niej wynieśli część swych poglądów, ale jeszcze (przynajmniej de Maistre) wcale się tego nie wstydzili. Oczywiście był to jeszcze okres cywilizowany, sprzed sloganów o „żydo-masonerii” i sprzed „Dwóch Światów” Pawlikowskiego.

O ile książka Priouret nie przekonała mnie całkowicie, i o ile nadal myślę, że masoneria osiemnastowieczna sympatyzowała z rewolucją, jeśli jej czynnie nie organizowała, to argumenty jego przypominały mi raz jeszcze jak bardzo złożonym materiałem jest historia i jak często w ramach jednego zjawiska i jednej epoki krzyżują się prądy których sprzeczność staje się niezrozumiała, jeśli się chce wcisnąć je w ramy popularnych teorii.

Podejście do antysemityzmu jako do zbiorowej psychozy nie jest nowe. Zaslugą książki Rodolphe Loewenstein *Psychanalyse de l'Antisemitisme* (Presses Universitaires de France, Paris 1952) jest przeprowadzenie w związku z tym problemem próby sumiennej psychoanalizy. Pacjentem jest w tym wypadku chrześcijańskie społeczeństwo. Tak jak w każdej psychoanalizie, nacisk położony jest na stosunek do ojca — do judaizmu który jest zarazem ojcem naszej religii i religią Boga-Ojca. Nie jest to zresztą jedyny klasyczny motyw freudowski w antysemityzmie — drugim jest rola Żydów jako kozła ofiarnego. Ale nie porzucając metody psychoanalitycznej, prof. Loewenstein daje nam również bogate tło historyczne, ekonomiczne i polityczne.

Tak jak każde zjawisko psychiczne, antysemityzm ma formę lodowca — zaledwie czubek na świadomej powierzchni, sama masa w głębinach podświadomości. Nie wystarczy świadomie likwidować w sobie antysemityzm — trzeba zdać sobie sprawę z głębokiego schorzenia które tkwi w każdym z nas od czasu dzieciństwa, zasilanego rozmowami dorosłych, atmosferą ulicy. Książka Loewensteina może się przyczynić do sprowadzenia chociażby części tej lodowcowej masy na powierzchnię świadomości.

Gerard Reitlingen daje w *The Final Solution* (Valentine Mitchell, London, 1953) pierwsze historyczne opracowanie zamierzonej eksterminacji europejskich Żydów przez hitlerowców („Ostateczne Rozwiązanie” — tytuł książki — to szyfrowy zwrot dotyczący tej „operacji” używany przez nazich w korespondencji urzędowej i dokumentach). Książka opracowana jest na dokumentach niemieckich i daje beznamiętne sprawozdanie historii zbiorowego morderstwa poprzez przedwojenną segregację Żydów niemieckich, rezerwat w „General Gouvernment”, fantastyczny projekt deportacji wszystkich Żydów na Madagaskar, wreszcie wielkie obozy śmierci...

Jedną z rewelacji książki Reitlingena są tajne dokumenty z których wynika pobłażliwość i współwina wojska niemieckiego i cywilnej administracji z hitlerowskimi katami w tych zbrodniach.

Wśród powodzi książek o homoseksualnej tematyce, powieść Marcel Guersant, *Jean-Paul* (Editions du Minuit, Paris 1953) wywołała żywe zainteresowanie krytyków, lekarzy, psychiatrów i moralistów.

Wszystkie niemal książki pisane przez homoseksualistów o homoseksualistach stanowią apologię homoseksualizmu. Od „Corydona” Gide'a, który na podstawie obyczajów morskich żyjętek tłumaczył „naturalność” homoseksualizmu, poprzez sentymentalne opowiadki o „przyjaciółkach”, połączone ze skargą na niesprawiedliwe społeczeństwo, aż po uczciwą i głęboką

poezję Geneta, którego wizja świata jest jednak równie szaleńcza i wyjątkowa jak wizja Sade'a — literatura ta bądź usprawiedliwiała, bądź gloryfikowała pederastię.

Jean-Paul — to sumienne studium pederastii jako newrozy, to szczery, odarty z jakiegokolwiek romantyzmu dokument samotności, oschłości i więzienia psychicznego. Związek homoseksualizmu z onanizmem i z narcyzysmem, skastrowana wizja świata z którego wykreślone są (podświadomie) kobiety (Jean-Paul zastanawia się czy mają one duszę...), zemsta wygnanej kobiety, która siłą morfologii świata musi się gdzieś odrodzić, więc odrodzi się wewnątrz samego pederasty (pozostając jednak dziwną karykaturą kobiecości), książka Guersanta mogłaby być, poprzez siłę z jaką stawia te tezy, załącznikiem do *Onanisme et Homosexualité* W. Stekela (Gallimard). Znany filozof katolicki Gabriel Marcel nazwał *Jean-Paul* „wielką książką”. Nie wydaje mi się jednak żeby miał rację. *Jean-Paul* jest autentycznym dokumentem, interesującą „case-history” dla psychiatry. Podczas gdy pierwsza część książki poświęcona jest szczegółowej relacji seksualnej obsesji, w drugiej części mamy do czynienia z „nawróceniem” bohatera, z jego kryzysem religijnym. Ta druga część jest o wiele mniej przekonująca. Jean-Paul pozostanie, wbrew intencji autora, równie oschły wobec Boga, jak był oschły wobec ludzi. Gdyby nie temat, a raczej gdyby nie bezlitośnie szczere traktowanie tematu, byłoby oczywiście czym jest *Jean-Paul* — książką inteligentnego człowieka bez talentu.

W ostatniej powieści Samuela Becketa *L'Innomable* (Les Editions de Minuit, Paris, 1953) spotykamy znane nam już postacie: Malone'a, Mahooda, Molloya. Ale koszmar Becketa, jego poetycki świat wywyższenia człowieka poprzez jego degradację do samego końca, ten proces dystylacji ludzkiej nędzy i męki poprzez kastrację, okaleczenia, aż do osiągnięcia nowego punktu równowagi, nowego spokoju, wydaje się tym razem mniej realny.

W *Philippine* (Gallimard, Paris 1953), bohaterka powieści Danielle Hunebelle jest niewinna i naiwną szesnastolatką. A jednak jej związek z dojrzałą już parą — Julie i Antoine — przypomina nam „Niebezpieczne Związki”. Philippine kocha i Julię, która jest dla niej Dniem, i Antoine'a, który jest dla niej Nocą. Rozczarowana przez Julię, która zanadto kocha Antoine'a, odda jej jednak Antoine'a, zostawszy z kolei jego kochanką. Świetnie napisana książka, o wielkiej finezji psychologicznej, mimo to dziwnie pozbawiona życia. Najpoważniejsza kandydatura do „Prix Goncourt”.

Pierwsza książka Jean Lagrolet *Le Pire* (Gallimard, 1953) jest zrzeczną, choć może nadto przejrystą bajką filozoficzną. Filip, książę Kartezji umiera pozostawiając swemu ludowi w testamentie niedokończoną konstytucję, której zdążył napisać zaledwie pierwszy paragraf: „Bóg nie istnieje”. Jego następca musi się porać z upojną wolnością którą te słowa wywołają u Kartezjan, a zarazem z falą straszliwych zbrodni. Czy powróci on do sceptycznych asad swego poprzednika? Czy też Kartezję, zalegając oblegający barbarzyńcy? Na to autor nie daje odpowiedzi, nie chcąc zapewne zamieniać bajki w prorocstwo.

Przegląd miesięczników

W ostatnich numerach *Nouvelle Revue Française* dużo jest ważnych i ciekawych tekstów. Należy zasygnalizować w numerze wrześniowym „Récit Secret”, pośmiertną wypowiedź Drieu La Rochelle, w której analizuje on przyczyny, które skłaniają go do samobójstwa i poddaje rewizji swoje życie i swoją skalę wartości. Cały ten numer NRF został zresztą skonfiskowany na polecenie spadkobierców Drieu, którzy nie dali pozwolenia na ogłoszenie tekstu. W tym samym numerze świetny esej Mircea Eliade o mitycznej zawartości komunizmu, nazizmu i nowoczesnego chrześcijaństwa. Numer listopadowy zawiera krótki, ale ważny tekst Maurice Blanchot, jednego z najwybitniejszych francuskich pisarzy — tekst który jest poetyckim odpowiednikiem „Komunizmu” Dyonis Mascolo.

W powodzi wydawanych co tydzień książek konieczny jest jakiś przewodnik. Na francuskim rynku literackim rolę tę spełnia znakomicie miesięcznik pt. *Contacts Littéraires et Sociaux* (62, rue Nationale, Paris 13). Każdy numer zawiera zwykle bardzo trafne i zawsze niezależne omówienia wszystkich ważniejszych książek które ukazały się w ciągu miesiąca. *Contacts* posiadają bogaty i reprezentatywny dział literatury pięknej, ale główny nacisk położony jest na zagadnienia polityczne i społeczne. W stałych działach „Świata Komunistycznego”, „Atlantyckiej Wspólnoty”, historycznym i społecznym, omawiane są książki wszystkich tendencji, z tym że redakcja *Contacts* reprezentuje punkt widzenia najszerzej pojętego humanizmu i obronę wolności człowieka.

W październikowym numerze *Preuves* François Bondy wybrał „Ferdynurka” Gombrowicza (w tłumaczeniu hiszpańskim) jako jedną z książek które, z całego świata, sygnalizuje co miesiąc w rubryce „Choir”. Bondy nazywa „Ferdynurka” arcydziełem i mówi że jest to jedna z najważniejszych współczesnych książek. W listopadzie *Preuves* zamieściły artykuł K. A. Jeleńskiego o losie Kościoła w Polsce.

Listopadowy numer paradoksalnej, inteligentnej i zawsze żywej *Parisienne* zawiera entuzjastyczne sprawozdanie z paryskiej wystawy polskiego malarza Wostana (Stanisława Wojcieszynskiego).

W *Bulletin du Centre Européen de la Culture* (lipiec-październik 1953), wydawanym przez Europejskie Centrum Kultury pod przewodnictwem Denisa de Rougemont (Palais Wilson, Genève) ukazał się artykuł Krzysztofa Górskiego poświęcony Funduszowi Kulturalnemu dla uchodźców. Górski protestuje przeciw decyzji komitetu ministrów europejskich odrzucającej projekt funduszu. Na ten sam temat ukazał się artykuł K. A. Jeleńskiego w *Preuves* (sierpień-wrzesień 1953).

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

- HOWLETT (Jacques). *Un temps pour rien*. Pp. 256 (Ed. Plon, Paris, 1953, frs 420).
 MONNIER (Jean-Pierre). *L'amour difficile*. Pp. 187. (Ed. Plon, Paris 1953, frs 300).
 GAY-LUSSAC (Bruno). *La mort d'un prêtre*. Pp. 227. (Ed. Julliard, Paris, 1953, frs. 480).
 BESSETTE (Hélène). *Lili pleure*. Pp. 221. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 425).
 FABIEN (Simonne). *Tu seras un homme*. Pp. 208. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 390).
 LAGROLET (Jean). *Le pire*. Pp. 265. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 550).
 GIACOMETTI (Antoine). *Le figuier maudit*. Pp. 492. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
 FEUCHTWANGER (Lion). *Le roman de Goya*. Pp. 352. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
 MADARIAGA (de Salvador). *Hernan Cortés*. Pp. 449. Traduit de l'anglais par René Guyonnet. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
 HUNEBELLE (Danielle). *Philippe*. Pp. 298. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 510).

DOKUMENTY CHWILI

- BOUCHARDON (Pierre). *Souvenirs*. Pp. 447. (Ed. Albin Michel, Paris, 1953, frs. 600).
 BEDEL (Maurice). *Voyage de Jérôme aux Etats-Unis d'Amérique*. Pp. 268. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 450).
The Black Deeds of the Kremlin. A White Book. Vol. I. Book of Testimonies. Str. 543. (Wyd. przez Ukraińskie Two Ofiar Rosyjskiego Terroru Komunistycznego, Toronto, Canada, 1953).
Le crime de Moscou à Vinnytzia. Str. 48. (Ed. l'Union des Ukrainiens de France, Paris, 1953).

- WIERBICKIJ (M.). *Najbliższy zło czyn Kremla*. Str. 112. (Wyd. Dobrus, W. Brytania, 1952).
 PINOTEAU (Robert). *La Russie d'hier et d'aujourd'hui*. Nicolas Ier-Nicolas II. Staline-Malenkov. Pp. 283. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1953).

HISTORIA

- PRIOURET (Roger). *La Franc-Maçonnerie sous les lys*. Préface de Pierre Gaxotte. Pp. 272. (Edit. Grasset, Paris, 1953, frs. 585).

RÓŻNE

- MASCOLO (Dionys). *Le communisme. Révolution et communication ou la dialectique des valeurs et des besoins*. Pp. 565. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 1200).
 ANDREU (Pierre). *Notre Maître M. Sorel*. Pp. 338. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs. 585).
 ROSTAND (Jean). *Ce que je crois*. Pp. 93. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs. 330).
 GUITARD-AUVISTTE. *La vie de Jacques Chardonne et son art*. Pp. 289. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs. 585).
 BEDEL (Maurice). *Histoire de mille hectares*. Pp. 158. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs 345).
 ZENKOVSKY (B.). *Histoire de la philosophie russe*. Traduit du russe par C. Andronikof. Tome I., pp. 522. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 1100).
 HOFFMAN (J.). *Uwagi do wczesnohistorycznych dziejów Wołynia*. Str. 34. (Odbitka z T.V. Nr 3-4 „Tek Historycznych”, Londyn, 1952).
 TORMA (A.). *Independence and interdependence*. Str. 15. (Wyd. The Free Course of Central-European Studies, Londyn, 1952).
 GRONOWICZ (A.). *Pattern for Peace*. Str. 215. (Ed. Paramount Publishing Co., New York, 1951).

Listy do Redakcji

Paryż, 11. 11. 1953.

Drogi Panie Redaktorze,

Wspomnienia które wyniósł p. Maciej Feldhuzen z Gask House, „Kwarty Polowej Naczelnego Wodza” są tak sprzeczne z moimi (a przecież byłem jego poprzednikiem jako tłumacz na tym egzotycznym etacie), że nie mogę się powstrzymać od próby sprostowania tej kartki „najnowszej historii Polski”. Pomimo że nie byłem kapralem, jak p. Feldhuzen, a zwykłym kanonierem, traktowano mnie tam (tak gen. Sikorski jak p. Helena Sikorska i p. Zofia Leśniewska) jak członka rodziny (muszę podkreślić że nie wiązały mnie uprzednio z pp. Sikorskimi żadne osobiste stosunki). Może dlatego że mam nieco odmienne od p. Feldhuzena poczucie humoru. Wydaje mi się na przykład że gen. Sikorski, proponując p. Feldhuzenowi kielbasę zamiast sherry (chyba nie „cherry” o tej porze...) oczywiście żartował (sam p. Feldhuzen ze świętym oburzeniem podkreśla że Sikorski wiedział że ma do czynienia z dziennikarzem). Żart może nie wybredny, ale zawsze żart — nie wiem kto z nich dwóch dowiódł tu „braku poczucia humoru”. I jeszcze jedno. P. Feldhuzen poczytuje sobie sanacyjną postawę „Dziennika Żołnierza” za jakieś opozycyjne bohaterstwo. Otóż raz na zawsze trzeba stwierdzić że jakkolwiekby był skład rządu polskiego w Londynie, konformizm społeczeństwa oficerskiego i inteligentckiego był wówczas, tak jak dzisiaj, konformizmem sanacyjnym. Jeżeli już mowa o „najnowszej historii Polski” ze szkockiej perspektywy, to żywo stoi mi przed oczyma radość z jaką przywitała znaczna część oficerów kilku pułków zebranych na ćwiczeniach w obozie Brandon tragiczną wiadomość o zgonie gen. Sikorskiego. Plakali wtedy szeregowi — i nie ci obrażliwi „cenzusowcy” z którymi identyfikuje się p. Feldhuzen, ale górniczy z Francji, polescy chłopcy, śląscy przemysłowcy.

Ironia jest bronią ostrą i delikatną. Trzeba nią operować z pewnością, wrodzoną finezją. Na tym może polega różnica pomiędzy wspomnieniami p. Czesława Jeśmana, ciętymi i odważnymi, i notatkami p. Feldhuzena, który dziwnym trafem atakuje przeważnie zmarłych, lub tych którzy powrócili do Polski. „Jak wykończyć kozę, oszczędzając wilka” — takie mogłoby być motto „Szkockiego Rubensa”.

Chciałbym na koniec stwierdzić, że zgadzam się całkowicie z p. Feldhuzenem w jego ocenie tak naszych sztabowców, jak całego deprawującego systemu wojskowego. Ale obcy mi jest ten rodzaj oburzenia koncentrujący się na „drobnych urzędnikach” czy „ludziach zarabiających 100 zł. miesięcznie” za ich brak szacunku do podkomendnych którzy więcej zarabiali w życiu cywilnym.

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów wysokiego szacunku.

K. A. JELEŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W październikowym zeszycie „Kultury” ukazały się poezje hiszpańskie w przekładzie Józefa Łobodowskiego. We wprowadzeniu tłumacz mówi, że owe utwory są typowe dla mistycznej poezji hiszpańskiej. Przypadek chciał, że akurat pierwszy wiersz, *Sonet na śmierć* Fray Pedra de Padilla wcale hiszpański nie jest. Mamy tu do czynienia z wiernym przekładem włoskiego sonetu kanonika laterańskiego Gabriela Fiammy. Już J. G. Fucilla stwierdził, że Padilla „zapożyczył” ten sonet z Fiammy jak pożywał u takich włoskich poetów jak Petrarca, Coppetta, Menni, Muzio, Britonio, Angeriano i Bembo. „Sonet o śmierci” ukazał się w zbiorze Pedra de Padilla w 1585 r. tymczasem włoski oryginał w *Rime Spirituali* wyszedł w 1572 r. Do roku ukazania się hiszpańskiego przekładu, włoski oryginał miał już trzy wydania i zyskał szeroki rozgłos. W tymże roku zmarł Fiamma.

Warto przy tej okazji wspomnieć, że już Sebastian Grabowiecki (1540-1607) przełożył sonet ten na język polski. Umieścił on go w swych *Rymach duchownych* z 1590 r. razem z dwudziestu innymi przekładami z Fiammy. Porebować znalazł ich włoskie wzory ale miał wątpliwości co do sonetu, bo znalazł go również u Pedra de Padilla. Współ z dwudziestu dłuższymi utworami o ciekawej budowie sonet ten miał świadczyć o hiszpańskich wpływach na twórczość Grabowieckiego. Usiłując tę kwestię rozwikłać, znalazłem wszystkie oryginały domniemanie hiszpańskich utworów... u Włocha Bernarda Tassa (por. „New Sources of S. Grabowiecki's Poetry”, *The Slavonic Review*, December 1952).

Oto przekład S. Grabowieckiego wedle wydania Dr J. Korzeniowskiego z 1893 r.

CXLIV

Sonet

Z twej śmierci, Jezu, dochodzę żywota;
Śmierć podejmując dla nas, władzę śmierci
Bierzesz, a z twej k nam miłości tej śmierci
Moc dawas, co nas upuszcza do żywota.

Śmierci, ty godność przechodzisz żywota,
Bo tobą czelek ujęć może wiecznej śmierci;
Nie ma nic nad cię, święta, wdzięczna śmierci,
Droższego ten skarb zmiennego żywota.

Przeżył i mnie zbryzł żywot, pragnąc śmierci,
Gdyż śmierć tylko wieść może do żywota;
Tak wielka waga w mych zmysłach tej śmierci.

Tak ja mrąc żyję, konam tak, żywota
Dochodzę i tak pożdam tej śmierci,
Ze w niej jest rozkosz mojego żywota.

Proszę o umieszczenie tych kilku uwag w Pańskim miesięczniku.

Florian SMIEJA

O słowiański charakter Uniwersytetu Karola w Pradze.

W dyskusji po moim odczycie wygłoszonym w Académie des Sciences Morales et Politiques w Instytucie Francuskim (w lutym) pt. „L'Orient et l'Occident Slaves”. Jeden z członków Akademii twierdził, że mówiąc o starszeństwie kultury Słowian zachodnich wobec Słowian wschodnich, nie można się powoływać na założenie uniwersytetu w Pradze (1348) na 4 wieki przed pierwszym uniwersytetem rosyjskim w Moskwie (1755), gdyż Uniwersytet Karola w Pradze nie był słowiańskim, ale niemieckim uniwersytetem.

Nie chcąc poprzestać na własnej odpowiedzi, zwróciłem się w tej sprawie do profesora Romana Jakobsona (Harvard University), jako do decydującej powagi, aby mój francuski oponent miał potwierdzenie mojej opinii przez orzeczenie jak najbardziej kompetentne. Podając Akademii ten głos profesora Jakobsona, jako uzupełnienie mego odczytu, pragnę aby i Czytelnicy KULTURY, którzy mieli sposobność poznać profesora Jakobsona, dzięki zamieszczonego w KULTURZE jego znakomitemu artykułowi o wczesnych stosunkach czesko-polskich otrzymali do wiadomości tę ciekawą odpowiedź.

J. A. TESLAR

Legenda że Uniwersytet Karola, za panowania Luxemburgów, był czysto niemiecką instytucją ma swe źródło w niemieckiej nazi-propagandzie. W rzeczywistości była to instytucja, która odegrała ogromną rolę w życiu kulturalnym Czech w końcu 14. i w 15. wieku. Za panowania króla Karola uniwersytet obejmował oficjalnie cztery „nacje”: dwie słowiańskie (czeską i polską) i dwie niemieckie (bawarską i saską). Polską „nację” stanowili jednak przeważnie mocno zgermanizowani Ślązacy, tak że wśród nich większość stanowili Niemcy, więc też pod koniec 14. wieku grupa czeska miała przeciwko sobie te trzy grupy zjednoczone pod nazwą „natio Teutonicorum”.

Ta sytuacja wywołała ostry sprzeciw ze strony Czechów na uniwersytecie i spowodowała w r. 1384 pierwszy poważny konflikt narodowościowy. Wtedy rektor uniwersytetu, Czech, arcybiskup Jan z Jestingu, ogłosił, iż „dla rozsądnej i słusznej przyczyny”, jak mówił, tylko Czesi mają prawo należeć do Collegium Karola, centralnej instytucji Uniwersytetu, i podniósł liczbę mistrzów czeskich. Gdy między rokiem 1368 a 1384 było tylko 5 Czechów na 35 mistrzów, na wydziale Sztuk Wyzwolonych między 1385 a 1408 było 15 Czechów na 48. Z reguły co trzeci mistrz był Czechem. Między scholarami Uniwersytetu w końcu 14. wieku wielu profesorów byli to Czesi. Na wydziale Sztuk Wyzwolonych wśród 155 profesorów, co do których posiadamy dane, było Czechów 53. Na wydziale teologicznym Czesi stanowili większość. Między wybitnymi profesorami wydziału prawa w 14. wieku, wypada wymienić Kuneša z Trebové, autora poważnego dzieła o poddanych niewolnych. Między teologami Maciej z Janova, autor bardzo ważnego pre-reformacyjnego traktatu „Regulae Veteris et Novi Testamenti” i oczywiście Jana Husa, który we wczesnym okresie swej działalności uniwersyteckiej żądał: „Magistri Bohemi sunt super Teutonicorum magistros multiplicati et in omni sciencia et facultate ultra extraneos elevati”. (Liczba mistrzów Czechów winna być pomnożona ponad liczbę Niemców i we wszystkich naukach i wydziałach (Czesi) wyniesieni ponad cudzoziemców).

Niemieccy filozofowie Uniwersytetu Karola należeli do nominalistów, czeszy zaś do realistów.

Wobec zaostrenia się konfliktu narodowościowego król Wacław wydał dekret 18 stycznia 1409 r. opiewający że „nacja czeska, jako prawy dziedzic tego kraju” ma przy każdym głosowaniu mieć prawo do trzech głosów na cztery i mianował rektorem mistrza Zdenka z Labouni. Te zarządzenia wywołały exodus Niemców z Uniwersytetu Karola.

Uczni nacjonalisci niemieccy ukuli teorię głoszącą jakoby Karol założył Uniwersytet praski nie jako król Czech, ale jako cesarz niemiecki i ta interpretacja weszła do takich dzieł zachodnich o uniwersytetach średniowiecza, jak dzieła S.d'Irsay'a i H. Reshdall'a.

Tymczasem w akcie erekcyjnym Uniwersytetu na pierwszym miejscu i wyraźnie założenie Uniwersytetu było podkreślone jako potrzeba królestwa czeskiego i tak też ten fakt był interpretowany w praskich pismach współczesnych.

Najlepsze i najobiektywniejsze dane co do tego okresu można znaleźć w dziele zmarłego wybitnego historyka czeskiego Wacława Chaloupeckiego: „Karlova Universita v Praze” Praha 1948.

Roman JAKOBSON

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze „amerykańskim” „Kultury” znalazłem artykuł na temat Aarona Coplanda. Nie wiem czym kierowała się Redakcja wybierając jego a nie kogo innego jako rzeczownika młodej muzyki amerykańskiej. Jeśli chodzi o kompozytora najbardziej „amerykańskiego” to mimo wszystko dalbym pierwszeństwo Gershwinowi, a jeżeli chodzi o najbardziej obiecującego, to wybrałbym raczej Leonarda Bersteina. Moim zdaniem Copland jest dobrym kompozytorem ale ani nie lepszym ani nie gorszym od innych swych amerykańskich współkolegów. Poza tym w artykule stwierdziłem obecność szeregu zwrotów i wyrażeń fachowych, które tłumaczone dosłownie z angielskiego są niezrozumiałe dla Polaka; nawet muzyka, który nie zna tego języka. Przykład: angielskie wyrażenie „false relation” przetłumaczone jako „fałszywy stosunek” nie mówi nic czytelnikowi. Polski odpowiednik tego terminu jest: „brzmienie ukośne” i w tej formie każdy muzyk wie o co chodzi.

W. SANDELEWSKI

Szanowny Redaktorze,

Nie ze wszystkim zgadzam się ze śmiałym i świetnie napisanym „reportażem” p. Mieroszewskiego pt. „Powrót”, zamieszczonym w 72 nrze „Kultury”. Jest on według mnie zbyt pesymistyczny. Czyżbyśmy naprawdę mieli czekać na ucieczkę Rokossowskiego aż do 1968 roku? W ogóle mam nadzieję, że tak źle znowu nie będzie po naszym powrocie.

Nie o to chodzi, naturalnie, i domyślam się, że autor na umyślnie przesolił, aby zaalarmować drzemającą społeczność polską na emigracji.

Zdaje mi się jednak, że jedno z oświadczeń „Stefana” — które widać w pewnej formie odpowiada też zdaniu autora — jest na tyle niebezpieczne, że trzeba na nie odpowiedzieć.

Chodzi o oświadczenie o tym jaką rolę gra partia w (przyszłej) Polsce. „Partia Suchara — mówi Stefan — jest głównym biurem planowania przemysłowego, jest organem, który kontroluje administrację i biurokrację tego olbrzymiego kombinatu przemysłowego jakim jest Polska... Jaka inna partia polityczna mogłaby się dziś podjąć tego zadania?”

Odpowiedź na to powinna być nader prosta. Żadna partia polityczna nie mogłaby i nie może podjąć się takiego zadania. Żadna, nawet nie komunistyczna. W tym właśnie sęk, że nie może. Od lat z górą trzydziestu partia komunistyczna w Rosji stara się być owym „głównym biurem planowania przemysłowego”. Dokłada wszelkich sił, aby wywiązać się z tego zadania i... nie wywiązuje się. W kraju panuje stale kryzys gospodarczy, „planowa” gospodarka komunistyczna ponosi jedno fiasko za drugim, ludność głoduje a kierujące stanowisko partii utrzymane jest wyłącznie terrorem, bez którego zresztą nie zbudowano by nigdy wielkich przemysłowych przedsiębiorstw. (Budowano i buduje się je, jak wiadomo, z pomocą więźniów.) Wszystko to świadczy o tym, że idea o politycznej partii, spełniającej rolę „głównego biura planowania przemysłowego” i trzymającej w swych rękach „całą administrację olbrzymiego kombinatu przemysłowego jakim jest kraj” — jest utopią. Próby przetwarzania tej utopii w rzeczywistość doprowadzają kraj, w którym się je podejmuje, nie do rozkwitu przemysłowego a do klęski i z tej właśnie przyczyny partia, zmierzająca do takiej roli jest znienawidzona przez ludność kraju, w którym poczyni się taki eksperyment.

Nienawiść ludu zmiecie ją przedtem nim uda jej się zrobić z niego nie-szczęsną ofiarę fantastycznych utopii komunistycznych dowódców.

Alfred BURMEISTER

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Chociaż z pewnym opóźnieniem, lecz dosyć systematycznie czytuje szereg waszych wydawnictw codziennych i periodycznych reprezentujących niepodległościową większość uchodźstwa wszelkich odcieni. Rozmawiam na tematy aktualne, a więc przede wszystkim o „zjednoczeniu” i Skarbie Narodowym ze znajomymi oraz kolegami, robotnikami w fabryce w której pracuję. Wachlarz pochodzenia, wykształcenia i inteligencji bardzo szeroki. Zainteresowanie Sprawą jest duże, ale zniechęcenie jej stanem obecnym jeszcze większe. Zawsze występuje ogólnikowe i pogardliwe określenie: ci „politycy”, ci „panowie z Londynu”. Dotychczas nie napotkałem na żadnego, podkreślam: żadnego przedstawiciela jakiegokolwiek stronnictwa, nawet na teoretycznego i przekonanego sympatyka. Może mam pecha! Często omawialiśmy ankietę „Kultury”. Zdaje sobie sprawę, że jest to dowód raczej jednostronny, niepewny i nie mogący służyć za bezbłędny sprawdzian istotnej opinii „dołów” co do stronnictw. Jednak objaw symptomatyczny i całkowicie zgodny z doraźnymi spostrzeżeniami kolegów i znajomych. Sądzę, że najbardziej zainteresowani „politycy” — „panowie z Londynu”, zdają sobie sprawę z tego stanu rzeczy, chociaż, oczywiście, nie przyznają się do tego.

Wniosek: aby uzyskać istotną opinię wolnościowej emigracji trzeba jej dać możliwość wypowiedzenia się w formie wyborów. Powstaje jednak od razu szkopuł. Jak mamy my, mali, nieobeznani z szerokimi prądami myśli politycznej „góry” głosować? Nazwiska 99 procent naszych rzekomych przedstawicieli w różnych Radach i Komitetach nikomu absolutnie nie mówią. Szczególnie tym najważniejszym dla naszej przyszłości, ludziom młodym nie tkwiącym w bzdurnych walkach z cieniami Piłsudskiego czy Dmowskiego, z „sanacją” czy „wyzwoleniem”. Więc mamy opierać się na tzw. stronnictwach. Istotą stronnictwa jest jego program. Program istotny, a nie demagogiczne grzebanie w przebrzmiałych hasłach, czynach i personaliach. Ale przecież „historyczne” stronnictwa mają swoje znane programy! Przyjmujemy, że istotnie dziś te programy są znane. Dla przeciętnego czło-

wieka dadzą się one streścić w pewnych formułkach czy hasłach, dobitnych, mało intelektualnych lub wytwornych lecz raczej trafnych.

Socjaliści: zabrać przemysł burżujom, upaństwowić co się da.

Ludowcy: zabrać ziemię panom ziemianom, oddać chłopom.

Narodowcy: przez z Żydami, przez z mniejszościami, Polska narodowa.

W Kraju upaństwowiono prawie wszystko, ziemian nie ma, ziemia w różnej formie oddana użytkownikom; Żydów wyniszczył Hitler, inne mniejszości zabrała i też niszczy Rosja. Polska jest narodowa! Co zostało z programów „historycznych” stronnictw? Zostały wspomnienia i personalia. Zajmijmy się więc personaliami, jest to zresztą bardzo miła zabawa. „Doły” chcą wybrać swoich przedstawicieli. Ale chcą wiedzieć na kogo mają głosować. Nie na anonimową partię historyczną lub inną o programie nieznanym lub w najlepszym razie tak dialektycznie mętym, że przeciętny człowiek nie bardzo może się w nim wyznać. Doły chcą głosować na ludzi, ludzi do których mogą mieć zaufanie. Zaufanie oparte nie na tym co pan X lub Y robił w 1913 roku lub nawet w 1939, lecz co robił podczas i po potopie 1939-1945. Tych ludzi, tych działaczy politycznych wszelkiego gatunku jest na emigracji liczba ograniczona, wtajemniczonym chyba znana. Powiedzmy paręset osób, nie licząc zawrotnej liczby kibiców kawiarnianych, którzy, proszę mi wierzyć na słowo, nikogo nie interesują. Te paręset działaczy zajęło pewne stanowisko wobec akcji zjednoczeniowej i Skarbu Narodowego. Mimo usiłowań nie udało się gen. Sosnkowskiemu uzgodnić dwu punktów: podziału „zdobyczy” między „reprezentującymi” nas stronnictwami oraz stosunku do p. Mikołajczyka i jego komitetu rycerzy jałtańskich. Przed ewentualnymi wyborami „doły” chciałyby wiedzieć, jakie stanowisko poszczególni działacze (imiennie!) zajęli wobec tych kluczowych zagadnień oraz wobec Skarbu Nar. Sądję, że sam należąc do dołów mam prawo przemawiać w imieniu co najmniej dużego tych „dołów” odłamu. Nie powołuję się na wolę narodu czy też Kraju, bo będąc wygnancem od wielu lat nie mogę wiedzieć, czego naród w Kraju pragnie. Ale tego działacze różnego pokroju też wiedzieć nie mogą i jeżeli na tę wolę śmiają się powoływać to jest to tylko bezgraniczna zarozumiałość lub po prostu polityczny szwindel.

Jerzy ZAREMBA

19 1/2 Erie Av., Hamilton Ont., Canada.

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Juliusz MIEROSZEWSKI analyse l'attitude des exilés polonais envers les changements ayant lieu actuellement en Pologne. Trois complexes déforment, selon lui, cette attitude:

1) *L'auto-intoxication par la propagande.* Une version particulière du marxisme et du communisme est de rigueur parmi les émigrés, selon laquelle ce ne sont pas des idéologies, mais des programmes acceptés uniquement par les canailles et par les idiots. En rejetant le défi sérieux et grave du communisme, en le « ridiculisant », les exilés réduisent la lutte qui a lieu en Pologne à un niveau lamentable d'opérette.

2) *Le complexe des flics.* Un système policier volontaire décrète qu'on ne peut parler du communisme dans la presse exilée en d'autres termes que ceux qu'emploie la presse communiste en parlant du monde libre. Quiconque tâche d'échapper à cette règle par une analyse plus sérieuse sera considéré comme crypto-communiste et dénoncé en tant qu'« agent ».

3) *La nation-cliché.* « Le pays dure » — c'est le slogan préféré des démagogues émigrés. Rien de plus faux. Dans sa lutte, dans sa résistance

quotidienne, la Pologne change et évolue tous les jours — c'est nous, c'est l'émigration qui « dure », comme si rien n'était changé depuis 1939. Il faut rompre une fois pour toutes — conclut MIEROSZEWSKI — avec la notion du « pays-cliché », du « pays-anniversaire ». Il faut suivre attentivement tous les changements qui ont lieu en Pologne et tâcher de découvrir leur signification.

La lettre yougoslave de Lukasz WINIARSKI est consacrée surtout aux problèmes littéraires et artistiques. L'auteur constate un énorme progrès littéraire depuis que la Yougoslavie a rompu avec le bloc soviétique, progrès nécessaire après quelques années de carence presque totale.

Witold GOMBROWICZ admet, dans les pages de son « Journal », que la modestie n'est pas son fort. Fort heureusement d'ailleurs, car autrement nous aurions pu être privés du parallèle magistral qu'il établit entre Moïse et lui-même...

La Pologne dans un miroir neutre, tel est le titre d'un reportage très vivant et objectif que deux observateurs neutres ont entrepris pour « Kultura » au cours d'un récent voyage en Pologne.

Sept pages d'un charabia incompréhensible : c'est la liste de quelques centaines d'abréviations que la presse communiste en Pologne utilise couramment, et qui ont trait à tous les domaines de la vie.

Bohdan KONASZEWICZ donne un aperçu intéressant sur de nombreux instituts et organismes allemands qui s'occupent exclusivement de l'Europe Orientale.

Krzysztof T. GORSKI continue la discussion amorcée par J. JASIEŃCZYK au sujet des programmes polonais de la Radio de l'Europe Libre à Munich. Il en souligne la carence intellectuelle. Zbigniew ROZYCKI précise, dans un article très vivant, les raisons qui l'ont amené à quitter le Collège de l'Europe Libre à Strasbourg.

Voilà deux critiques, que nous espérons constructives, de méthodes employées par les deux institutions les plus importantes sans doute pour la vie polonaise en exil.

L'ambassadeur Michał SOKOLNICKI représentait Pilsudski auprès du Comité National Polonais à Paris en 1918. Il fait le récit de ces instants où la Pologne renaissait dans la section de « Kultura » consacrée à la récente histoire de Pologne.

Aleksander JANTA retrace l'histoire du trésor des rois de Pologne qui fut transporté en exil et déposé au Canada par notre gouvernement de Londres. Certains des chefs-d'œuvres qui en font partie vont finalement être connus du public occidental grâce à l'initiative du grand hebdomadaire américain illustré « Life ».

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV°).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 4^e trimestre 1953



KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg.....	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Serrano 2076, Buenos Aires.....	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney.....	5 sh. (a.)	£A.1.7.6.	£A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekinder, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20.....	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Júlia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guará 139, vila Pompeia, São Paulo.....	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV°.....	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Mar- cil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Stan. L. Lemanski, 570 Aberdeen Ave., Winni- peg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkow- wiec” (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann- heim-Schoenau, 4094 LSC Schoenau, U.S. Zone; St. Mikciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54.....	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 2-32-92.....	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm.....	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin.....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Błasiawicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, «Gryf Publ.», 615, Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew- Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, Cali- fornia; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Bar- bara, California; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; S. Sokółowski, 4856 E. Stiles St Philadelphia 37 Pa.; Polish Ame- rican Book Center, 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich. W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169 171, Battersea Church Road, London, S.W.11... WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowska, Corso Trie- ste 130/5, Roma, tel. 859632.....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4^e

Telephon DANton 51-09

p o l e c a :

Czarnyszewicz. F. — WICIK ŻYWICA	Cena, frs.: 695
DRAMAT MIESZCZAŃSKI EPOKI POZYTYWIZMU WARSZAWSKIEGO	1.600
Herling-Grudziński. — INNY ŚWIAT	695
Łobaczewska S. KAROL SZYMANOWSKI. Życie i twórczość	2.000
Milaszevska W. — BOGACTWO	695
POZYTYWIZM. Praca zbiorowa, 2 tomy	2.750
Mackiewicz St. — STANISŁAW AUGUST	695
Straszewicz C. — TURYSI Z BOCIANICH GNIAZD	650
Tukidydes. — WOJNA PELOPONESKA	1.440
Werfel Fr. — PIEŚŃ O BERNADECIE, 2 tomy	1.500
Van de Velde Dr. — MAŁŻEŃSTWO DOSKONAŁE	1.300

o r a z :

Andrzej Frycz Modrzewski. — O POPRAWIE RZECZYPOSPOLITEJ. Przekład Cypriana Bazylika z roku 1577 3.000

Żądajcie bezpłatnych katalogów książek
oraz płyt gramofonowych.

BIBLIOTEKA “ KULTURY ”

Ukazały się dotychczas następujące tomy :

T. I. WITOLD GOMBROWICZ **TRANS-ATLANTYK I ŚLUB**
Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2,00)

T. II. GEORGE ORWELL **ROK 1984**
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)

T. III. CZESŁAW MIŁOSZ **ZNIEWOLONY UMYŚŁ**
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)

T. IV. JAMES BURNHAM
BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE ?
Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2,00)

W przygotowaniu :

T. V. CZESŁAW MIŁOSZ **ŚWIATŁO DZIENNE** Poezje
Cena 350 frs. (7 sh., \$ 1,00)

T. VI. CZESŁAW STRASZEWICZ
TURYSI Z BOCIANICH GNIAZD
Cena 650 frs. (13 sh., \$ 2,00)

Cena 150 frs.